



**Lwowska Narodowa Naukowa Biblioteka Ukrainy imienia W.
Stefanyka**

NAUKOWY DZIAŁ CZASOPISM IM. MARJANA I IWANNY KOCIW

Ż 36620

Promyk : pismo ilustrowane dla młodzieży i dzieci

R.1905 nr 1-12

Lwów



Ж

III

36621

1905

УК

5

PROMYK



PISMO ILUSTROWANE DLA MŁODZIEŻY I DZIECI
WYCHODZI 1. i 15. KAŻDEGO MIESIĄCA.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, Miłkowskiego 11.

FILIA ADMINISTRACYI: KRAKÓW, GRODZKA 50.

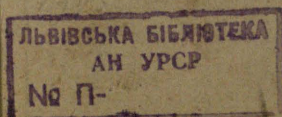
Do Czytelników.



romyk rozpoczyna niniejszym numerem drugi rok swojego istnienia. Ma on stanowić dla Was miłą rozrywkę, być co dwa tygodnie oczekiwanym gościem, a z końcem roku piękną, sporą i cenną książeczką.

„Promyk“ zajrzy do Was punktualnie i opowie zawsze coś ciekawego, zabawi Was i przyniesie zagadki i figielki zadane przez towarzyszy Waszych. Postara się opowiadać o ile możności o ważnych wypadkach doby dzisiejszej, o których się czyta i słyszy wiele, bo nieprzyjemnie to młodzieży, jeżeli nie dobrze rozumie rzeczy, o których wszyscy mówią. Nowe książki dla dzieci i młodzieży omawiać będziemy stale. Będziemy zamieszczali w piśmie powieści, humorystyczne opowiadania, a z rzeczy ciekawych, naukowych, takie tylko,

119750

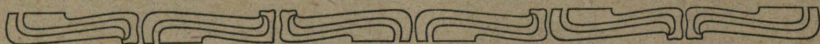


o których się w szkole nie dowiadujecie. Tylko w dodatku dla małych dzieci przyniesie „Promyk” opowiadania o rzeczach, które starsi ze szkoły znają. Postaramy się umieszczać ładne ilustracye, któreby Czytelnikom przyjemność sprawiały. Wy w zamian starajcie się rozszerzać nasze piśmko, bo im więcej będzie miało prenumeratorów, tem cenniejsze będzie mogło kupować obrazki i tem prędzej będzie mogło zapełnić cały numer dzisiejszy opowiadaniem dla starszych Czytelników, a „Kąciki dla małych dzieci” zamieszczać w osobnym dodatku.

Format „Promyka” zmieniamy dlatego, bo tak łatwiej i wygodniej czytać się go będzie.

Z korespondencyj, które dotychczas do „Promyka” nadsyłałście, widzimy że lubicie go, mamy nadzieję, że i nadal lubić go będziecie.

Z dniem dzisiejszym szle Wam „Promyk” serdeczne życzenia do Nowego Roku!



ALFONS DAUDET (CZYTAJ DODE).

Nadzwyczajne przygody imci pana Tartarin’a z Taraskonu.

(Z francuskiego).

(C. d.)

IV. NA POSTERUNKU.



Bim! Bim! Bim! — dzwonił zegar wieżowy w chwili, w której Tartarin otworzył oczy. Przespał był cały wieczór, całą noc, cały ranek i część popołudnia, aż do godziny 3-ciej.

Pierwszą myślą naszego bohatera było:

— Nareszcie jestem w krainie lwów!

Brrr! Dreszcz go przejął. Nakrył się mocno kołdrą... Ale szybko ocknął się z nie milego wrażenia — nowa odwaga wstąpiła mu w serce. Z ulicy dochodził go gwar i turkot. Niebo było przejrzyste, słońce padało wesoło jasnymi snopy do pokoju, śniadanie, które kazał sobie przynieść do łóżka, było tak smaczne, wino krescejskie tak słodkie...

— Na lwy! Na lwy! — zawołał nagle z zapalem. Wskoczył z łóżka i począł odziewać się szybko.

Plan miał gotowy: Nie mówiąc nikomu, wyjdzie cichaczem z miasta i uda się wprost na pustynię. Tam noc przeczeka, potem zaczai się gdzieś, a potem, gdy lew nadejdzie: pif! paf! pu!

Następnego ranka będzie z powrotem w hotelu Europejskim. Wszyscy mieszkańcy Algieru przyjdą mu winszować — ciekawi, odbędą pielgrzymki do miejsca, w którym lew poległ.

Uzbroił się szybko. Wziął sławny parasol, przypiął go sobie na plecach, tak, że laska sterczała mu nad głową. Szttywnie wyprostowany, zeszedł ze schodów i wyszedł na ulicę.

Nuż zechce go kto śledzić? Odgadną jego zamiary?... pójdą w jego tropy?... Tartarin poradził sobie: zwrócił się najpierw na prawo i gdy tak uszedł już kawał drogi, skreślił nagle na lewo, a potem zaszedł już prosto aż tam, gdzie kończą się arkady Bab Azun.

Kupcy wybiegli ze sklepów i patrzyli na niego zdumieni.

Tartarin przeszedł przez plac teatralny, udał się na przedmieście — i wyszedł na dużą, wygodną szosę, wiodącą do Mustafy.

Gwarny ruch panował wszędzie. Omnibusy, powozy, fiakry, bryczki, fury, jechały to w tę, to w tamtą stronę. Tędy szło wojsko, owędy gнали pasterze stado karłowatych osłów. Wśród tłumu roznosiły murzynki świeże pieczywo.

Mrowisko ludzi ruszało się wśród gęstej kurzawy ulicznego pyłu. Ze wszech stron słyhać było śmiechy, krzyki, śpiewy, a po obu stronach ulicy, z za zieleniejących żywopłotów, wyglądały małe, chylące się domki.

— Czemu to też ludzie tak się uwzięli na Wschód? Co oni widzą tu niezwykłego? Wciąż tylko śpiewają, marzą i mówią o Wschodzie, a tu jeszcze mniej Turków, niż w Marsylii!

Wtem przeszedł drogą wysoki wielbłąd, szedł prosto, dumnie i poważnie na swych wysokich nogach.

Po chwili zobaczył Tartarin oddział strzelców, spieszących do miasta.

— Tchórze! — mruknął oburzony. — Tchórze! Idą całym oddziałem na lwy i biorą nawet psy ze sobą!

Nigdy, nawet we śnie, nie przyszłoby mu do głowy, że można w Algierze polować na co innego, jak na lwy!

— Poszcześciło się Wam panie? — zapytał jednego ze strzelców.

— Nie najgorzej! — odparł tenże, patrząc zdziwiony na szermierza, uzbrojonego od stóp do głowy, jakoby wybierał się na wojnę.

— Macie dużo zwierza?

— O tak! Nie pusto tutaj!

To mówiąc, uderzył dłonią w swą torbę myśliwską, w której znajdował się dziki królik i słonka.

— Jakto? tu w torbie? Tu pan zwierzęta chowa?

— A gdzieżby?

— Więc to muszą być chyba całkiem młode?

— Młode i stare, duże i małe, co się trafi — odparł strzelec, pożegnał się spiesźnie i odbiegł za towarzyszami.

Nieustraszony Tartarin stanął w pośrodku ulicy, jakby gromem tknięty.

— W tej torbie? W tej torbie? — bełkotał zdziwiony. Nie, to być nie może! Oszuści! — zawołał po chwili na całe gardło — to być nie może! Oni tam lwów nie schowali — pewnie nie spotkali ich wcale.

To rzekłszy, szedł dalej obraną drogą.

Domki po obu stronach ulicy były coraz to mniejsze, coraz to mniej ludzi spotykał na drodze. Zmrok szybko zapadał — nastała czarna noc.

Gwiazdy błyszczały tajemniczo — księżycy nie było na niebie. Żadnej żywej duszy nie można było zobaczyć dokoła.

Ale lwy nie chodzą przecież po gościńcu — Tartarin zбочył z drogi. Szedł przez rowy i płoty, przez pola i łąki, przez miedze i ścieżki. Potykał się, padał, wstawał: dalej! dalej!

Nagle... stanął! Zdawało mu się, że doleciał go jakiś dziwny zapach:

— Z pewnością lwy!

V. PIF! PAF! PUF!

Znajdował się na szerokiej nizinie, porośniętej gęsto dziwną, bujną wschodnią roślinnością.

Na prawo widać było z oddali szary łańcuch gór, z lewej strony szumiało morze.

Tartarin uklęknął. Wziął jedną strzelbę do ręki, drugą postawił przed siebie i czekał.

Czekał tak godzinę, dwie — nie usłyszał najłżejszego szmeru.

Ach prawda! Wszakże wielcy myśliwi, idąc na lwy, brali zawsze kozy ze sobą! Jakże mógł zapomnąć o tem!

Przyszła mu genialna myśl do głowy: Będzie naśladował głos kozy:

— Meeeee! Meeeee!

Z początku meczał cichutko, bał się, że lew nadbiegnie za szybko. Ale ponieważ nic się w krzakach nie ruszało, zawołał głośniejsze:

— Meeeeeeee!

Lwa nie ma i nie ma.

— Meeeee! Meeeee! — krzyczał wreszcie zniecierpliwiony silnym głosem.

Wtem... na kilka kroków ukazało mu się jakieś olbrzymie, ciemne cielsko. Tartarin wstrzymał oddech.

Zwierzę schyliło się, obwąchało ziemię, odwróciło się, chciało odejść i zwróciło się nagle w stronę strzelca.

Dwoje ocz błysnęło w ciemności. Co tchu przyłożył Tartarin strzelbę do twarzy.

Padł strzał... Straszny ryk wtórował mu w odpowiedzi. Tartarin porwał za nóż myśliwski — zraniony lew rzucić się może na niego. Ale nie! Z okropnie przeraźliwym rykiem, lew uciekał przed mężnym człowiekiem.

Tartarin nie ruszał się z miejsca. Inne lwy nadejdą zapewne.

Minęło kilka godzin. Lwy nie nadchodziły. Wilgotna, oślizgła ziemia, ugięła się pod czekającym nieruchomo strzelcem. Noc była chłodna, zimny wiatr dął od strony morza. Zziębnięty, zmęczony Tartarin, nie mógł już ustać na nogach. Upadł na ziemię i zasnął twardo.

Rankiem obudził go odgłos trąbki:

— Trara! Tratarata! Trarata!

Tartarin zdumiony, przetarł oczy. Trąbka na pustyni!

Ach nie! To nie była pustynia! Leżał wśród pola zasianego artyszotami*). Na prawo widać było karafioły — na lewo — buraki.

Jarzyny na Saharze?

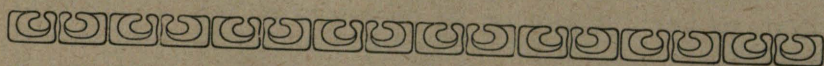
W oddali jaśniały domki Mustafy, ozłoczone promieniami wschodzącego słońca.

— Szaleństwo! Jakże można sadzić jarzyny w okolicy, którą lwy nawiedzają! Bo to nie było snem przecież, tu był lew!

Tak! wszakże ziemia, liście splamione są krwią. Struga krwi ciągnie się przez miedzę. Tartarin podążył za tym śladem. W odległości kilkunastu kroków znajduje się cała kałuża krwi, a w niej broczy jakieś duże cielsko.

— Ach to nie lew! Nie lew! To.... osioł!

(C. d. n.)



NA WAKACYE!



o wujaszka jechał Janek na święta — co za szczęście! Przez cały tydzień nie potrzebuje się uczyć! Jakże używać będzie dawno upragnionej swobody!

Wujaszek zaprosił go podczas wakacyj letnich. Janek nie przestawał marzyć o tem. Z początkiem września cieszył się na to już z góry, w październiku — zaczął tęsknić za wsią, w listopadzie — począł liczyć już niecierpliwie kartki kalendarzyka ściennego, a w grudniu ogarnęła go taka niecierpliwość, że ledwie mógł doczekać się świąt.

*) Rodzaj jarzyn spożywanych we Francji.

— Nareszcie! — zawołał — budząc się pewnego ranka — dziś idę po raz ostatni do szkoły. Jak wrócę — manatki pod pachę i wio!

W szkole nie mógł doczekać się dzwonka. Na ostatnią godzinę wyznaczono fizykę. Nauczyciel mówił o cieple.

— Co za nudziarstwo! — myślał Janek. — Co mnie to obchodzi? Byle prędzej zadzwonili, byle prędzej!

— Dzin-dzilin!

Janek nie miał prawie czasu pożegnać się z kolegami. Włożył pospiesznie palto, porwał książki — nogi za pas... i po chwili wpadł zadyszany do domu.

Czekała go niespodzianka — kuferek był już całkiem zapakowany.

— Pojedziesz o 3-ciej, minut 12 — rzekł ojciec — a teraz chodź na obiad.

Po obiedzie odprowadził go ojciec na kolej. Chłopak spieszył się tak bardzo, że przyszli o godzinę za wcześnie na dworzec.

Janek nie mógł już ustać spokojnie. Każdy pociąg, który przyjeżdżał na stację, wydawał mu się „jego“ pociągiem. Za każdym pociągiem, który odjeżdżał, wołał rozpaczliwie:

— Tatusiu odjechał! — Spóźniłem się.

Wreszcie nastąpiła dawno upragniona chwila. Chłopak porwał kuferki i wskoczył lekko do wagonu.

— Do widzenia Tatusiu! Do widzenia!

Nie miał czasu dokończyć. Lokomotywa świsnęła — pociąg ruszył z miejsca.

Janek miał ochotę śmiać się i śpiewać głośno — lecz w tym samym przedziale siedział jakiś pan i chrapał. Nie można go było budzić!

Janek spojrzał na zegarek; ma jechać całą godzinę aż do stacyi, na której przesiądzie się do innego pociągu. Godzina! to strasznie dużo! A tam czekać musi trzy godziny na nowy pociąg!

Chłopak spojrzał przez okno. Drzewa i domki zdawały się uciekać szybko przed pociągiem. Druty telegraficzne szły to w dół, to w górę.

Z razu bawiło go to. Potem spojrzał znów na zegarek.

— Dopiero kwadrans. Strach, jak ten czas wlecz się powoli! Jeszcze trzy kwadransy — a potem trzy godziny czekać trzeba na stacyi. Trzy godziny! Okropność! Co za szkoda, że nie ma innego pociągu, któryby wcześniej zabrał go na wieś!

Gdy tak wyrzekał — przypomniało mu się, że dawniej nie było wcale pociągów. O to dawno! Tatuś tych czasów nie pamięta, ale dziadzio opowiadał nieraz o tem, jak podróżował we wozie pocztowym.

Biedni chłopcy, którzy jechali pocztą na wakacje!

— Swoją drogą, kolej żelazna, to wspaniały wynalazek — myślał Janek. — Pieszko trwałoby to może tydzień, może więcej, końmi

dojedzie za kilka dni, a kolejną, nawet takim powolnym pociągiem mieszanym, raz, dwa, trzy! — tego samego dnia jestem na wsi!

Gdy tak Janek sam jechał ze śpiącym podróżnikiem w przedziale, nudził się bardzo. Nie mógł ani skakać, ani biegać, ani mówić, ani śpiewać. Pomyślał sobie, jakby to źle było, gdyby tak, jak dawni ludzie, musiał podróżować pieszo. Na wakacje świąteczne z pewnością nie wyjechałby z miasta, bo sama droga dłużej by trwała od wakacyj. Zaczął myśleć o tem — nie wiedzieć, skąd mu się to wzięło — ile pracy włożono w ten wagon, w ten przedział, w którym jedzie.

— Ilu ludzi nad tem pracowało, strach! — pomyślał Janek.

Najpierw stolarz. Nie! przed stolarzem drwał, który wyciął drzewa z lasu i robotnik na tartaku, w którym z kłody deski zrobiono. A przed drwałem — gajowy, który drzewa sadził. Potem szklarz, potem kowal i ten, który kruszec z ziemi wydobył. A siatki, napisy, lampy! Niepodobna obliczyć tego!

A przecież wagony same — to nie wszystko! Przedtem trzeba było zrobić tor kolejowy, wygładzić drogę, nasypać okopy, porobić szyny, poukładać je...

I zanim zrobiono szyny i wagony — trzeba było wymyśleć pociąg.

Kto wymyślił pociąg?

I znowu na to złożył się nie jeden człowiek, ale dużo, dużo ludzi. Papin*) odkrył siłę pary, gdy ta wydobywając się z garnka, podnosiła pokrywkę. Przed nim wynaleźli ludzie ogień, bez którego nie można było ogrzać wody. Wynaleziono garnki i naczynia.

Watt**) zbudował pierwszą maszynę parową. Myślał o tem, że możnaby i wóz parowy zbudować — ale sam nie zrobił tego. Wynalazek jego zachęcił dużo pomysłowych ludzi. Ile to pracy, ile prób nieudanych! Aż wreszcie przyszedł Stephenson***), syn robotnika angielskiego i sam robotnik za młodu i zbudował lokomotywę.

— Dziwna rzecz — pomyślał Janek — że nigdy nie zastanawiałem się nad tem wszystkim.

Nic dziwnego. Janek chodził do szkoły i miał przez cały rok tyle zajęć, że uczył się, uczył i uczył; często gęsto nawet nie zdołał wyuczyć się lekcji. Wiedział przecież bardzo dobrze o kowalu i stolarzu, o Watt'cie i Stephenson'ie, ale nigdy nie miał czasu myśleć o wszystkim razem. Wiedział o każdej rzeczy z osobna, ale nie zbierał je w jedną całość, w jedną pracę łączącą najdrobniejsze usiłowania wszystkich ludzi we wielkie dzieła postępu.

(Dok. nast.).

*) Czytaj Pape. **) Czytaj Uot. ***) Czytaj Stifenson.



ZIMOWE UCIECHY.



Wiat zima! — wołały uradowane dzieci.

Wczoraj było jeszcze zielono na dworze, a przez noc napadał gęsty śnieg i grubym płaszczem pokrył całą ziemię.

Co za radość! Co za uciecha! Srebrne płatki błyszcząły precudnie w promieniach słońca, a szron, który pokrył gałęzie drzew iskrzył się tysiącami barwy!

— Zima! Zima! — wołała Marylka. — Może już lód stwardniał? Pójdziemy na ślizgawkę.

Stefek znał inną, weselszą od ślizgawki zabawę. Poszukał sanki, które dostał zeszłego roku, zaprosił brata, siostrzyczkę i cioteczne rodzeństwo.

— Pojedziemy w świat!

Dzieci zgodziły się na to chętnie, a ponieważ Stefek był rozsądnym chłopcem, więc rodzice pozwolili mu wziąć resztę dzieci ze sobą.

— Pojedziemy na odkrycie bieguna północnego. Naprzód marsz! — komenderował Stefek.

Dzieci uszeregowały się w pochód i poszły za przewodnikiem.

Stefek ciągnął sanki — Zdziś i Władek popychali je z tyłu.

Weszli tak na pagórek porosły drzewami. Szli ścieżką, jednak śniegu mieli po kolana.

Po drodze spotkali dużego brytana.

— Bryś! Bryś! Chodź z nami, będziesz naszym renem.

Ale Bryś kiwnął ogonem i uciekł.

— Obejdzie się bez rena! — zawołał Michaś.

— Teraz musimy szukać foki, trzeba się czemś posilić.

— Nie mamy przecież strzelb ze sobą — wtrąciła nieśmiało Wańdzia, rada w gruncie, że nie usłyszy strzelania.

— Strzelby? Po co strzelby? Mamy armaty najnowszego wyłazku, które rzucają pociski na dwadzieścia kroków.

To mówiąc, ugniół Stefek kulę ze śniegu i rzucił nią na plecy Wicusia, który przyłożył właśnie obie ręczki do ust i wołał:

— Hop, hop! Foki! Gdzie wy?

Chłopcy i dziewczęta rzucali kulami to na tę, to na ową stronę, na drzewa, na drogę, — na siebie i nawoływali foki — ale fok nie było.

— Wiecie co? — zawołał pomysłowy Kazik — ponieważ nie ma prawdziwych fok, zrobimy sobie fokę ze śniegu.

Po chwili leżała na ziemi olbrzymia foka.

Przy przednich łapach położyła Marylka na ziemi chleb z masłem, który wzięli na drogę.



Dzieci porobiły sobie zapas kul.

— Raz! dwa! trzy! na fokę! — zakomenderował Stefek.

Posypał się grad kul na śniegową fokę. Zwierzę musiało się poddać, a dzieci odebrały mu śniadanie.

W powrotnej drodze do domu usiadły wszystkie dzieci do sanek, które równo, gładko i prędko sunęły się po stokach pagórka, aż Stach wypadł z nich i leżał jak długi na śniegu.

— Wiwat zima! wiwat sanki! — wołały dzieci, a Stefek, i Władek powiewali czapeczkami.



Zabawa w ptasznika.

(Gra towarzyska.)

W domu rodziców Marylki i Kazia było dużo klatek z ptaszkami. Wesóły świergot odzywał się z każdego zakątka.

Dzieci przyzwyczały się do ptaszków, pamiętały o nich, dawały im nieraz jedzenie i często bardzo, podczas zabawy, bawiły się też w ptaszki.

Razu pewnego wymyślił Kazio nową zabawę, zabawę w „Ptasznika“.

Dużo dzieci zebrało się w domu rodziców Marylki i Kazia. Każde z nich przybrało imię jakiegoś ptaka. Jedno kukułki, drugie wrony, trzecie koguta, czwarte kaczki itd. Każde z nich miało naśladować głos swego ptaka.

Wszystkie ptaki usiadły na krzeselkach, a ptasznik — Kazio stanął w pośrodku. „Ptaki“ trzymały ręce na kolanach.

— Gdy wymienię które z was, niech zawoła ptasim głosem — przestrzegał Kazio — a jak zawołam: sowa! uhu! uhu! — prędko chowajcie ręce w tył, bo jak kogo złapię, to da fant bez pardonu i na moje miejsce zostanie ptasznikiem.

— Pit - pi - lit! za pozwoleniem — przerwała Zosia - przepióreczka — mamy ręce chować za plecy a kazałeś nam przedtem trzymać je na kolanach. Pit - pi - lit!

— Otóż właśnie, jak powiem sowa! uhu! — chowajcie ręce za plecy, a jak potem wymienię które z was, to wszystkie ręce na kolana, aż znowu nie zawołam: sowa — uhu! Uważajcie, bo inaczej fant! I ten kogo zawołam, musi zaraz odpowiedzieć ptaszącym swym głosem. A jak powiem: „wszystkie ptaki“, to wszyscy naraz odezwać się muszą ptasim śpiewem. Kto się omyli, da fant.

— Kuku! kuku! przepraszam bardzo — wtrącił Stach-kukułka — fant, fant, wiecznie fant na nas. A jeżeli nikogo nie złapiesz i będziesz wiecznie ptasznikiem, to twego fantu nigdy mieć nie będziemy?

— Owszem, jeżeli się omylę i wymienię takiego ptaka, którego w pośród was nie ma — ale spodziewam się, że do tego nie przyjdzie. A następnie daję fant każdemu razem, gdy nie uda mi się której z waszych rąk pochwycić.

— Więc zaczynamy!

— Tak, zaczynamy! — zawołały dzieci chórem.

Ptasznik zamyślił się i po chwili rozpoczął opowiadanie:

— Dziś z rana obudził mnie ze snu głos koguta...

— Kukuryku!

— Przecieram oczy i patrzę już szósta wybiła! Otwieram szybko okno i ubieram się pośpiesznie. A tam na podwórzu chodzi sobie poważnie indyk...

— Glu! glu! glu!

— I kura...

— Kod-ko-dak! ko! ko! ko!

— Kurczęta wodzi i kaczki...

— Kwa! kwa!

— Kołyszają się i gęsi...

— Gę-gę-gę-gę!

— Chodzą po podwórku.

— Wychodzę na pole, a tu skowronek...

— Tri-li-li! Tri-li-li!

— Cudnie śpiewa i z pobliskiego lasu odzywa się głos kukułki...

— Kuku! kuku!

— I przepiórka woła — prędko fant Zosiu! — i tak miło mi było słyszeć śpiewy tych wszystkich ptaków...

Wtem wszczął się koncert niebывały! Wszystkie dzieci zaczęły nagle naśladować głos swego ptaka, a jedno chciało przekrzyć drugie.

— Sowa — uhu! — zawołał nagle ptasznik.

Wszystkie ręce cofnęły się. Dzieci uśmieły się serdecznie z daremnych usiłowań Kazia, który napróżno starał się pochwycić jaką rękę i jak niepyszny musiał dać fant.

— Patrzę, aż tu na drzewie usiadła wrona...

— Kra-kra-kra!

Wszystkie ręce wróciły na kolana.

— Siedzi na drzewie, a potem zobaczywszy sowę — uhu! Brawo! Mam cię Franku! Teraz ty będziesz ptasznikiem i kończ za mnie opowiadanie!



Odpowiedzi od Redakcji.

5 i 6 klasie ewangelickiej szkoły męskiej we Lwowie dziękujemy bardzo za tak ładnie napisane listy. Cieszy nas to niewymownie, że tak chętnie „Promyk“ czytujecie i że dopomaga Wam w uczeniu się języka polskiego.

Irence F. z Machowy dziękujemy za ładną kartkę.

Salo G. w Tarnopolu. „Promyk“ cieszył się bardzo miłym listem Salo. Miło nam nad wyraz, że „Promyk“ podoba się Czytelnikom swoim.

Wiktoryi K. w Radymnie. Dziękujemy Wiktusi bardzo za list i adres koleżanki. Jaka szkoda, że Wiktusia nie pomyślała wcześniej o dawniejszych numerach — wszystkie są już broszurowane w roczniki.

Leonowi M. w Stanisławowie. Wedle starych legend, żyć miała dawnymi laty pewna niewiasta, zwana Dosią (Dorota), która doczekała się sędziwego wieku, jak powiadają, dwustu lat. Stąd życzenie: dożyć wieku Dosi, Dosiego roku, które weszło w zwyczaj przy powinszowaniach noworocznych.

Olesiowi P. w Tarnopolu. Po wysłaniu kartki do p. Jadwigi, znaleźliśmy jeden jeszcze, ostatni numer, który, choć splamiony nieco, równocześnie wysyłamy.

Witkowi T. w Kossowie. Czy Wicusz otrzymał naszą przesyłkę?

Elżbiecie S. w Niżborgu. „Promyk“ pozdrawia Elżbietkę serdecznie.

Tosi S. we Lwowie dziękujemy za list i zagadki.

Romci Z. we Lwowie. Otrzymaliśmy rozwiązanie zagadek bez podpisu — czy to nie Romcia nam je przysłała?

Czytelników naszych zawiadamiamy, że nie mamy na składzie książek, o których pisaliśmy w poprzednich numerach „Promyka“ i nie możemy trudnić się kupowaniem ich i wysyłaniem. Chcieliśmy Wam poradzić, co czytać i jakie książki kupować — ale my tych książek wcale nie sprzedajemy. Możecie je dostać w każdej księgarni, nawet i na prowincyi, albo księgarnie te, zamówią je Wam z pewnością.

„Latarenkę“ można dostać lub zamówić w każdej trafice, w której sprzedają gazety. Cena wynosi 50 h., nie, jak przez omyłkę podaliśmy 40 h.

W Administracyi „Promyka“ mamy na składzie tylko roczniki i kalendarze „Promyka“.

Zwracamy się do Czytelników naszych z usilną prośbą, by zechcieli ofiarować gry towarzyskie, których już nie używają sami i książki dla młodzieży, których już nie czytają, dla uczniów rzemieślniczych, by mogli oni rozerwać się i zabawić w wolnych chwilach. Za ubodzy są, by sami gry lub książki kupować sobie mogli. Rzeczy te należy przysłać na nasze ręce.

Znając naszych Czytelników, jesteśmy pewni, że o ile rodzice pozwolą, z największą gotowością wezwaniu naszemu zadość uczynią i zrozumią, że nie jest ofiarą taka przysługa, uczyniona uboższemu koledze.

Rozwiązanie zagadek N-ru 21 nadesłali:

Salo G. z Tarnopola, Wiktorya K. z Radymna, Leon M. ze Stanisławowa, Elżbieta S. z Niżborga, Tosia S. ze Lwowa i Romcia Z. ze Lwowa.

Kalendarzyk ścienny dostaje Salo G. z Tarnopola.

Rozwiązanie zagadek N-ru 21.

ZAGADKA nadesłana przez Tosię S. ze Lwowa.

Kowno, Treny, Rosya, Płock, Wołga, Gryka, Hucuł, Puhar, Kośba,
Wawel, Głina, Trąba, Tatar.**Wesołych świąt.**

SZARADA nadesłana przez Maryę H. z Przemyśla.

Ta — tar — ka.

SZARADA nadesłana przez Leona M. ze Stanisławowa.

proszę — prosię.

Zagadki.

ZAGADKA nadesłana przez Leona M. ze Stanisławowa.

- | | | | | | | | | | | | | |
|----|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|---|-------------------------------------|
| 1 | × | × | × | × | × | × | × | × | × | × | × | 1) ? |
| 2 | . | × | . | . | . | . | . | . | . | . | . | 2) Kolonia francuska w Indo-Chinach |
| 3 | . | . | × | . | . | . | . | . | . | . | . | 3) Cesarstwo w Europie |
| 4 | . | . | . | × | . | . | . | . | . | . | . | 4) Wyspy w archipelagu indyjskim |
| 5 | . | . | . | . | × | . | . | . | . | . | . | 5) Nil Biały |
| 6 | . | . | . | . | . | × | . | . | . | . | . | 6) Okupny kraj w Austrii |
| 7 | . | . | . | . | . | . | × | . | . | . | . | 7) Warownia rosyjska |
| 8 | . | . | . | . | . | . | . | × | . | . | . | 8) Wyspy australskie |
| 9 | . | . | . | . | . | . | . | . | × | . | . | 9) Miasto przy lewym brzegu Warty |
| 10 | . | . | . | . | . | . | . | . | . | × | . | 10) Puszcza na Litwie |
| 11 | × | × | × | × | × | × | × | × | × | × | × | 11) ? |

Pierwszą i ostatnią linią, oraz litery na wskos czytane, dają wyraz
życzeniu noworocznemu.

SZARADA nadesłana przez Manię H. z Przemyśla.

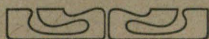
Pierwsze wprost, drugie wspak znajdziesz w alfabecie
Częścią francuskiej wagi będzie znowu trzecie,
Całość — niespodzianie najczęściej przybywa
A zawsze wiadomość ważną odkrywa,
Zarówno ląd, jak morze przebiega z szybkością
Ze smutkiem witana albo też z radością.

KWADRAT MAGICZNY nadesłała Tosia S. ze Lwowa.

1			
2			
3			

- 1) Oswobodziciel Szwajcaryi.
- 2) Okres.
- 3) Mieszkanie dzikich zwierząt.

Za rozwiązanie zagadek pomieszczonych w tym numerze przeznaczamy szachy.





KACZKI DLA MAŁYCH DZIECI

W KĄPIELI.



Marylka i Jadwinia kąpały się chętnie — co za radość plu-
skać się we wodzie! W lecie kąpały się zawsze
w rzece albo w stawie — a w zimie w „pokojuwym
stawie“ w dużej wannie.

W lecie rzucały kamyczki na wodę, albo rybki
w rzece łowiły rączkami — a w zimie prały bie-
liznę lalki w kąpieli, albo też puszczały na wodę
małe zabawki: kaczki, łabędzie i gąski.

Razu pewnego dała im mamusia dzbanek do
kąpieli.

Dziewczynki czerpały doń wodę i oblewały się wzajemnie.
— Naczerpię pół dzbanka wody i podniosę go, bo jestem
bardzo silna! — rzekła Jadwinia.

— A ja naczerpię pełny dzbanek — odparła Marylka.

— Nie potrafisz, bo on za ciężki. Ten dzbanek stoi zawsze na
umywalni. Próbowałam go podnieść dziś z rana i nie mogłam.

— Spróbuję!

To mówiąc Marylka napełniła dzbanek i nie wyjmując go
z wody obnosiła z łatwością po całej wannie.

— Wcale nie ciężki! Wcale nie ciężki! Jadwiniu spróbuj
ty teraz.

Jadwinia spróbowała i z łatwością obnosiła pełny dzbanek we wodzie.

— Czemu on teraz taki lekki?

— Obleję cię teraz całkiem pełnusięńkim dzbankiem! Pozwól!

Ale na próżno próbowały dziewczynki wyjąć pełny dzbanek z wody. Nie mogły go unieść.

Dzbanek wydawał się lekkim we wodzie, ale był ciężkim na powietrzu.

Wszystkie przedmioty są lżejsze we wodzie, niż na powietrzu, bo woda pcha je do góry. Woda pomagała dziewczynkom unieść dzbanek, więc dziewczynki mogły łatwo udźwignąć pełny dzbanek we wodzie.

Jadwinia przypomniała sobie, że mamusia męczy się bardzo niosąc ją na rękach po pokoju — a w lecie kąpała się z nią nieraz w stawie i na rękę ją trzymała, a wcale się tem nie męczyła.

Woda w stawie pchała Jadwinę do góry i pomagała dźwigać ją mamusi.

Malutkie dzieci nawet we wanience nie mogą się kąpać same. Choć na krzeselku siedzieć już umieją, to nie mogą usiedzieć we wanience — robią się takie leciuchne we wodzie, że mamusia musi trzymać je na rękach, by woda ich nie uniosła.

B.



NIEDŹWIEDŹ.



padł śnieg nie lada w dużym borze — biało było całkiem na ziemi i biało na drzewach, a gęste białe płatki wciąż jeszcze bez ustanku padały,

Pusto i smutno było w borze. Dużo ptaszków odleciało do ciepłych krajów, gdzie nie ma ani śniegów, ani mrozów, inne, jak wrony i sikorki poleciały bliżej miast, bo tam łatwiej im będzie znaleźć pożywienie.

Po lesie chodziły tylko wilki i lisy, zgrabne sarenki i małe zające skakały po śniegu.

Nawet wiewiórki nie widać! Schowała się gdzieś w dziupli drzewa, nakryła się puszystym ogonkiem — i śpi smacznie.

To samo zrobił i niedźwiedź.

Ogromne to zwierzę jest bardzo łakome. W lecie płata nieraz niemiłe figle osom i leśnym pszczołom. Na przykład zaczają się cichutko przy drzewie, w którym pszczoły założyły sobie gniazdo — i... porywa im plaster z miodem.

Osy i pszczoły bronią się, chcąc go ukłuć — a niedźwiedź oblizuje łapy, mruczy — i odchodzi dalej.

Nieraz zbliża się do krzaku malin. Staje sobie na tylnych łapach, a przednimi łapie krzak i najada się malinami. Zjada też borówki, poziomki i inne jagody.

Zwłaszcza młode niedźwiedzie lubią jagody.

Wydarza się nieraz, że gajowy przyłapie młodego niedźwiedzia, wtedy może go wyuczyć różnych sztuczek.

Niedźwiedź jest mądry i pojętny. Słucha każdego rozkazu. Uczy się chodzić na tylnych łapach, służy jak pies, podaje łapę na dzień dobry i tańczy nieraz przy muzyce.

W jesieni jest niedźwiedź najbardziej łakomym. Je przez cały dzień i nigdy nie jest syty. Najadłszy się, idzie do swojej nory i kładzie się spać.

Myślicie, że wstanie rano?

Gdzież tam! Jak zaśnie sobie z początkiem zimy, to przespia nieraz przez cały tydzień bez przerwy, czasem tylko wystawia głowę z nory i patrzy: czy już wiosna?

Widzi — śnieg leży w borze. Więc mruczy, wyciąga się leniwie — i zasypia na nowo.

Dopiero z wiosną rozpoczyna swoje wędrówki po lesie.



Ilustrowany Kalendarz „Promyka“ na rok 1905

obejmuje

kalendaryum, kalendarz historyczny, kronikę polską, kalendarz kwiatowy, powiastki, opowiadania, poezye, gry towarzyskie, zabawy, zabawki domowej roboty, robótki ręczne itd.

Cena 60 halerzy.

DLA ABONENTÓW „PROMYKA“ WRAZ Z PRZESYŁKĄ 50 HAL.



Broszurowane roczniki „Promyka“ z r. 1904

są do nabycia w naszej Administracyi

===== w cenie 2 koron. =====

PRENUMERATA WRAZ Z PRZESYŁKĄ WYNOSI:

W Austrii rocznie 2 K, półrocznie 1 K, kwartalnie 50 hal. — W Królestwie w kopertach 4 ruble. — W Niemczech 2 marki. — W Francyi i w Szwajcaryi 5 franków. — W Ameryce 1 dolar.

———— Numer pojedynczy 10 halerzy. ————

Wydawczyni i odpowiedzialna redaktorka: **Jadwiga Czajkowska.**
Drukarnia Udziałowa we Lwowie, ul. Kopernika 20.

PROMYK



PISMO ILUSTROWANE DLA MŁODZIEŻY I DZIECI

WYCHODZI 1. i 15. KAŻDEGO MIESIĄCA.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, Miłkowskiego 11.

FILIA ADMINISTRACYI: KRAKÓW, GRODZKA 50.

AGOT GJEMS SELMER.

ŻYCIE W LESIE.

Rozdział z powieści pt. „NAD DALEKIM CICHYM FJORDEM“.



adno z naszych dziewczątek nie przepada tak za kwiatami jak mała siostrzyczka przezwana w domu „kurczątkiem“. Ona najlepiej umie wyszukać najpierwszy kwiatek z wiosną, i z wielką radością przynosi go matce.

Przy drodze pod drzewami znachodzi zwykle ona ładniejsze kwiatki, zawsze coś nowego i ładnego wynaleść umie.

Pewnego lata mieszkała mamusia na hali w małym ładnym szałasie.

Jakże tam było precudnie! Nigdzie na całym świecie nie masz takiej ciszy, takiego spokoju! Tam na tchnącym przedziwnym spokojem łonie gór, znaleźć można prawdziwie kojący wypoczynek. Jest się zupełnie samotnym, człowiekowi towarzyszą

ЛВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА

АН УРСР

№ П-

tylko własne jego myśli nawet takie, których nieświadom jest u dołu wśród ścisku i ciżby ludzkiej.

Dziewczątka przyszły na halę do mateczki w odwiedzinach i zostały u niej przez noc, co za radość! Z wieczora wesoły ogień palił się na kominku, a słońce oświetlało przez całą noc*) szczyty gór i ciche jezioro, na którym tylekroć razy wiosłowaliśmy i łowili pstragi.

Nazajutrz udaliśmy się wszyscy nad urwiska, na poszukiwanie linei,**) jednej z licznych ulubionych roślin naszej mateczki.

Była to wspaniała wycieczka! Ile tu widzieliśmy ciekawych rzeczy! Ileśmy tu doznali wrażeń! Jakim gorącym tętnem bije życie leśne, jeżeli się tylko umie dojrzeć je i zrozumieć!

Przeszliśmy najpierw piękny gaj, przez który przepływał strumyk. Pod drzewami rozciągał się najwspanialszy kwiecisty kobierzec. Utworzyły go delikatne misternie pnące się roślinki, jasno fioletowe bodziszki, cudne pierwiosnki, sasanki i przepiękne duże dzikie niezabudki. Nie ma chyba na świecie parku, ani ogrodu, któryby mógł równać się takiej okwieconej leśnej murawie, na której przyroda sama hojną ręką kwiaty posiadała.

Linea wszakże rośnie tylko w jednym miejscu, wysoko, daleko, w górze nad urwiskiem. Tam na samiułkim brzegu wiszą małe, delikatne, różowe dzwoneczki linei i spoglądają prosto w niebiosa. Trudno było wydostać się tam po stromej skale. Nareszcie dotarliśmy zdyszani. Mateczka nie posiada się z radości na widok tego miłego kwiatu. Uklękła przy nim i mówi: „jakże jesteś pełen wdzięku delikatności!“

Nie mogła opanować wzruszenia, miała oczy pełne łez, zdawało się, że na widok tej górskiej, samotnej różowej roślinki stanęły jej przed oczami własne dziecięce lata.

Żadnej z nas nie wolno zbliżyć się całkiem do urwiska, tylko mateczce i Hansinie, służącej która nam towarzyszy.

Obie one leżą całkiem na ziemi i mocno wyciągają ręce rwą, rwą. Przed niemi w dole straszna rozciąga się przepaść, boją się nawet spojrzeć w nią, a właśnie tam rosną linee.

„Mamusi, mateczko, tu, tu, spójrz tylko i tu są, jest ich tyle!“ woła kurczątko, które u stóp drzewa odkryło grupkę różową. „Patrz mamusi, tu pod drzewem rośnie jakby jakaś mała, osobna rodzinka linei“.

Mateczka podchodzi, obie ręce pełne ma linei i siada na trawie.

„Z pewnością mówi mateczka, to osobna rodzinka, zupełnie jak nasza, ludzka rodzina“.

„Mówiłaś nam to już mamusi, ale zapomniałam trochę jak to było“.

*) Rzecz dzieje się w północnej Norwegii, w kraju tak bardzo na północ wysuniętym, że letnią porą słońce wcale nie zachodzi.

**) Linea czyli „dzwonki mchowe“ jest roślinką, która żyje tylko w północnych krajach.

Wszystkie usiadły na około mateczki na miękim kwiecistym kobiercu, twarzyczki miały zaróżowione, a ciekawe oczęta zwróciły na mamę. Wyglądały same jak kwiatuszki linei, nie, jak duże kwiaty, bo i sukienki ich były różowe całkiem jak linee. A Hansina oparta o starą brzozę, stała i słuchała uważnie co matula powie.

„Tak jest, to rodzinka, powiada mateczka, biorąc w opalone ręce drżący mały dzwoneczek linei.

„Spójrzcie. Wysoki smukły pręcik w środku kwiatka jest kwiatkowym ojczulkiem a kwiatkową mateczką jest słupek. Pewnego dnia, trochę żółtego pyłku z pręcika upada na słupek, wpada w słupek i zostaje w nim aż póki nie dojrzeje, wtedy słupek roztwiera się i wylatuje z niego na ziemię już nie pyłek, ale ziarno, które kiełkuje w ziemi i wydaje nową malutką lineę, — kwiatkowe dzieciątko“.

„To miluchne, czy tak jest naprawdę mateczko?“

„Naprawdę, nie inaczej. I tak jest wszędzie. Spójrzcie dookoła, wszędzie tam gdzie bije tylko tętno życia, istnieją takie rodziny. Trawa, kwiaty, ptaki, zwierzęta i ludzie żyją dzięki temu i to właśnie, że tak jest, czyni życie bogatym i pięknym a ludzi szczęśliwymi“.

Podczas gdy matenka tak z dziewczátkami gwarzy, poruszyło się coś opodal, nagle duży ptak jakiś wyleciał tuż, tuż przy nas z trawy. Była to kuropatwa. Stało się to tak nagle i niespodziewanie, że drgnęliśmy wszystkie, a matka aż krzyknęła z przestachu. Kuropatwa okrążała nas z krzykiem, bała się widocznie czegoś. Pełna trwogi, przerażenia i niepokoju nadlatywała co chwili.

„Siedźcie cichusienko — mówi mateczka — zobaczycie zaraz jeszcze inną rodzinę“.

„Gdzie też mamusiu?“

„Cicho, tylko cicho“ — Rzeczywiście tuż przy nas usłyszeliśmy ciche kwilenie pisklęcia i znowu w malinach takie samo słabe piskle się odezwało. Istotnie czyż nie usiedliśmy wśród rodzin ki kuropatwiej? To dopiero wydarzenie wesołe! Już naprawdę Hansina zobaczyła pisklątko leżące w trawie malutkie, nie płochliwe nawet, bierze je w ręce i przynosi nam, potem jeszcze drugie — mama delikatnie je trzyma.

Nie posiadamy się z radości, że danem nam jest takie miluchne kuropatwiątko z bliska oglądać. Słodziuchne stworzenie! Ma małe brązowe i czarne plamki na skrzydłach i grzbiecie, międzusiennie, jedwabiste, jasno brązowe piórka na piersi i małe czarne, błyszczące oczka — doprawdy chyba miłsze to od młodych naszych kureczek.

Ale biedna mamusia-kuropatwa okrążała nas z taką trwogą! I oto kuropatwi ojculek nadlatuje, tuż przy głowach naszych lata, zły jest, niespokojny, dziwi się pewnie czego tu szu-

kamy i dlaczego burzymy spokój jego rodziny. Oboje tak troszczą się o swoje dzieci!

„Nie trwożcie się, nic im złego nie zrobimy! — mówi mateczka oddając ptaszątka ostrożnie na miejsce, z którego je wzięła, a one wsunęły się natychmiast dalej w gąszcz, aż stary ptak nie zwabił ich za sobą dalej jeszcze.

„To też była rodzina. Widzieliście jak matka kuropatwa swoje dzieci kocha. Przez długie dnie i noce siedziała ona na małych jajuszkach i wygrzewała je sumiennie. Aż pewnego dnia zakwiliło coś w nich, kuropatwa wiedziała wtedy, że powstanie teraz już niebawem nowe małe żyjątko i czekała na nie cierpliwie grzejąc tylko ciągle. A gdy mateczka ptaków głodną była i odlecieć chciała by poszukać sobie pokarmu, wówczas ojciec zajmował jej miejsce i wygrzewał jajka, by maleństwa w nich nie odczuły chłodu. W ten sposób matka i ojciec razem osłaniali to dziecko swoje, które dopiero powstać miało i cieszyli się na nie. Wiercie mi, że oboje znają dobrze swoje młode i odróżniają od pisklat innych kuropatw, zupełnie jak ja was rozpoznaję i z innemi dziećmi nie zamieniam. To by przecież było niemożliwem bo wy jesteście moje i nie kochalibyście innej matki tak jak mnie kochacie“.

„Nie, nie mateczko, bo też żadna nie jest tak dobrą jak ty, żadna na całym świecie, ty, ty nasza!“ — to mówiąc wszystkie dziewczątka uwiesiły się mateczce na szyi, ścisnęły, całowały i pieściły ją czule. (d. n.)



NA WAKACYE!

(Dokończenie)

Po raz pierwszy w życiu zastanowił się Janek nad tem, że wszyscy ludzie zawiśli są jeden od drugiego: kowal od szewca, szewc od ślusarza, ślusarz od krawca, krawiec od stolarza, stolarz od ogrodnika; że nawet Stephenson nie zrobiłby był swego genialnego wynalazku, gdyby, jak Robinson Kruzoe, żył sam jeden na świecie, gdyby musiał sam drzewa sadzić i czekać aż wyrosną, gdyby sam deski robił, sam kruszec kopał, przetapiał go i fabrykował sztaby i blachy.

Po raz pierwszy zrozumiał, że ludzie zawsze wspólnie pracują — i że powinni pomagać sobie w tej wspólnej pracy.

Wśród takich rozmyślań dojechał Janek do stacyi, na której miał się przesiadać.

Janek wyszedł z wagonu i przechadzał się wzdłuż toru.

Zjadł podwieczorek, który mu mamusia przygotowała. Co chwila patrzył na zegarek.

Strach, jak się ten czas wlecze!

Pociągi przyjeżdżały i odjeżdżały. Podróżni kręcili się po peronie, wsiadali i wysiadali. Witali się i żegnali.

Jedna lokomotywa stanęła pod studnią. Napompowano do niej moc wody.

— Acha! to na parę! — pomyślał Janek.

Uszedł kilka kroków. Tam znowu ładowano węgiel na lokomotywę.

— Acha! to na ogień! — pomyślał Janek, — Węgiel pali się, daje ciepło — rozumował chłopak — to, co było kamieniem — zamienia się w ciepło. Jakie to dziwne! Jakie ciekawe!

I przypomniał sobie nagle, że o tem samem właśnie mówił dziś nauczyciel w szkole — ale wtedy był roztargniony, nie uważał, wydawało mu się to takie nudne, takie nieznośne.

— A przecież to ciekawe! zauważył Janek sam do siebie.

— Co ciekawe? — zapytał maszynista, który przyglądał się z lokomotywy chłopakowi.

— Że to proszę pana! — bąkał zmieszany chłopak — ten kamień, to znaczy niby węgiel, zamienia się w ciepło.

— Ha! A ciepło zamienia wodę w parę. A para, to pracuje nielada!

— Ciepło zamienia się w pracę! — Jankowi zaiskrzyły się oczy.

— Niby tak! — odpowiedział maszynista, patrząc na rozpromienionego chłopca. — Dokąd jedziesz?

— Do Z...

— Masz 2½ godzin czasu! Ja także mam godzinę czasu. Jeżeli chcesz, wskakuj na lokomotywę, może nie widziałeś jej z bliska?

Jaś nie dał się prosić. W jednej chwili znajdował się obok maszynisty. Pierwszy raz na lokomotywie! Co za szczęście! Toż to się koledzy zdziwią, gdy im opowie!

— Strasznie tu gorąco panie! — rzekł po chwili — aż w oczy kłuje.

— Trzeba się przyzwyczaić do tego. Ten żar, to z kotła.

To mówiąc, wskazał mu ręką długi, leżący walec, napęnliony kipiącą wodą.

W ognisku pod kotłem palił się węgiel.

Z tyłu kotła znajdował się otwór, pokryty blaszaną pokrywą. Para podnosiła co chwilę pokrywę i umykała.

— Szkoda pary! — zawołał Janek. — Kocioł popsuł się zapewne. Trzeba wziąć młotek i gwoździe...

— Po co?

— Aby przybić tę blachę.

— Nie! odpowiedział maszynista. To umyślnie tak urządzone, aby nadmiar pary mógł uchodzić. To kłapa bezpieczeństwa. Woda trzyma się spokojnie w naczyniu, ale para ujęćby rada na wszystkie strony. Ciśnie o ściany kotła, a taka silna — że mogłaby kocioł rozsadzić, gdyby nie zastawiono jej miejsca do ujścia.

Janek słuchał zdziwiony.

— Wreszcie cały ruch pociągu polega na tem, że para szuka sobie miejsca do ujścia! Zaraz ci to pokażę.

— Fi-fit! Fi-fit! zaświstała inna lokomotywa, nadjeżdżając właśnie na stację.

— Aż to ci śwista! — powiedział Janek. — Jak oni to robią? — zapytał nieśmiało maszynistę.

— Ot po prostu puszczają parę przez tę wąską rurkę. Para ścieśnia się, bije o ściany rurki, potem nagle wychodzi na ogromną przestrzeń i tak śwista. Przecież ty do świstania też wargi mocno ściskasz, aby powietrze trudniej przedostało się przez nie.

Janek przyjrzał się nadjeżdżającej lokomotywie. Wszystkie koła połączone były dużą sztabą, która je w ruch wprowadzała. Sztaba ta wchodziła u przodu lokomotywy do dużej puszeki, znajdującej się poniżej kotła.

— Czy to też kocioł?

— Nie! to komora, do której ucieka para z kotła. To najważniejsza część lokomotywy, choć mała w porównaniu do kotła.

To mówiąc, maszynista zeszedł z lokomotywy, a Janek wyskoczył za nim. Maszynista wyjął notatkę i narysował podaną rycinę:

— Widzisz na lewo tę oto małą sztabkę, ona rusza to pudełko, zwane szufladką (*T*). Rusza wciąż tam i napowrót, tam i napowrót.

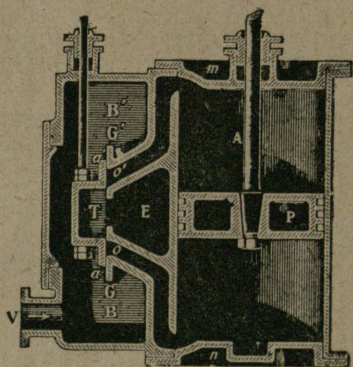
W tem miejscu (*V*) wchodzi para z kotła. Wchodzi i zapełnia całą przestrzeń *B* i *B'*.

Szufladki, jak widzisz, zakończone są krawędzią *a* i *a'*, które ślizgają się po *G* i *G'*.

Wyobraź sobie, że sztabka pcha szufladkę w dół: otwór *o'* jest wolny i para z *B'* dostaje się do środka tej komory, w której znajduje się tłoczek *P* na długiej, dużej, silnej sztabie *A*.

Nachodzi tedy dużo pary do górnej części komory tłoczko-wej — i tłoczek w dół popycha.

Ale szufladka nie stoi w miejscu. Idzie wciąż miarowo tu — tam, tu — tam. Więc teraz z kolei idzie szufladka do góry. Para nie może już przejść przez otwór *o'*, ale za to *o* jest otwarte. Więc para ze zbiornika *B* tu się tłoczy, wchodzi teraz do dolnej



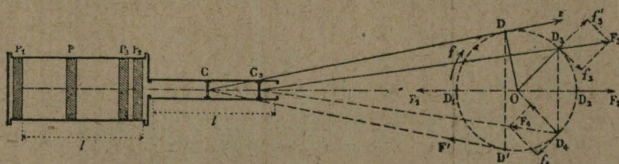
części komory i pcha tłoczek do góry. A para z górnej części komory, tłoczkiem wypychana, ucieka do szufladki, a stamtąd osobnym otworem uchodzi.

Tak to ciągle, bez ustanku, mała sztabka posuwa szufladkę w dół i w górę, posuwa tu — tam, tu — tam. Ciągłe bez ustanku nowa para z kotła się ciśnie i ciągle, raz przez o , to znów przez o' dostaje się do komory, a zużyta para przez szufladki wychodzi.

Więc tłoczek siłą pary pchany idzie wciąż w przód — w tył, w przód — w tył, w przód — w tył.

Do tłoczka przymocowana jest sztabka A . Więc i sztabka idzie wprzód — w tył, w przód w tył.

Teraz narysuję ci inną rzecz. Zobaczysz jakim sposobem tłoczek koła rusza.



Oto masz naszą komorę, a w niej wędruje tłoczek P ze swoją sztabką A .

Na końcu sztabki widzisz trzonek C . On tak samo jak sztabka rusza się w przód — w tył, w przód — w tył.

Do trzonka przymocowany jest wahacz $C-D$, długa sztaba, którą widzisz tu przy kole. Połączony jest z trzonkiem, ale nie tak nieruchomo, jak członek do sztaby i sztaba do tłoczka. Przeciwnie — on może ruszać się jak na zawiasach.

Do wahacza $C-D$ przymocowana jest korba koła $D-O$ również ruchomo, jak na zawiasach.

Jeżeli tłoczek w komorze znajduje się w miejscu P wtedy trzonek znajduje się w miejscu C a koniec wahacza w D .

Jak tłoczek przyjdzie do miejsca P_1 — trzonek przychodzi do C_1 a koniec wahacza do D_1 .

Jak tłoczek przychodzi do P_2 — trzonek dochodzi do C_2 , a koniec wahacza do D_2 .

Takim sposobem, choć tłoczek, sztaba i trzonek idą zawsze tylko w przód — w tył, w przód — w tył, to wahacz, przymocowany do nich, jak na zawiasach — zaczyna wirować. Już koniec jego przy C lekko wiruje, a przy D wiruje wahacz już całkiem wyraźnie i nadaje ruch kołowy korbie $D-O$.

Wszystkie koła lokomotywy połączone są ze sobą. Wystarczy, by jedna się ruszyła — aby pociągnęła za sobą wszystkie.

Tym sposobem lokomotywa idzie wprzód i ciągnie za sobą inne wozy.

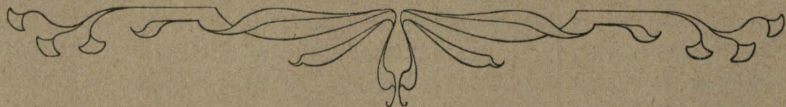
Ćiwar na dworcu wzmagał się. Mnóstwo pociągów szło w przeróżne strony.

— I na mnie czas — rzekł maszynista, spoglądając na zegar.

Janek został znów sam na dworcu. Nie nudził się już, nie niecierpliwił, ale przyglądał się uważnie wszystkim lokomotywow, teraz, gdy rozumiał ich budowę.

Czas mijał mu szybko, ani się spostrzegł jak nadeszła chwila w której mógł wsiąść do pociągu i pojechać na wieś.

E. B. L.



ALFONS DAUDET (CZYTAJ DODE).

Nadzwyczajne przygody imci pana Tartarin'a z Taraskonu.

(Z francuskiego).

(C. d.)

VI. POCZTA.



W ięc nie ma lwów w pobliżu miasta? Tartarin postanowił szukać ich w głębi kraju.

Zabrawszy wszystkie swoje manatki, wsiadł na wóz pocztowy, który jechał w kierunku południowym.

Był to staroświecki wóz na wysokich kołach, o wypłowiałem obiciu. Ławeczki były wąskie, Tartarin z trudem zajął swoje miejsce.

W woźie siedział zakonnik, kilku kupców, dwie niewiasty i fotograf. Wszyscy zapoznali się rychło i gwarzyli wesoło.

Ale Tartarin nie mieszał się do ogólnej rozmowy. Poważnie zadumany trzymał oburącz strzelby oparte o ziemię.

Nadszedł wieczór. Konduktor zaświecił latarnie — głosy podróżników milkły z wolna.

Wszyscy usnęli. Już i Tartarin zdrzemnął się na poły, gdy usłyszał nagle wołanie:

— Panie Tartarin! Panie Tartarin!

— Kto to? — zawołał bohater.

To ja kochany, drogi panie Tartarin! Nie poznaje mnie pan? Jestem tym samym woźnicą, który przed dwudziestu laty

pełnił służbę między Nimes*) a Taraskonem. Jakże często woziłem panów, gdy jechaliście polować na czapki!

W pierwszej chwili nie poznałem pana — przytyłeś pan, prócz tego zmienia pana tureckie ubranie! Ale skoro pan zaczął chrapać — zaraz pana poznałem!

— Jakim sposobem dostaliście się tutaj?

— Ach zacny, dobry, kochany panie Tartarin! — westchnął woźnica. — We Francyi pobudowano moc kolei żelaznych, a nas biednych pocztylionów wygnano do Algieru. O jakże tęsknię za Francją, za Taraskonem. Tu siedzę na starem, wytartym pudle, zamiast rośłych silnych koni — dano mi te małe arabskie szkapę...

— Blidah! Blidah! — zawołał konduktor.

Wóz stanął. Znajdowano się wśród pomarańczowego gaju. Promienie wschodzącego słońca oświeślały drzewa i dachy domków wśród nich rozmieszczonych.

Drzwiczki woza otwarły się i wszedł mały, wąty staruszek. W jednej ręce trzymał skórzaną tekę, w drugiej parasol.

Starzec popatrzył zdziwiony na zbroję Tartarina i nie spuszczał z niej oka.

Wóz ruszył z miejsca. Starzec patrzył wciąż na Tartarina.

— Co się pan tak gapisz? — wrzasnął zniecierpliwiony mąż z Taraskonu.

— Jest mi trochę ciasno — odparł spokojnie starzec. Rzeczywiście, zbroja Tartarina krępowała wielce ruchy podróżnego.

Odpowiedź małego, niepozornego człowieczyny rozdrażniło go.

— Tak? Sądzisz pan może, że mógłbyś pójść na lwy ze swoim parasolem?

Podróżny spojrzał na swój parasol i uśmiechnął się łagodnie. Potem podniósł wzrok na Tartarina i rzekł zwykłym, spokojnym swym głosem:

— Pan jesteś...

— Tartarin z Taraskonu, wybieram się na lwy! — wyrzekł z dumą podkreślając każde słowo. Nagłym ruchem podniósł wysoko głowę, aż kutas fezu zadrgał.

Zdziwienie odmalowało się na twarzy wszystkich podróżnych. Zakonnik zdumiał, panie wykrzyknęły przerażone, a fotograf przysunął się bliżej do bohaterskiego męża.

Starzec tylko zachował swój spokój.

— Czy upolowałeś pan już wiele lwów, panie Tartarinie? — zapytał.

— Pytanie! Chciałbyś pan mieć tyle włosów na głowie ile poległo już z mej ręki.

Wybuchła ogromna wesołość — wszyscy spojrzeli ze śmiechem na łysą głowę staruszka.

*) Miasto w południowej Francji czytaj Ni m.

— Straszny ma pan zawód — rzekł fotograf. — O nieszczęście nie trudno! Wszak przytrafiło się raz temu biednemu Bombonnel...

— Ach! wiem! Ten co na pantery poluje! — wtrącił Tartarin machnąwszy ręką z pogardą.

— Czy znasz go pan? — zapytał mały człowieczek.

— Oczywiście! Polowaliśmy społem ze dwadzieścia razy.

Starzec uśmiechnął się i zapytał:

— Więc pan polujesz i na pantery, panie Tartarinie?

— Tak... czasami.., dla odmiany!

Dumnie podniósł głowę i rzekł z godnością:

— Co znaczą pantery — przy lwach!

— Naturalnie! — zawtórował fotograf. — Bo właściwie pantery to tylko duże koty.

— Słusznie! słusznie! potwierdził Tartarin — i zaczął żywo i barwnie opowiadać najrozmaitsze łowieckie przygody, wcale nie pochlebnie wyrażając się o Bombonnel'u.

Wóz stanął.

— Jesteś pan na miejscu! — rzekł konduktor do małego człowieka, z wyrazem głębokiego uszanowania w głosie.

Starzec powstał, wysiadł z wozu, a następnie, zwróciwszy się do Tartarina wyrzekł ze zwykłym sobie spokojem:

— Czy mogę udzielić panu radę, panie Tartarinie?

— Jakaż to?

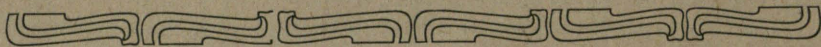
— Jesteś pan zacnym, porządnym człowiekiem. Usłuchaj mnie pan — wróć do Taraskonu. Szkoda czasu pańskiego. W Algierze nie ma lwów — ostatniego zastrzelił niedawno przyjaciel mój Chassaing. Są wprowadzić jeszcze pantery w kraju — ale to za małe zwierzę dla pana!

To mówiąc, nieznajomy skłonił się uprzejmie, zamknął drzwi wozu i poszedł unosząc skórzaną swą tekę i parasol.

— Konduktorze! — zawołał rozniewany Tartarin — kto to był, ten pan?

— Jakiż? Pan go nie zna? To przecie pan Bombonnel!

(C. d. n.)



CO CZYTAĆ?



najnowszych czasach wyszły w Warszawie dwie nowe książeczki dla młodzieży, które gorąco Czytelnikom naszym polecamy.

Dobrze się składa, bo jedna to powieść, a druga — dziełko naukowe. Więc różnaitość dla Was upragniona.

Autorem dziełka naukowego jest znany Wam już z „Promyka“ przyrodnik, Stanisław Kramsztyk. Książeczka jego

najnowsza pt. „Opowiadania naukowe“, wyszła w księgarni Wende i Spółka.

Opowiadania to nader ciekawe, o ile ciekawsze od zmyślnych bajek i powieści! Toż to tajemnice rzeczywistego świata autor przed nami odsłania! a czyni to w sposób tak przystępny, tak miły, tak zaciekawiający, że z łatwością i przejęciem, zupełnie jak powieść, książeczkę tę czytać można. Niby o rzeczach znanych mówi nam Kramsztyk w tej najnowszej książeczce, o rzeczach otaczających nas, a jednak cały nowy świat przed nami odkrywa. Po przeczytaniu „Opowiadań“ niemal „innymi oczami“ tj. z innym zrozumieniem patrzymy na drzewo lub węgiel palący się w piecu, na człowieka spoconego, z innym uczuciem kładziemy się pod ciepłą kołdrę, spoglądamy inaczej, rozumniej, na deszcz, lód, wodę, mgłę i tysiące zjawisk i przedmiotów z którymi w ciągłym jesteśmy zetknięciu.

Przeczytawszy tę książeczkę odczuliśmy prawdziwą wdzięczność dla autora, że tak pięknym dziełkiem wzbogacił literaturę naszą dla młodzieży, książek takich jak ta i pouczających i ciekawych i łatwych, zaiste nie wiele mamy.

Oczywiście książeczka nadaje się dla czytelników myślących i poważniejszych, już takich którzy są w gimnazyum np. od drugiej lub trzeciej klasy lub odpowiednich klasach innych szkół.

Druga książeczka którą gorąco Czytelnikom polecamy to powieść przetłómaczona ze szwedckiego pt. „Nad dalekim, cichym fjordem“ autorką tej pięknej prawdziwie powieści jest pani Agot Gjems Selmer. Polskie tłómaczenie wyszło staraniem księgarni Centnerszwer i S-ka w Warszawie.

Starsi czytelnicy nasi znają dwa rozdziały tej powieści, które zamieściliśmy w ubiegłym roku w „Promyku“ przed okazaniem się polskiego przekładu na półkach księgarskich.

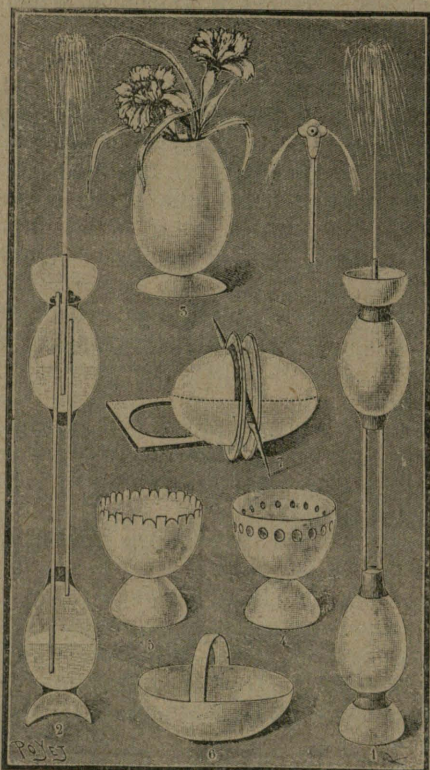
Powieść ta opisuje życie rodziny lekarza, który pracuje het na północnej placówce Europy, tam gdzie w zimie słońce żegna ludzi na parę miesięcy, a w lecie świeci przez całą dobę. Twarde to życie wśród śniegów, burz, zawieji i lodu, ale jakimże serdecznem ciepłem rodzinnej miłości owiane! Tem ciepłem tchnie dziełko całe, ciepłem i prostotą, i szczerością. Przyswojenie go literaturze polskiej jest rzeczywistą zasługą.

Szkoda jednak niepowetowana, że w tłómaczeniu polskiem opuszczono cały niemal prześliczny końcowy rozdział powieści. Polskie dzieci są zupełnie tak mądre, roztropne i myślące jak dzieci szwedzkie lub niemieckie, które książeczkę w całości dostały.

Aby powetować młodzieży naszej tę krzywdę — umieścimy w tym i następnym numerze „Promyka“ ów rozdział opuszczony w książeczce i żal nam, że tylko Czytelnicy „Promyka“ znać go będą.

Wrzos.





Zabawki z jaj.

Trudno jest wprowadzić sobie zabawki przedstawione na rycinie, ale można się do tego wprawić. By skorupki z jaja w rękę nie zgnieść wycina się w grubym kartonie kółko i wsadza weń jajo w miejscu gdzie je przeciąć chcemy. Skorupkę jaja tnie się piłką zegarmistrzowską.



Do naszych Czytelników.

Zwracamy się do Czytelników naszych z usilną prośbą, by zechcieli ofiarować gry towarzyskie, których już nie używają sami i książki dla młodzieży, których już nie czytają, dla uczniów rzemieślniczych, by mogli oni rozerwać się i zabawić w wolnych chwilach. Za ubodzy są, by sami gry lub książki kupować sobie mogli. Rzeczy te należy przysłać na nasze ręce.

Znając naszych Czytelników, jesteśmy pewni, że o ile rodzice pozwolą, z największą gotowością wezwaniu naszemu za dość uczynią i zrozumią, że nie jest ofiarą taka przysługa, uczyniona uboższemu koledze.



Odpowiedzi od Redakcji.

Ryszardowi A. w Zakopanem. Redakcja bardzo się ucieszy, gdy Ryszard przysłał jej swoje rysunki. Zamieszczać będziemy jednak tylko takie rysunki naszych Czytelników, które będą bardzo dobre. W jednym z przyszłych numerów zamieścimy rysunek psa, przesłany nam przez wiejskiego chłopaka, dziesięcioletniego Iwasia K., który się nigdy rysunków nie uczył. Psa tego narysował całkiem sam, bez niczyjej pomocy. Dziękujemy też bardzo Ryszardowi za książki dla uczniów rzemieślniczych.

Renée A. w Przemyślu. Dawno już bardzo Renée do nas nie pisała. Szkoda że Renée nie rozwiązała wszystkich zagadek.

Józiovi B. z Limanowy. Dziękujemy Józiovi za miły liścik.

Białej Lilijce we Lwowie posyła „Promyk” serdeczne pozdrowienie.

Salo G. w Tarnopolu. List Salo bardzo nas ucieszył. Może nam Salo powie, co mu się w „Promyku” najbardziej podoba?

Maryi H. w Przemyślu. Dziękujemy Mani za zagadki. Pieniądzy otrzymaliśmy.

Aleksandrowi L. w Kołomyi. Kartkę dostaliśmy i dziękujemy za nią.

Wilmie M. w Kołomyi. Nader mile poruszył nas list Wilmusi. Ciekawi jesteśmy bardzo ile Wilmusia ma lat i jakim sposobem na „Promyk” zarabia? Powiastka bardzo się nam podobała — radziłyśmy wiedzieć jeno, gdzie ta dziewczynka mieszkała — bo u nas w kraju kolibry dziko nie żyją.

Olesiowi P. w Tarnopolu dziękuje „Promyk” serdecznie za list i zagadki.

Janince R. we Lwowie dziękujemy bardzo za adresu znajomych. Kartka doszła nas gdy zeszedł numer „Promyka” był już wydrukowany — dlatego nie mogliśmy przedtem odpowiedzieć.

Tosi S. we Lwowie zasyła „Promyk” serdeczny uścisk za taki miły list.

Tytusowi W. w Stanisławowie. Ślicznie napisana kartka Tytusa bardzo nas ucieszyła i dziękujemy za nią serdecznie.

Paulince Z. we Lwowie. Dawno bardzo nie mieliśmy listu od Paulinki, to też miło nam było przeczytać list i zagadki. Zagadek nie losujemy — sądzimy, że najsprawiedliwiej zasłużył ten na nagrodę, kto przysłał najlepsze i najstaranniejsze opracowanie. Jeżeli dwa opracowania równie są dobre, to ten dostaje nagrodę, kto częściej nadsyła rozwiązanie.

Odpowiedzi na listy, które doszły nas po 11. b. m. odkładamy do następnego numeru.

Rozwiązanie zagadek N-ru 1 nadesłali:

Renée A. z Przemyśla, Artur B. z Przemyśla, Józio B. z Limanowy, Biała Lilijka ze Lwowa, Salo G. z Tarnopola, Maryan H. z Przemyśla, Aleksander L. z Kołomyi, Oles P. z Tarnopola, Tosia S. ze Lwowa, Paulina Z. ze Lwowa, Michalina P. z Żywca, Alfred H. z Kołomyi, Lorcja i Brońcia N. z Tarnopola, Fryda R. z Tarnopola, Marya O. ze Lwowa, Karol R. ze Lwowa, Irenka F. z Machowy, Markus i Ernestyna N. z Tarnopola, Wiktusia K. z Radymna i niepodpisany z Krakowa.

Szachy dostaje Józio B. z Limanowy.

Rozwiązanie zagadek N-ru 1.

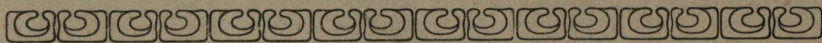
ZAGADKA nadesłana przez Leona M. ze Stanisławowa.

Dosiego roku.

Kochinchina, austriackie, Filipińskie, Bahr el Abiad, Hercegowina,
Władywostok, Nowe Hebrydy, Częstochowa, Białowieska.

SZARADA nadesłana przez Maryę H. z Przemyśla.
Te — le — gram.

KWADRAT MAGICZNY nadesłała Tosia S. ze Lwowa.
Tel, era, las.



Zagadki.

ŁAMIGŁÓWKA nadesłana przez Białą Lilijkę ze Lwowa.
Dodać do dziesięciu sto w taki sposób, aby wypadło dziewięćdziesiąt.

SZARADA nadesłana przez Maryę H. z Przemyśla.

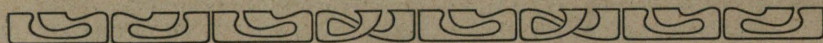
Duchowny -- a jaki? ja ci powiem tak:
Gdy piszesz tę godność — już ją czytasz wspak.

ŻARCIK nadesłany przez Leona M. ze Stanisławowa.

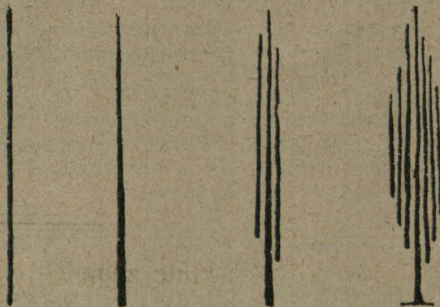
Kto z dnia robi noc
Postępuje bardzo źle.

(Ten wiersz trzeba przerobić tak, aby był rym i rytm ale nie wolno nic dodawać ani przestawiać wyrazów).

Za rozwiązanie powyższych zagadek damy „Kalendarz Promyka“
na r. 1905.



Ładne a łatwe rysunki.



Topola włoska.

KĄCIK DLA MAŁYCH DZIECI.

DAKTYLE.



atús przyniósł dzieciom pewnego wieczora daktyle. Dzieci spojrzały z ogromnem zdziwieniem na nieznany sobie owoc. Zosia i Manusia skosztowały go zaraz, ale małego Tadiusia nie można było nakłonić nawet do polizania słodkiej daktylki, bo myślał że to lekarstwo, a był jeszcze taki malutki i niemądry, że nie chciał zażywać lekarstw. Dopiero gdy zobaczył że starsze siostrzyczki oblizują paluszki, w których trzymały słodziutkie daktylki i proszą o jeszcze jeden owoc i on też skosztował. Jakże mu smakowały!

— Gdzie też rosną daktylki? zapytała Manusia — nigdy nie widziałam drzewa z daktylami.

— Nie mogłaś widzieć tego — odrzekła mamusia, — bo daktyle nie rosną u nas, ale w ciepłych krajach. Drzewo na którym rosną daktyle nazywa się palmą daktylową.

Dzieci odrazu spojrzały na rosnącą w doniczce piękną palmę.

— Nie na takiej palmie rosną daktyle — mówiła mamusia dalej. Ta nazywa się palmą wachlarzową, bo ma liście duże jak wachlarze, a tamta daktylową. Palmy rosną dziko tylko w ciepłych krajach, a u nas chyba tylko w doniczkach i to w ciepłych pokojach, zimno i przeciąg bardzo im szkodzi.

W ciepłych krajach rosną rozmaite palmy, jedne mają liście cienkie i długie i nazywają się pierzaste, inne są palmy kokosowe, inne sagowe.

— Sagowe? — zapytała Zosia, która bardzo lubiła sago. To sago rośnie na palmach?

— Tak jest, tylko to co ty jesz nie jest owocem palmy, ale jest zrobionem z jej rdzenia tj. z tych części roślinki, które są w pniu we środku. Palmy są to bardzo wysokie drzewa, pnie mają nagie, a duże kiście liści są na samym szczycie. Rosną tylko w ciepłych krajach, tam gdzie żyją słonie, wielbłądy i strusie.

Dzieci słuchały tego opowiadania z uwagą. Manusia która bardzo lubiła wszystko rysować, poszukała ołówka i papieru i wyrysowała dla mamusi „ciepły kraj“.

Zosia wsadziła pestkę ze swojej daktylki do doniczki ze ziemią i spytała mamusi czy z tej pestki wyrośnie palma daktylowa?

— Z pewnością — odrzekła mamusia, tylko zobacz jaka to pestka twarda i gruba, więc długo trzeba będzie czekać aż zmięknie i kiełkować zacznie. Potrwa to może ze dwa miesiące.

Gdy roślinka kiełkować zacznie, przykryjemy ją szklanką odwróconą dnem do dóry, aby rosła w jednostajnie ciepłym powietrzu, i aby na nią nie ciągnęło. Szklankę zdejmujemy gdy roślinka będzie już dość dużą. Zosia cieszyła się bardzo, że będzie miała palmę daktylową własnego chówu — i postanowiła uważać na nią, podlewać ją letnią wodą i czekać cierpliwie aż się ukaże z pod ziemi.

Mamusia wytłómaczyła jej, że taka palma w doniczce nigdy nie wyda owoców, bo nigdy nie będzie dość duża.



Ilustrowany kalendarz „Promyka“ na rok 1905

obejmuje

kalendaryum, kalendarz historyczny, kronikę polską, kalendarz kwiatowy, powiastki, opowiadania, poezye, gry towarzyskie, zabawy, zabawki domowej roboty, robótki ręczne itd.

Cena 60 halerzy.

DLA ABONENTÓW „PROMYKA“ WRAZ Z PRZESYŁKĄ 50 HAL.



PRENUMERATA WRAZ Z PRZESYŁKĄ WYNOŚI:

W Austrii rocznie 2 K, półrocznie 1 K, kwartalnie 50 hal. — W Królestwie w kopertach 4 ruble. — W Niemczech 2 marki. — We Francji i w Szwajcarii 5 franków. — W Ameryce 1 dolar.

————— Numer pojedynczy 10 halerzy. —————

Wydawczyni i odpowiedzialna redaktorka: **Jadwiga Czajkowska.**
Drukarnia Udziałowa we Lwowie, ul. Kopernika 20.

PROMYK



PISMO ILUSTROWANE DLA MŁODZIEŻY I DZIECI

WYCHODZI 1. i 15. KAŻDEGO MIESIĄCA.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, Miłkowskiego 11.

FILIA ADMINISTRACYI: KRAKÓW, GRODZKA 50.

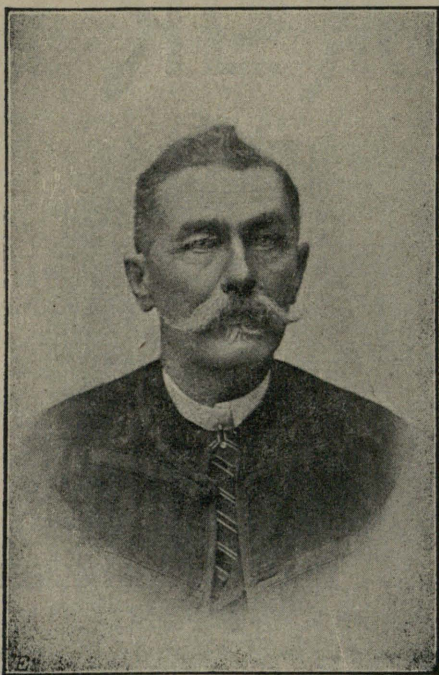
Walka o wolność.

Walka o wolność gdy się raz zaczyna
Z ojca krwią spada dziedzictwem na syna.



Walka o wolność w Polsce wszczęta przez Kościuszkę trwa, „z ojca krwią pada dziedzictwem na syna”. Gdy tylko możliwość najmniejsza zwycięstwa się okazuje, chwyta wszystko co szlachetnem jest w Polsce za broń. Ludzie ofiarowują mienie, szczęście, życie, by dla braci swoich, dla bliźnich, dla dzieci swoich, dla narodu wywalczyć wolność, by dzieci ich nie potrzebowały jak oni wystrzegać się polskiej mowy, polskiej myśli, by nie były wyłapywane na ulicy i gwałtem wleczone na morderczą wojnę na usługi cara, jak to teraz bywa.

Miedzy powstaniem a wojną zachodzi ogromna różnica. W powstaniu każdy człowiek wie o co walczy, walczy bo chce tego sam, z własnej woli, gna go zapał, miłość, wie, że jeżeli życie odda w ofierze to ofiara ta nie pójdzie na marne; wie, że jeżeli zabijać będzie we walce to nie niewinnych jak we wojnie



BRONISŁAW DEŚKUR.

pieniędzy na uzbrojenie tych ludzi, że choć nasza sprawa słuszną jest, choć powstańcy dzielniejsi od moskiewskich żołdaków,

których gna rozkaz; ale tchórzów, podłych i złych, którzy nie mieli odwagi opuścić carskich szeregów.

Dlatego powstańcy polscy w każdej walce o wolność tak silni są zapalem, tak dzielni i nieustraszeni. W styczniu r. 1863 odwaga polskich powstańców, wprowadzała oficerów rosyjskich w najwyższe zdumienie tak dalece, że pewien Moskal wyraził zdanie że: „gdyby ci ludzie mieli broń i byli zorganizowani w oddziały regularne, żadna europejska armia nie byłaby w stanie im podołać i nie mogłaby oprzeć się ich straszemu zapalowi“.

Po trzykroć porywał naród polski za broń by uwolnić się od dzikiej, wstrętnej, moskiewskiej niewoli. Moskwa ma jednak tyle ziemi, tyle ludzi i tyle



przygnoił car trzy powstania nasze olbrzymią liczbą swojego wojska.

Obecnie mija 42 lat od tak zwanego powstania styczniowego, które wybuchło w styczniu z 1863 i trwało do maja 1865 r. Tak że ciągle teraz trwa smutna rocznica krwawych, ciężkich bojów, które naród polski wszczął za „naszą i waszą wolność“ tj. za wolność ludu Polski i Rosyi, Kurlandyi i Litwy, Żmudzi i Rusi i wszystkich ludów, które car moskiewski trzyma w niewoli.

W Polsce były wtedy takie smutne stosunki, że włościanie byli zupełnymi podanymi panów ze dworu, musieli pracować dla tych panów choć im pan za to wcale nie płacił. Te stosunki nazywały się pańszczyzną.*) Pomimo że Moskwa zgnio-



znieść różnicę między żydem, a katolikiem, żeby wszyscy ludzie mogli uważać się za braci i kochać się wzajemnie i jeden człowiek drugiemu nie śmiał pomiatać. Dla takich celów warto było

tła powstanie, to jednak powstańcy wywalczyli zniesienie pańszczyzny i uwolnienie od niej włościan.

Powstanie styczniowe miało na celu nie tylko uwolnienie Polski od Rosyi, ale zapewnienie wolności wszystkim ludziom, wszystkim stanom i wszystkim wyznaniom w Polsce. Pragnęli Powstańcy by chłop i robotnik takie samo mieli znaczenie jak magnat i szlachcic, by mogli uważać się i traktować jak równi i bracia, a jeden nie wywyższał się nad drugiego. Tak samo miało powstanie

*) Jak do tej pańszczyzny przyszło, to wiedzą czytelnicy nasi z opowiadania „Ciekawy Antek“, które zeszłego roku drukowaliśmy w „Promyku“.



MINIEWSKI.

cie ojczyznę! Teraz zostawiamy nasze warstwy i fabryki i idziemy na śmierć... Rozumiecie bracia francuscy, że wiele krwi przelejemy, nie mamy bowiem ani żołnierzy, ani broni, ani prochu. Lecz chętnie polegniemy w walce, gdyż żyć w takiej chaniebnej jak obecna niewoli niepodobna“.

Podajemy Wam Czytelnicy podobizny niektórych dowódców styczniowego powstania i obrazek przedstawiający, jak ludność wsi jednej zebrała się i uzbrojona w kosy idzie do boju.

* * *

42 lat mija od bohaterskich walk styczniowego powstania. Obecnie cała ludność Polski i Rosji znowu okazuje carowi oburzenie swoje najwyższe za straszne, srogie jego rządy. Robotnicy opuścili fabryki w dniu 27-go bm. w Warszawie, w inne dni w innych miastach Polski i Rosji. Światła na ulicach pogasły, bo nie pracowano w gazowniach; gazet nie było, bo nie było komu drukować ich, bułek ni chleba nie wypiekano, wody w wodociągach zabrakło, bo ręce robotnicze usunęły się od pracy przy nich; telefony ustały funkcjonować, koleje stanęły, słowem życie zamarło gdy robotnicy powiedzieli sobie: pokażemy moskiewskiemu carowi, że w niewoli pracować nie chcemy! Wojska carskie strzelały na tych dzielnych i odważnych ludzi, którzy w ostatnich dniach musieli niestety wrócić jeszcze do pracy.

Wrzos.

AGOT GJEMS SELMER.

ŻYCIE W LESIE.

Rozdział z powieści pt. „NAD DALEKIM CICHYM FJORDEM“.

(Dokończenie).

To samo mówią wszystkie dzieci i żadno nie chciałoby innej mamusi oprócz swojej. Czy pamiętacie jak Krasula dostała swoje milutkie cielátko? Jak się niem cieszyła — prawda? Ciągłe ryczała, nie chcąc maleństwa puścić od swojego żłobu, ażeby je bezustannie pieścić i lizać językiem. A to dlatego, że to było jej własne cielátko; czuła, że to jej rodzone. Lizała je więc, obwąchiwała, jak gdyby chciała je całować. A gdy Hania miała zabrać cielę, aby mu dać mleka, Krasula za nic nie chciała go puścić.

— Tak, tak mamusiu. Ale czy pamiętasz ten śliczny, miły obrazek, cośmy raz widzieli. Mnóstwo dzieci leżało w wodzie, a bocian stał na wielkim liściu i właśnie jedno z nich chciał schwycić.

— Tak to był prześliczny obraz i nawet malował go znakomity nasz artysta Sinding. Ale to naturalnie tylko bajka, którą opowiadają całkiem malutkim dzieciom, nie umiejącym myśleć. Wiecie zapewne, że w wodzie żyją ryby. One składają mnóstwo małych jajeczek nazwanych ikra. Składają ją na dno wody, a później ikra rośnie tak długo, dopokąd nie przeobrazi się w malutkie rybki, pływające w wodzie i same sobie szukające pokarmu.

— Czy to ta ikra, którą czasami jemy i która tak bardzo nam smakuje?

— Naturalnie. Tysiące i tysiące takich drobiutkich jajeczek znajduje się w rybie. Dorsze, sztokfisz, w ogóle wszystkie ryby mają jakieś ulubione miejsce w morzu, gdzie najchętniej przebywają. Wśród alg, traw morskich i małych kamyczków młode rybki bawią się wesoło łapią się i chowają przed sobą — ale dzieci tam wcale nie ma. Nie mogłyby przecież żyć na dnie wody, bo utopiłyby się — a zresztą bocian nie jest tak silny ani tak duży, by je móżd udźwignąć. Każde małe dziecko było kiedyś takim malutkim zarodkiem jak nasienie, jajo lub ikra. I pomału rosło, stając się coraz większem i większem.

I ty byłeś taki malutki i miękki jak jedwab! Spałeś przy mnie, piłeś mleczko, rosłeś i stałeś się dużym, dobrym i grzecznym chłopczykiem.

— Mamusiu — słodka moja — tak ty jesteś moją mamusią, a my twoje dzieci!

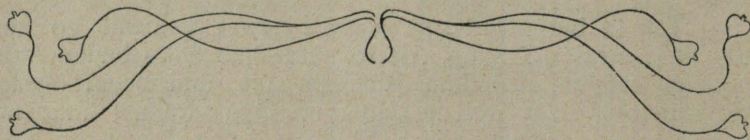
— Prawda moje słodziuchne — rzekła uszczęśliwiona matka tuląc całą gromadkę w swoje objęcia — jesteście wszyscy jedno-

litą istnością. Takimiśmy zawsze byli i takimi pozostaniemy. dopokąd życia naszego. Największem szczęściem dla ojca, matki i dzieci jest owa jednolita istność — owo życie. Życie twoje i moje — życie całej ziemi. A gdy kiedyś głowy nasze pochyla się ku ziemi i trzeba nam będzie ułożyć się do spoczynku jak kwiatom w jesieni, wówczas także nie umrzemy. Nie — dalej żyć będziemy w sobie. Prawda, że mamusia zawsze będzie żyła w twojem serduszkach i kiedyś jeszcze dzieciom opowiesz o swojej mamusi i powtórzysz im to wszystko co ja ci mówiłam o naszym cudownem życiu, tylko że uczynisz to pewnie lepiej i piękniej odemnie.

— Nie mateczko, ja tego nie potrafię, bo przecież nikt nie może być takim jak ty.

— Mylisz się dziecinko. Dla ciebie ja jestem najlepszą, tak samo jak ty nią będziesz dla swoich dzieci.

W ten sposób mówiła mama o życiu w lesie i w tym wielkim ogrodzie ludzkim zwanym światem. A dokoła niej błyszczały kochane, błękitne oczęta wilgotnym połyskiem, tak samo jakby perełka rosy całowała niezabudkę, a złocił je promień słoneczny.



ALFONS DAUDET (CZYTAJ DODE).

Nadzwyczajne przygody imci pana Tartarin'a z Taraskonu.

(Z francuskiego).

(C. d.)

VI. ŚWIĘTY LEW.



wa dni i dwie noce spędził Tartarin we wozie pocztowym. Nadaremnie patrzył przez małą brudną szybkę okienka, czy nie ujrzy gdzieś lwa przy drodze. Po tak niefortunnym spotkaniu się z Bombonnel'em, nie czuł się swobodnie z towarzyszami podróży, którym nie imponowały już strzelby, rewolwer, sztylet ani błękitny kutas u feza. Tartarinowi duszno i ciasno było we wozie — z nieutajoną tęsknotą oczekiwał końca podróży. Dotarł wreszcie do Milianah.

Wysiadłszy z poczty obszedł całe miasto dokoła. Szedł po jasnych szerokich ulicach wysadzanych drzewami. Szedł tak w poszukiwaniu za hotelem — ale myśli mieszały mu się w głowie. Nuż Bombonnel ma rację? Może nie ma już lwów w Algierze? Pocóż cała ta podróż, męki i trudy?

Szedł dalej bez planu, bez opamiętania zagłębiany w tych strasznych, dręczących myślach. W tem nagle... na rogu ulicy...

— Lew!

Wspaniały, ogromny lew leżał u wejścia do kawiarni. Bujna grzywa połyskiwała mu złotem w promieniach słońca.

— Co? — zawołał Tartarin cofając się o kilka kroków — i on śmiał mówić że już nie ma lwów?

Gdy lew posłyszał i poczuł bliskość człowieka, pochylił zwolna dumną głowę, pochwycił w zęby drewniany talerzyk, leżący obok niego i skierował go w stronę, w której stał nasz bohater.

Tartarin zdumiony nie wiedział co myśleć o tem.

Właśnie przechodził jakiś Arab drogą. Wrzucił grosz na talerzyk — lew niby w podziękę machnął ogonem.

Teraz dopiero zrozumiał bohater to niezwykle zjawisko, teraz spostrzegł to, czego w pierwszej chwili nie zoczył: biedny lew był ślepy. Co gorsza — był tresowany. Dwaj murzyni zbrojni w pałki, którzy stali opodal, wodzili go z sobą, tak jak Sabaudczycy wiodą świstaki — jak kataryniarze małpy.

— Nędznicy! — zawołał z oburzeniem — jak można tak poniżać króla zwierząt!

Podbiegł do lwa i wyrwał talerz z jego królewskiego pyska.

Niebaczny! Murzyni nie zrozumieli szlachetnych jego porywów! myśleli że mają przed sobą — złodzieja! Rzucili się z pałkami na niego.

Powstał krzyk, hałas, zamęt nie do opisania: mężowie bili się, kobiety krzyczały, a dzieci, którym taka awantura wcale się podobała, śmiały się do rozpuku.

Wreszcie w mieszał się w to gospodarz kawiarni.

— Widziałem, jak ten nieszczęśliwy lew trzymał talerz w pysku — nie umię panu wyrazić nawet, jaki ból targał mą duszę. Pomyśl pan! Lew jest pobity, upokorzony, ta hołota drwi z jego królewskiego majestatu...

— Ależ przyjacielu, mylisz się najzupełniej! Ten lew jest przeciwnie przedmiotem podziwu, szacunku i bogobojnej czci murzynów. To święty lew należy on do „bractwa lwów“, które założył był przed trzystu laty Mahomedben-Anda. To rodzaj klasztorów, w których tresują lwy — a lew taki idzie potem w świat na wędrowną w towarzystwie dwóch braci zakonnych. Pieniądze które lew uzbiera idą na utrzymanie klasztoru — nie dziw się pan więc, że murzyni tak niemiłosiernie z panem postąpili, my-

śleli, że chcesz pań zabić lwa — albo co najmniej zagrabieć zawartość talerza.

Tartarin słuchał zdumiony.

— Więc są przecież lwy w Algierze! Na lwy! Na lwy!

VIII. KARAWANA.

Z brzaskiem dnia następnego ranka, Tartarin najął sześciu murzynów do noszenia pakunków i udał się w głąb lasu. Jaśmin, dzikie oliwki i drzewa różkowe stały w kwiecie. Bór wydawał się być ogrodem precudnie utrzymanym. Tysięczne strumyki przerzynały skalisty grunt i napełniały powietrze tajemniczym szmerem.

Murzyni przeskakiwali bosą stopą głązy i skały, przerywając ciszę ostrym piskiem. Na czele karawany szedł mąż ciężko zbrojny.

Dowódca arabskiej załogi wyszedł był właśnie z żoną swoją na przechadzkę po lesie, gdy w tem z za krzaków błysła mu złowrogo zbroja Tartarina.

Biedny dowódca! Jakiż paniczny strach owładnął jego duszę! Sądził, że to napaść zdraziecka gotuje się na miasto i kazał uzbroić pospiesznie wszelkie posterunki. Z łoskotem nie do opisanego puszczano mosty zwodzone, zabrzmiał marsz trąbki wojennej — twierdza przygotowała się do odparcia wroga.

Co za wspaniały początek podróży! Jakiż bajeczny tryumf dla Taraskonu!

Niestety! Zmienne są losu koleje.

Jeden z murzynów zachorował nagle po godzinnym marszu — nie dziw! Nosił on właśnie aptekę podróżną i najadł się mnóstwa proszków i pigułek. Drugi wypił zbyt wiele spirytusu kamforowego i senny, bezprzytomny upadł na ziemię. Trzeci uciekł z albumem podróżnym, którego mosiężna klamka bardzo mu się podobała.

Tak dalej być nie może! Tartarin wstrzymał pochód pod olbrzymiem drzewem figowem i zamyślił się głęboko.

— Kupię wielbłąda! — zawołał nagle — on mi poniesie pakunki.

Rażno skierował pochód w stronę najbliższej wsi. Podróż wielbłędami! Co za urok!

We wsi, do której zdążała nasza karawana odbywał się właśnie jarmark. Tysięczne tłumy wpólnagich Arabów zalegały wszystkie drogi, wałęsały się po wszystkich zaułkach.

Krzykliwi kupcy zalecali piskliwym głosem swoje towary. Ten siedzi za dużą banią oliwy — tamten za wiadrem pachnącego miodu, tu cygara — tam pierniki.

W pośrodku placu gorzał olbrzymi ogień, przy którym gotowano całe ćwierci baranie. Gromady natrętnych psów uwijały się wśród tłumu, kruki krakały złowrogo, a straszne skorpiony i dokuczliwe muchy obsiadały upornie ludzi i wszelkie towary.

Wszystkiego było podostatkiem na tym jarmarku — z wyjątkiem wymarzonego wielbłąda! Tartarina ogarnęła rozpacz.

Znalazł go wreszcie! Był to istny syn pustyni. Spoglądał smutnym, rzewnym wzrokiem, a garb jego, ten sławny garb wielbłąda znędzniał, zmarniał u skąpego pana nieszczęśliwego zwierzęcia, zwątlął, zmiekkł i na bok się przechylił.

Tartarin był oczarowany widokiem wielbłąda. Zdawało mu się, że jak świat długi i szeroki, nie ma piękniejszego stworzenia. Kupił go co rychlej i począł obładowywać spiesźnie.

Wielbłąd przykleknął. Murzyni przywiązywali mu do grzbietu pakę po pace, skrzynię po skrzyni i tobołek po tobołku. Na samym szczycie garbu, pomiędzy dwoma największemi skrzyniami usiadł poważnie sławny mąż z Taraskonu.

Cizba jarmarczna zbiegła się tłumnie. Tartarin skinął dumnie ręką na pożegnanie — wielbłąd podnosił się z wolna.

O! Gdyby Taraskończycy wiedzieć to mogli!

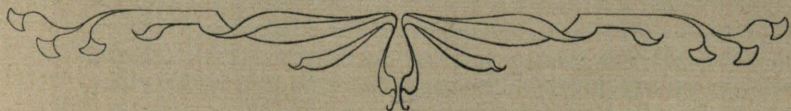
Wielbłąd stanął na długich, cienkich nogach swoich i pobiegł szybko we wskazanym kierunku.

O zgrozo! Po kilku krokach Tartarin zbladł jak chustka... Jakże mu słabo było! Fez zesunął się, kutas rozwichrzył — jak tam na „Żuawie“! Wielbłąd kołysał się — jak łódź na wzburzonym morzu...

— Ratunku! Ratunku! — wołał nieszczęśliwy podróżny. Próżno błagał, nawoływał! Rękami i nogami uchwycił się mocno garbu wielbłąda — nie sposób było wstrzymać pędzącego zwierza!

Wielbłąd pędził jak wiatr, unosząc na swym grzbiecie wijącego się z bólu i strachu człowieka. Pędził dumnie z podniesioną głową — a za nim biegł tłum arabów roześmianych, rozbawionych niezwykłą przygodą, krzyczących, wrzeszczących gestykulujących żywo. Wskazywali palcami i wystrzerzali białe jak śnieg zęby.

Wreszcie — bohater z Taraskonu musiał się poddać na dołę i niedołę złowrogiego losu. Zgnębiony, zmęczony, zziębiony przykucnął na garbie wielbłąda...



STANISŁAW KRAMSZTYK.

Zagadka o cieple i pracy istot żyjących. ^{*)}

Bawiono się rozwiązywaniem zagadek, sypały się pytania i szarady, żartowano z odpowiedzi błędnych, śmiano się z dowcipnych; wesoło, gwarno były w tem gronie kilkunastu chłopców, których zgromadziły imienniny jednego z kolegów.

Starszy brat solenizanta, student uniwersytetu, medyk z drugiego, czy też z trzeciego kursu, przysłuchiwał się żywej rozmowie, sam jednak udziału dotąd w niej nie brał; odezwał się więc dopiero, gdy dostrzegł, że rozmowa urywać się zaczyna, chłopcy bowiem wyczerpali cały zasób znanych sobie zagadek, a nowe pomysły coraz trudniej im przychodziły.

— Pozwólcie panowie, że ja wam teraz z kolei pytanie rzucę i zadam zagadkę innego rodzaju.

— Słuchamy — zawołali chłopcy, uradowani, że niespodziąta ta pomoc z kłopotu ich wybawia.

— Zagadka moja nie jest rymowana, ani zgoła niewyszukaną, jest to bardzo proste, powszednie dostrzeżenie. Gdy bryłę żelaza rozżarzmy, gdy rozpalimy ją w ogniu do czerwoności, a następnie złożymy ją w miejscu chłodniejszym, oziębi się rychło; jeżeli ją na mróz wystawimy, będzie równie zimna, jak lód ją otaczający. Wypędźmy natomiast psa na mróz, a pomimo zimna przejmującego nie ostygnie bynajmniej; gdy ciała jego dotkniemy ręką, przekonamy się, że jest on tak samo, albo przynajmniej prawie tak samo ciepły, jak w izbie ogrzanej. Dopóki żyje, ciało jego nie oziębi się, jak rozżażony kawał żelaza. Skądże ta różnica między istotą żyjącą, a bryłą martwą? Oto jest całe moje pytanie — któż odpowiedzieć na nie zechce?

Bez namysłu przyjął wyzwanie jeden z uczestników zabawy, któremu widocznie mniej brakło śmiałości, aniżeli ochoty, czy też zdolności do zastanawiania się i rozważań.

— Rzecz bardzo prosta — odrzekł — żelazo jest ciałem martwym, pies zaś istotą żyjącą, dla tego też właśnie nie stygnie i ciepła nie traci.

Koledzy wszakże uznali jednomyślnie, że odpowiedź ta jest zgoła nieuzasadniona i niedostateczna, a medyk wyjaśnił, że żaden szczególny przywilej nie chroni istot żyjących od stygnięcia. Prawom natury ulegają ludzie i zwierzęta tak samo, jak i wszelkie przedmioty nieożywione.

^{*)} Przedruk z książeczki p. t. „Opowiadania z niwy naukowej“.

Niech się kto przechyli poza okno tak daleko, że środek ciężkości jego ciała nie będzie już podparty, a spadnie w otwartą przed nim przepaść; tak samo jak bryła martwa, tak też i człowiek poddany jest działaniu siły ciężkości, czyli przyciąganiu ziemi i wyłamać się z pod jej praw nie może.

Skoro więc ciała martwe w przestrzeni zimnej tracą swój zasób ciepła, dźiać się tak musi ze zwierzęciem i człowiekiem. Jak rozpalone żelazo, tak też i pies, choć żyje, jest jednak na utratę ciepła narażony.

Niepowodzeniem tem niezrażony wszakże chłopiec nie dał za wygraną i również bez namysłu inne podał rozwiązanie. Żelazo jest nieosłonięte, pies zaś pokryty sierścią, jakby futrem własnem, które go ogrzewa, pomimo więc mrozu ciepłym wciąż pozostaje.

Ale i to tłumaczenie okazało się wcale nie lepszem od poprzedniego. Jeżeli na mróz otulamy się futrem, to nie dlatego bynajmniej, by nas ono grzać mogło, samo bowiem jest zimne; powstrzymuje ono jedynie ubytek ciepła, zwalnia tylko stygnięcie naszego ciała. Okna podwójne ciepła nie dodają, chronią tylko pokój od zbyt szybkiej utraty ciepła, a także samo znaczenie ma i sierść zwierzęcia.

Dyskusya ożywiła się bardziej. Zaczęli uwagi swoje podawać i inni, rozważniejsi, którzy się nad odpowiedzią głębiej zastanawiali. Dobrem zwłaszcza wyjaśnieniem wydała się odpowiedź jednego z chłopców, który widocznie posiadał pewne wiadomości z fizyki.

Sądził on, że ciepło w ciele zwierząt powstaje skutkiem tarcia kulek krwi w naczyniach włoskowatych, czyli w rurkach niesłychanie wązkich, przez które krew przedziera się w drodze od tętnic do żył.

Zdanie to podoabało się tym zwłaszcza, co wiedzieli, że kantówka, silnie i szybko pocierana o ławkę, parzy za dotknięciem, nie wytrzymało jednak krytyki; należałoby bowiem przekonać się przedewszystkiem, czy w samej rzeczy przeciskanie cieczy przez wązkie rury wydawać może dostateczny zasób ciepła. Aby nadto pręt drewniany przez tarcie rozgrzać, wyłożyć trzeba na to pewną pracę; powinniśmy przeto zbadać także skąd zwierzę czerpie możność wykonywania pracy potrzebnej do przeciskania krwi przez naczynia krwionośne.

Zadanie tedy okazywało się coraz trudniejszym do rozwiązania, nieśmiało też tylko ktoś wtrącił jeszcze uwagę, że może ciepło jest wrodzoną właściwością zwierząt; dopóki istota żyje, własność tę zachowuje i ciepło wciąż pozostaje. Ale zapatrywania takiego nikt nie podzielał, sam wreszcie zgodził się, że tłumaczenie jego nic nie tłumaczy.

Ostatecznie więc przyznać musieli wszyscy, że żadnej im zagadki rozwiązać nie zdołają.

Spodziewał się tego medyk i z uśmiechem wyjaśnił chłopcom, że zagadki podobne nie rozwiązują się zgadywaniem. Nikt najgenialniejszy nawet, najbystrzejszym obdarowany umysłem człowiek, choćby przez całe życie nad tem myślał, nie mógłby odgadnąć, skąd i w jaki sposób ciepło zwierzęce powstaje. Pytanie to zadawali sobie ludzie od czasów bardzo dawnych, ale odpowiedź zdobyli jedynie dzięki długotrwałym i sumiennym badaniom, na podstawie uważnej obserwacji i dokładnych doświadczeń, przy pomocy ścisłych pomiarów i obliczeń. Ponieważ zaś cała ta kwestya, po długiej dyskusyi, chłopców żywo zaciekała, poprosili medyka o wytłomaczeni. Przyjął tedy rolę profesora, a rozmowa dotychczasowa ustąpiła miejsca wykładowi.

Zgodziliśmy się, że zwierzę, podobnie jak każde ciało martwe, w powietrzu zimniejszym ciepło swe traci, jeżeli więc pomimo tej utraty nie stygnie, znaczy to, że posiada źródło ciepła, które ciągle ten ubytek zapełnia. Bryła żelazna, rozpalona choćby do białości, rychło stygnie, ale piecyk żelazny, dopóki się w nim pali, pozostaje wciąż gorący; rozsyła wprawdzie ciepło swe na wszystkie strony, ale płonący węgiel wciąż darzy go nowym zapasem ciepła, tak, że ubytek bezustanny bezustanie się wynagradza. Wtedy dopiero, gdy wypali się cały ładunek węgla w piecu i ogień wygaśnie, strata ciepła staje się widoczna, a piec stygnie odtąd szybko, jak każda inna bryła rozgrzana. Zwierzę również rozsyła ciepło na wszystkie strony, skoro więc pomimo to zachowuje jednakową, stateczną zawsze temperaturę, w łonie ciała jego niewątpliwie ciepło wytwarzać się musi. Zestawienie zwierzęcia z piecem wydawać się może dziwaczne, ale podobieństwo to zachodzi dalej jeszcze; jak w piecu bowiem, tak i w ciele zwierzęcem ciepło w samej rzeczy wywiązuje się przez palenie. Zrozumiano to przed stu laty, dokładnie poznano, na czem oddychanie nasze polega. Poprzednio nie domyślano się zgoła, że powietrze przez ludzi i przez zwierzęta wydychane jest już zmienne i do dalszego oddychania nieprzydatne. Sądzono tedy najpierw, że gaz wydobywający się z płuc powstaje z połączenia się powietrza z krwią; dalsze wszakże badania nauczyły, że związek ten zachodzi nie między powietrzem a krwią, a raczej między ich składowemi tylko częściami: tlen powietrza łączy się z węglem, unoszonym przez krew. Z połączenia tego powstaje gaz, zwany kwasem węglanym; jest to zresztą gaz dobrze nam znany, on to bowiem powoduje burzenie się wody sodowej, wina szampańskiego i innych napojów musujących.

Jeżeli zaś mówimy, że oddychanie jestto łączenie się w płucach naszych węgla z tlenem, tem samem też wyjaśnioną zostaje i zagadka ciepła zwierzęcego. Łączenie się bowiem węgla z tlenem jestto, mówiąc językiem zwyczajnym, palenie się węgla; oddychanie jestto palenie, ono to wytwarza ciepło ciała naszego. Ta tylko zachodzi różnica, że w piecach węgiel płonie gwałto-

wnie, wywiązując silny żar, gdy w płucach naszych zachodzi palenie bardzo powolne; zresztą wszakże oba te działania są zupełnie podobne. Ciepło, wywiązujące się przy tem paleniu, udziela się krwi wypełniającej płuca, a stąd rozbiega się po całym organizmie zwierzęcym. Powietrze więc, którem oddychamy, służy do dwu celów zarówno ważnych dla naszego zachowania, zabiera krwi węgiel, którego nadmiar byłby bardzo szkodliwy, a zarazem ciepło, wzbudzające się przy paleniu tem w płucach, wynagradza stratę ustawiczną, jakiej doznajemy przez wpływ zimniejszej atmosfery i ciał nas otaczających. Nie jest to bynajmniej czczy domysł, potwierdzony bowiem został zarówno ścisłemi, jak i przekonywającemi doświadczeniami. W stosownym przyrządzie spalono oznaczoną ilość węgla, otoczywszy go lodem w ten sposób, że wszystko ciepło, ze spalania tego powstające, wyłączenie na stopienie lodu przechodziło, stąd więc można było ocenić, ile ciepła wytwarza spalanie jednego funta węgla. W podobnym przyrządzie umieszczono następnie niewielkie zwierzątko, królika lub świnkę morską, i znowu oznaczono ilość lodu, jaka się stopiła pod wpływem ciepła przez zwierzę to wysyłanego; przy tem zaś zbierano kwas węglany, przez to samo zwierzę wydychane, a stąd oczywiście można było oznaczyć, jaka ilość węgla w ciągu tego czasu w płucach zwierzęcia spłonęła. Okazywała się uderzająca zgodność; funt węgla, który się spala w piecu, wywiązuje zupełnie taką samą ilość ciepła, co i funt węgla w płucach naszych. Różnica jest ta tylko, że w piecu płonie szybko z objawem ognia, w płucach zaś naszych spalanie to, czyli łączenie się węgla z tlenem, odbywa się zwolna, z mniejszą gwałtownością.

(Dok. nast.)



Pokora

z niemieckiego.

Będąc jeszcze w ludowej szkole, miałem pewnego roku dziwnych kolegów, których do tej pory zapomnieć, ani zrozumieć nie mogę.

Byłem widocznie wążem dzieckiem, gdyż rodzice wysłali mię na cały rok na wieś do wuja, który był piekarzem. Miałem pokrzepić się świeżem powietrzem, a żeby nauki nie zaniedbać, zapisano mię do wiejskiej szkółki. Pa-

miętam, że byłem wtedy w trzeciej klasie. W stolicy urodziłem i wychowałem się i po raz pierwszy w życiu znalazłem się wtedy na wsi. Zrobiło to na mnie ogromne wrażenie. Podobał mi się rozległy widok, szumiące łąny, czarny pas lasu na skraju horyzontu, świeżość łąk, bezustanny świergot ptaków, a z drugiej strony wstrząsały mną — widok brudu i nędzy, w jakiej tam ludzie żyli.

Toż to była nędza straszna! Czegoś podobnego nigdy w mieście nie widziałem! Dzieci przychodziły do szkoły bose i na wpół nagie. Ludzie po prostu żebraли u dworu o takie rzeczy, jak np. żeby im wolno było puszczać swoje kury na pańskie ściernisko, lub kupować we dworze tańsze, zbierane mleko. Było wielką łaską, jeżeli we dworze na to zezwalano, a dla wieśniaków rzeczy owe stanowiły kwestyę bytu, mówiło się o tem tak, jak o tem, np. czy będzie wogóle co jeść na jutro. Nie tylko parobcy żyli w takiej biedzie i żebraли we dworze powyższych „łask“, ale nawet nasz nauczyciel starał się o nie usilnie i drżał na myśli, że mogą mu ich odmówić. Rzeczywiście odmówiono mu.

Nauczyciel miał żonę i sześcioro dzieci, a tak był biednym, że dzieci jego chodziły bose i pół nagie, jak dzieci najbiedniejszych chłopów, a co gorsza, były strasznie wygłodzone. Z pożądlivością wygłodzonych zwierzątek patrzyły na mnie, jak chrupałem smacznie świeżą bułeczkę lub rogalka, który mi wujenka dała na śniadanie. Przemyślałem długo nad tem, jakby im dopomódz i nareszcie wpadłem na taki pomysł:

Zebrałem kolegów swoich i zaproponowałem im, że postanowimy sobie dzielić się wszystkim, co dostaniemy na śniadanie. Śniadanie będzie wspólne. Wiedziałem, że oni śniadania nie jedzą i że wujenka da mi tyle bułek, ile tylko zechcę, więc przyniosę je dla dzieci do szkoły. Nie chciałem ich jednak upokarzać jałmużną, więc zaproponowałem taką „wspólność“ śniadania.

Moi koledzy namyślali się strasznie długo nad moim wnioskiem i ku mojemu największemu zdumieniu, odrzucili go w końcu. A na czele stali synowie nauczyciela. Dlaczego? Tego po dziś dzień nie rozumiem. Przypuszczam, że dlatego, bo nie chcieli się do niczego zobowiązywać. Przerazała ich myśl, że się zobowiążą, że coś postanowić mają trwałego.

Byłem tak oburzonym ich postępowaniem, że po prostu nie mam słów na opisanie tego. Pomyślałem sobie nawet w pierwszej chwili: „Słusznie ma dziedzic, że nie pozwala wam używać ścierniska dla kur i kupować z protekcyi taniego mleka — skoro jesteście tak nieuczynni i niekoleżeńscy“.

Dziedzicem tej wsi był pewien hrabia, który prowadził wielki dom. miał ogromną stadninę i przepysznego ogiera, którego codziennie na lonży wyprowadzano, aby użył ruchu. Stangret trzymał lonżę w rękę, ogier biegł naokoło, a pan hrabia trząsał

z bicia i przypatrywał się temu. To odbywało się co dnia, a dla nas, chłopaków wiejskich, stanowiło to jedyne widowisko i najważniejszą rozrywkę. O oznaczonej porze biegliśmy ku dworowi, przykucali pod parkanem i wlepiali ciekawie oczy w biegnącego naokół ogiera.

Razu pewnego — było to wkrótce po odrzuceniu mego wniosku przez kolegów. stałem tak z synami nauczyciela pod dworskim parkanem. Widok był ciekawszy, niż zazwyczaj, bo ogier brykał, rwał się, paraskał i nie słuchał. Nic nie pomogły trzaskania z bicia, ani nawoływania stangreta. Pan hrabia chcąc uspokoić zwierzę, wyjął z kieszeni kawałek cukru i podał mu go. Koń zjadł cukier wśród oznak zadowolenia. Pan hrabia wyjął wtedy kromkę chleba z kieszeni. Zwierzę obwąchało chleb, odwróciło głowę i zjeść go nie chciało. Dziedzic rozejrzał się dookoła, nie wiedząc, co zrobić ze wzgardzoną kromką chleba. Ujrzał nas pod płótem i skinął na nas. Przybiegliśmy radzi, że wolno nam przejść na drugą stronę parkanu i zbliżyć się do konia. Ja nadbiegłem pierwszy, dziedzic podał mi chleb: „masz, weź sobie to chłopcze“!

Drgnąłem. Ręką odsunąłem od siebie chleb podany i odeszłem z nieopisanie przykrem uczuciem w sercu.

Moi koledzy jednak na widok chleba i dziedzica, zbliżyli się, podany chleb przyjęli z pocałowaniem ręki i chciwie jeść go zaczęli.

Wstrząsnęła mną taka litość bezbrzeżna i taka pogarda dla nich, że spojrzeć na nich wcale nie mogłem! Odrzucili moje uczciwe i dobre plany samopomocy, a przyjęli taką jałmużnę wstrętą i upokarzającą! Jacyż oni biedni, ciemni i głupi. Wyrosną na tchórzów i żebraków, a nie na dzielnych ludzi. Tak mi ich żal było strasznie, tak mi ich żal dziś jeszcze....



Ciekawe zjawiska.

Odkrycie największego wodospadu na ziemi. Największy wodospad na ziemi, który przewyższa pięknnością i ogromem wodospady Niagary i Wiktoryi, odkryto niedawno w Południowej Ameryce. Nazywa się on wodospadem „Iguasu“, o którym jak donosi „New York Herald“ rozprawiano wiele na kongresie ge-

ografów w St. Louis. Ze dotychczas nie był on znany, pochodzi stąd, że znajduje się on w dziewiczym lesie w odległości 1500 kilom. od najbliższego zamieszkałego punktu. Senior Horacio Anasagasti, komisarz republiki argentyńskiej w ten sposób opisał go przed kongresem: Widziałem sam cudowny widok wodospadu Iguasu. Znam wodospady Niagary i Sambes — (Wiktorya) i twierdzę, że nowo odkryty jest największym na kuli ziemskiej. Rzeka Iguasu tworzy na ostatnich 110 kilom. swego biegu granicę między Brazylią a Argentyną, przepływając okolicę niezmiernie dziką i przepaścistą. W odległości jakich 18 kilom. przed ujściem do Parany bieg Iguasu, staje się niezmiernie szybki. Rzeka gwałtownie skręca na lewo i wpada w przepaść z wysokości 210 stóp, podczas gdy wysokość Niagary wynosi tylko 167 stóp. Szerokość wodospadu wynosi 13.123 stóp, a więc 25 razy tyle co Niagara. W ciągu godziny spada tam 140 milionów ton wody w przepaść. Podczas pory deszczowej ogrom i wspaniałość tego wodospadu urąga wszelkim opisom.

Wędrujące bagno. O ciekawem zjawisku przyrody donoszą do dzienników londyńskich z Irlandyi. W powiecie Roscommon, opodal wsi Cloonshiever położone wielkie bagnisko, liczące kilka kilometrów kwadratowych przestrzeni, zaczęło posuwać się w nocy z dnia 17. na 18. zm. w kierunku miasteczka Castlerea, zalewając po drodze całą wieś Croonshiver. Przerażeni mieszkańcy uciekli z wioski, pozostawiając chaty i dobytek na łasce losu. W przeciągu doby bagnisko posunęło się o pół mili ang. Władze powiatowe przystąpiły energicznie do kopania kanałów odpływowych, za których pomocą spodziewają się powstrzymać wędrowkę bagna.



ANUSIA

(tłum. z niemieckiego Janina Mortkowiczowa).



Było to w niedzielę. Na placu w środku miasteczka odbywał się doroczny jarmark. Gwarно było na nim, hałaśliwie i wesoło. Jaskrawo pomalowane budy stały dookoła a właściciele ich zachwalali głośno wszystkie piękne rzeczy, które można było oglądać lub kupić. Leżały tam na stołach różnokolorowe pierniki i figurki z czekolady i owoce z cukru i wszystkie słodczy i przysmaki, za którymi przepadają małe dzieci. Obok nęciły zabawki drewniane i blaszane — lalki, konie, piłki. Była tam także panorama, a nawet teatr marynetek. Ale najbardziej

przyciągała wszystkich karuzela, która stała pośrodku placu i kręciła się niezmordowanie przy dźwiękach muzyki i bicia w bęben.

Była to wspaniała karuzela. Czerwone, niebieskie i białe chorągiewki powiewały wesoło z okrągłego dachu a srebrne i złote frendzle połyskiwały w blasku słońca. Śliczne powoziki wysłane były czerwonym aksamitem, a konie siwe i kare, miały różnokolorowe siodełka.

Wszystkie dzieci, a szczególnie najmniejsze dobijały się o to, aby wsiąść na konia. Skoro udało im się wdrapać na siodło, chwyciły mocno za cugle obu rękami i spoglądały z dumą i radością na inne dzieci stojące wokoło karuzeli. Najzręczniejsi ze starszych chłopców i dziewcząt trzymali w rękach krótkie żelazne pręty i celowali do zawieszonych kółek. Gdy pręt zaczepił o kółko rozlegały się głośne okrzyki radości. Wszędzie widać było wesołe, rozbawione twarze, wszędzie słychać było gwar i zabawę.

Miedzy dziećmi, które otaczały karuzelę, czekając z niecierpliwością na swoją kolej, stała także mała szewcówna Anusia. Dostała od mamy dziesiątkę i chciała za nią przejechać się na karuzeli. Była to jednak bardzo nieśmiała dziewczynka, to też nie mogła się odważyć, żeby zająć miejsce, a skoro się tylko trochę zbliżyła — zaraz odpychała ją inne śmielsze lub mocniejsze dziecko. Tak bardzo pragnęła Anusia wsiąść na konia! — podobał jej się szczególnie jeden — biały z czerwonym siodłem. Za każdym razem, gdy przesunął się przed nią przy dźwiękach muzyki — patrzyła na niego tęsknie: ze zdwojoną odwagą próbowała przepchać się przez tłum dzieci.

Wreszcie udało jej się stanąć w pierwszym rzędzie. Mocno przycisnęła do serca swoją dziesiątkę i czekała cierpliwie. Muzyka przycichła, a gdy zamilkła zupełnie, stanęły wszystkie powozy i konie. Tuż obok Anusi zatrzymał się upragniony przez nią siwek. Ale zanim oszołomiona dziewczynka wysunęła się naprzód, już jakiś odważny chłopiec wskoczył na siodło.

I znowu Anusia została z dziesiątką w ręku. Tym razem z trudnością powstrzymywała się od płaczu. Po chwili wszakże pocieszyła się znowu. Nie udało jej się — to prawda, ale za to teraz uda jej się napewno. O! teraz okaże się najśmielszą ze wszystkich i nie odstąpi swego siwka nikomu! O na pewno — zobaczycie!

Naraz słyszy Anusia tuż koło siebie cichy dziecięcy płacz. Ogląda się i widzi małego Janka, syna ubogiej wyrobnicy.

— Czego płaczesz Janku? — pyta Anusia ze współczuciem.

— Ja chciałbym także siedzieć na koniku: jechać — wyjąknął chłopczyk.

— No to wsiadaj, ja ci pomogę, to kosztuje tylko dziesiątkę — powiedziała Anusia.

— Ale ja nie mam dziesiątki — skarżył się Janek i płakał coraz żałośniej.

Anusia ścisnęła mocno swój pieniądz — raz po raz otwierała rączki i patrzyła nań z lubością. A potem spoglądała na Janka, na łzy płynące po jego zasmuconej twarzy.

Karuzela stanęła znowu. Siwek zatrzymał się przed Anusią, jak gdyby chciał powiedzieć: „Jestem! Siadajże prędzej!“ ale Anusia zdawała się go nie rozumieć. Ujęła Janka za rękę i powiedziała:

— Przestań płakać, zaraz będziesz siedział na koniku. — Potem pociągnęła zdumionego chłopczyka, ostrożnie utorowała sobie drogę do siwka, wcisnęła właścicielowi karuzeli swoją dziesiątkę do ręki i prosiła go, żeby wsadził chłopca na konia.

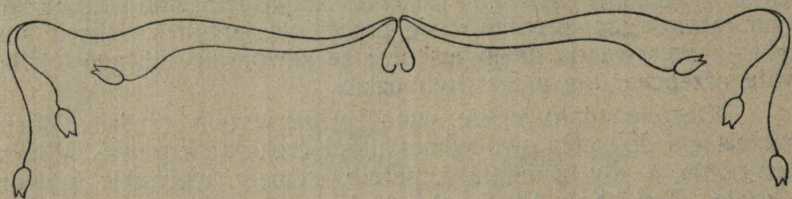
Oto siedzi już Janek na ślicznym siwku, trzyma go oburącz za cugle, a gdy muzyka zagrała i karuzela puściła się w ruch — rozległ się głośny, radośny śmiech uszczęśliwionego chłopca.

Anusia została sama, z początku ścisnęło jej się serduszko żalem a do oczu napłynęły gorzkie łzy.

Po chwili przejechał obok niej Janek. Uklonił się jej z podziękowaniem i zawołał: — Ach Anusiu jak ładnie!

A kiedy karuzela stanęła, rzucił się jej na szyję i dziękował serdecznie.

Anusi zdawało się, że to ona sama jechała na karuzeli, że wokoło jest jeszcze ładniej i weselej niż przedtem!



Opowiadanie paproci

(z angielskiego).

Pierwszą rzeczą, którą sobie w życiu mojem przypominam, jest, że znajdowałam się we wspaniałym lesie. W tem mojem pierwszym otoczeniu rozwijało się życie w najrozmaitszych kształtach. Olbrzymie palmy wznosiły się nademną tak wysoko, że zaledwie widzieć mogłam ich pierzaste korony. Pnie ich były proste, jak świece, a od jednego pnia ku drugiemu zwieszały się splecione pasożytne rośliny; szerokie liany; ciężkie, zielone liście, pochylające się ku ziemi, olbrzymie, dziwaczne kwiaty i delikatne wianuszki różnokolorowych kwiatków i różnokształtnych listków. Patrząc w górę, nie mogłam widzieć

ciemno-błękitnego nieba, chyba, że silniejszy wiatr rozchylił ruchliwe sklepienie, wznoszące się nademną. Promienie słońca mało kiedy padały na mnie, a jeśli padały, to drżące, cieniowane lub mieniające się, jak tęcza.

Jakie zwierzęta żyły w naszym lesie, tego sobie już dokładnie nie przypominam; nie widziałam już później nigdy podobnych zwierząt, choć od tego czasu tysiące lat upłynęło. Zwierzęta te były olbrzymie i dziś wydawałyby się nam może potworami. Ale wtedy było to rzeczą codzienną i zupełnie naturalną słyszeć, jak zbliżały się te olbrzymy, a ziemia drżała pod ich stopami; naturalnem też było, że pożerały wierzchołki i gałęzie drzew tak, jak dzisiejsze zwierzęta zjadają trawę lub zioła. Drzewa łamały, jak trzcinę. My, małe roślinki, bałyśmy się ich bardzo, bo olbrzymiemi nogami mogły nas zdruzgotać na miazgę. Były też w lesie jaszczurki, których łaski błyszczały i mieniały się w słońcu jakby metalowe płyty, a z niżej położonych okolic lasu, gdzie mgła wznosiła się z ponad moczarów i stawów, przybywały do nas od czasu do czasu potworne stworzenia, podobne po części do ryb, po części do płazów.

Nie pamiętam już też, jaką muzykę słyszałam w lesie; w uszach brzmia mi dziś rozmaite głosy, okrzyki i nawoływania, które się rankami i wieczorami rozlegały; to znów trzask, szelst, brzęczenie, gwizdanie niezliczonej ilości małych żyjątek, które zginęły i nie pozostawiły śladu po sobie.

Były też w lesie bliskie moje krewne, które we mnie zawsze zazdrość budziły. Bo trzeba wam wiedzieć, że choć byłam małą, niepokazną paprotką, należałam do rodziny królów lasu. Korzenie ich tworzyły wspaniałe łuki, pnie wznosiły się prosto, jak pnie palm i dosięgały wierzchołków najwyższych drzew, ich gałęzie roztaczały się szeroko i tworzyły sklepienie, pod którem uchronić się mogło tysiące paproci takich jak ja. Liście tych drzew miały brzegi równie pięknie powycinane jak ja i inne paprocie.

Myślałam sobie: „To są moje starsze siostry“. Wyrosnę i będę kiedyś taką, jak one“ Wyciągałam listeczki, starałam się schwytać każdą kropelkę rosy i każdy promyk słońca — a kiedy po deszczu życiodajna woda żywiej krążyła w moich żyłach. drżałam z radości i myślałam: „teraz wyrosnę“.

Ale mimo wysiłków, zostałam malutką paprocią. Czas mijał, wreszcie uczułam, że się starzeję i że usycham. Członki moje skurczyły się, listki zwinęły, stały się brunatne i suche — a po kilku tygodniach już mnie zaledwie można było dostrzedz. Z wiosną odżyłam, byłam piękną roślinką — całą rodziną była ze mnie dumną — ale przecież nie byłam taką, jak kuzynki moje, którym tak zazdrościłam. Zawsze byłam małą, niepozorną paprotką.

Nie wiem jakim to sposobem las niszczał po niejakiem czasie. Bagnisko rozszerzyło się, było mi strasznie wilgotno i czułam że gniję, widziałam spoglądając w około, że siostry moje, małe paprocie i olbrzymie drzewa, ljanya i wszystko, co było w lesie, żółtkło, marniało, gniło i brzydło. Działo się to powoli, ale stale.

Co raz, gdy spoglądałam na okół po roku lub dwóch latach, widziałam różnicę. Znikał świat życia, barw i różnaitości. Las chylił się coraz niżej ku ziemi, coraz bardziej stawał się jednolitą, gniącą, rozkładającą się masą.

Wiatr przysypywał nas ziemią, piaskiem, coraz grubiej i grubiej. Naciskało to na nas, staliśmy się my, wszystkie rośliny zbitą, podziemną warstwą. Wilgoć ustawała, wychodziła z nas. Schłyśmy zgniłe szczątki dawnych roślin, a schnąc twardniałyśmy, zmieniały powoli w dziwny, czarny kamień. Jak długo to trwało, nim zrobił się z nas kamień, czyli węgiel kamienny, tego powiedzieć nie umiem, to tylko pewna, że mijały dnie, miesiące, lata i setki lat, że na ziemi zmieniały się zwierzęta, rośliny i ludzie, a my ciągle twardniałyśmy pod ziemią.

Raz, po nieskończone długich wiekach, światło jakieś zbliżyło się do nas — nie światło słoneczne, lecz małe, drżące światełko w ręku istoty, której nigdy nie widziałam, gdy byłam jeszcze rośliną. Dziś wiem już, że to był człowiek. Nastąpił hałas i zgiew, którego nie zapomnę nigdy. Rąbano nas oskardami, następnie złożono na małe wózki i wzniesiono do góry — aż ujrzałyśmy niewidziane od wieków światło słoneczne! Takie same było jak wtedy, gdy przez rozchylone gałęzie ku nam roślinom spoglądało — młode i jaśniejące. Niestety niedługo cieszyłyśmy się jego promieniami.

Przez długi czas zdawało się nam, że świat zapomniał o naszym istnieniu, ciemno, zimno i cicho było dokoła. Nie pojmowałyśmy wcale, poco z takim trudem wydobyto nas z naszego dawnego mieszkania i umieszczono w jamie. Aż pewnego wieczora, po dość ożywionej podróży, znalazłam się w otwartem miejscu wraz z wieloma towarzyszkami, bryłami czarnego, twardego, kamiennego węgla. Zbliżono do nas takie same światełko, jakim było to, które po wiekach ciemności, ujrzałyśmy po raz pierwszy w głębi ziemi — i — dziwna zmiana zaszła w nas. Tak — jak niegdyś woda krążyła w moich żyłach, tak teraz krążył we mnie inny żywioł. Światło przenikało mnie na wskroś, aż ze mnie promieniować poczęło i przemieniłam się w rozżarzoną bryłę. Wtedy ujrzałam w mojem własnem świetle ludzkie twarze, nachylone nademną i spoglądające ku mnie z wdzięcznością, ręce ludzkie wyciągnięte ku mnie i grzejące się przy mnie tak, jak ja niegdyś grzałam się w słońcu, wyciągając ku niemu listeczki. Lecz i to niedługo trwało. Światło zgasło, a ja tymczasem rozpadłam się w proch - popiół, tak, że najbliższy po-

dmuch mógł rozprószyć moje cząsteczki. Te same ręce, które niedawno z taką wdzięcznością wyciągały się ku mnie, wymiotły mnie teraz i wyrzuciły pogardliwie na śmietnisko po za domem. Lecz tam — o radości — znów ujrzałam słońce, które nie pogardza niczem i które uśmiechało się do biednej garstki popiołu tak samo, jak gdybym była wspaniałą, drzewiastą paprocią. Rosa i deszcz padały na mnie tak samo, jak na kwiatki i ptaszki, a wiatry przynosiły ku mnie rozmaite nasiona.

Raz uczułam, że nowe życie drga we mnie. Jakże się to stało? Ja - popiół — użyźniłam ziemię, na którą padło ma-lutkie nasionko. Dzięki mnie, mogło ono kiełkować. Połączyłam moje życie z życiem młodej roślinki, której z wiosną rozwinęły się listeczki i łodyżka.

Zżyłam się z tą roślinką, żyję w niej, a ilekroć ona wy-ciąga listki ku słońcu, to i ja czuję jego ciepło i cieszę się jego promieniami.

J. N.



Odpowiedzi od Redakcyi.

Renee A. w Przemyślu. Niepotrzebnie chce Renée zamówić książki wprost z Warszawy, bo przecież każda księgarnia a więc i Przemyśka ma na składzie żądane dzieła. Trzeba podać tylko dokładnie tytuł, nazwisko autora i nazwę firmy wydawniczej, tak jak podaliśmy w „Promyku“.

Rysiowi A. w Zakopanem. Miłym listem Rysia ucieszyliśmy się, serdecznie i szczerze zaś dziękujemy! Żal nam bardzo, że Ryś był chory, ale to pewnie już minęło? Co do rysunków to niechaj je Ryś wykona jak mu najmilej i najwygodniej będzie. Ołówek, kredka, farby czy pióro — nie stanowi dla nas żadnej różnicy. O bajkę Sabaty bardzo prosimy — nie wiemy tylko czy narzecze góralskie będzie dość zrozumiałe? Z ilustracyami „Promyka“ różnie bywa, częścią wykonuje się je we Lwowie — częścią sprowadza z zagranicy.

Salu G. w Krakowie. Bardzo chętnie drukować będziemy zagadki Sala proszę nam tylko śmiało przesyłać. Sądząc wedle zagadki ostatnio przysłanej, widzimy, że się Salu rychło bardzo, dobrze wprawi w układanie łamigłówek. Przysłana zagadka kryształowa jest bardzo dobrze pomyślana, słowa są starannie i ładnie dobrane. Nie umieszczamy jej jednak, bo w zagadkach kryształowych jeden i ten sam wyraz środkowy powinien się powtórzyć pionowo i poziomo n. p. w tym wypadku nazwisko malarza.

Jadwiga G. we Lwowie. Bardzo dobrze rozwiązuje Jadwinia zagadki, mimo że „Zarcik“ był zdaje się za trudny, bo tylko nie wiele Czytelników go rozwiązało. Zapewne prenumeruje Jadwinia „Promyk“ przez księgarnię, bo my adresu jej nie mamy i nie wiemy dokąd odesłać nagrodę.

Stanisław K. w Schönbrunnie. Zamówienia na książki, których ocenę podaliśmy w naszym piśmie, przyjmują wszystkie księgarnie. Najwygodniej jest zamawiać przez księgarnie galicyjskie. Ceny książek podaliśmy o ile były nam znane — wszelkich bliższych informacji udzieli odnośna księgarnia.

Oldzi H. w Jarosławiu. Dziękujemy bardzo za liczne zagadki. Jaki fartuszek chciałaby mieć Oldzia? Czy mały do paska, czyli też duży i na jaką wielkość?

Heli G. z Wadowic. Dziękujemy za zbiór zagadek.

Władce F. z Buczacza. Bardzo dziękujemy Władce za książki dla uczniów rzemieślniczych.

Irence z Torunia. Cieszyliśmy się bardzo śliczną kartką Irenki. Wido-
cznie lubi Irenka zwierzęta, kiedy o powiastkę o pieskach i kotkach prosi. Czy Irenka ma własnego pieska?

Tosi S. we Lwowie. Powiastka „Cień“ jest za trudna dla małych dzieci. Bardzo chętnie przeczytamy drugą powiastkę Tosi.

Zygmuśowi Z. we Lwowie. Dziękujemy za list i cieszymy się serdecznie, że „Promyk“ podoba się Zygmusiowi.

Irence z Machowy. Nie mogliśmy wcześniej odpowiedzieć na list, bo przyszedł wtedy, gdy „Promyk“ był już w druku. Cieszymy się bardzo, że Irenka chce częściej do nas pisywać.

Józiowi B. z Limanowy. Dziękujemy bardzo za tak miły i serdeczny list. Szukaliśmy w kilku podręcznikach polskich do szachów, ale spotykaliśmy wszędzie imię „laufer“. Natomiast w „Szachach“ Jana Kochanowskiego czytamy p o p — w miejsce „laufer“; r y c e r z — w miejsce k o Ń i r o c h — w miejsce wieży.

Ponieważ często dochodzą nas zażalenia, że „Promyk“ ginie na pocztach, prosimy Czytelników by reklamowali gazetki w razie gdyby nie doszła ich do 4. lub 18. każdego miesiąca. Zwracamy uwagę Czytelników na to, że reklamy gazetowe są wolne od opłaty pocztowej pod warunkiem, że przesyłane są w otwartej kopercie na której należy napisać „reklamacja gazetowa“.

Rozwiązanie zagadek N-ru 2 nadesłali:

Sabina A. z Tarnopola, Salo G. z Tarnopola, Jadwiga G. ze Lwowa, Lorcja i Brońcia N. z Tarnopola, Markus i Ernestyna N. z Tarnopola, Tosia S. ze Lwowa i Zygmus Z. ze Lwowa.

„Kalendarz Promyka“ dostaje Jadwiga G. ze Lwowa.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 3. i 4. umieszczonych w Kąciku dla małych dzieci.

I.

Wiewiórka.

II.

Jeleń.

Rozwiązanie zagadek N=ru 2.

ŁAMIGŁÓWKA nadesłana przez Białą Lilijkę ze Lwowa.

$$X + C = XC.$$

SZARADA nadesłana przez Maryę H. z Przemyśla.

Pop.

ŻARCIK nadesłany przez Leona M. ze Stanisławowa.

Kto z dnia robi n, o, c,
Postępuje bardzo źle.



Zagadki.

SZARADA nadesłana przez Leona M. ze Stanisławowa.

Pierwsze zaimkiem,
Drugie przyimkiem.
Danja ma trzecie —
Na wschodnim świecie
Całość znajdziecie.

ŻARCIK nadesłany przez Helę z Wadowic:

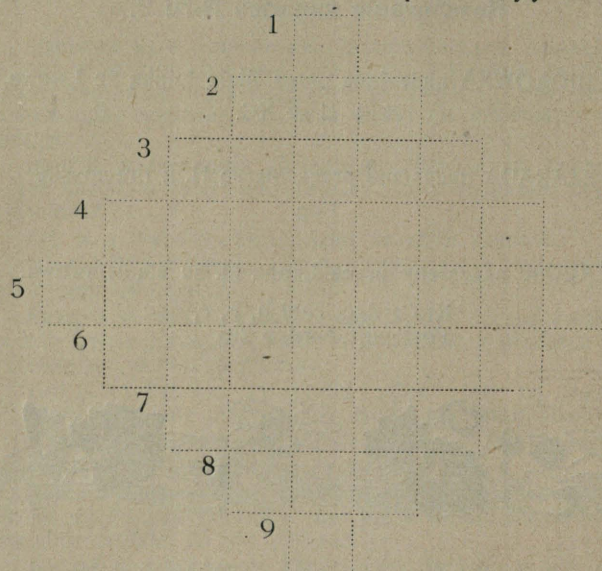
Z ilu liter składa się polskie abecadło?

KWADRAT MAGICZNY nadesłała Tosia S. ze Lwowa.

1			
2			
3			

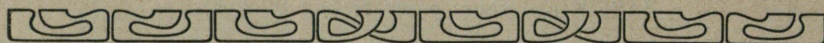
- 1) poeta
2) okres
3) parów

ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA nadesłana przez Maryę H. z Przemyśla.



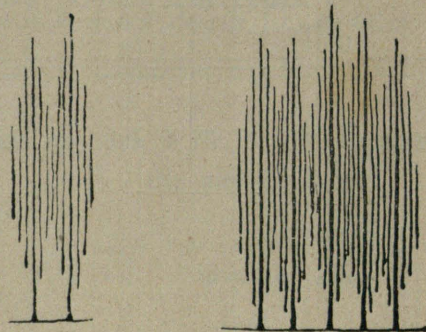
- 1) Spółgłoska.
- 2) Rzeka w Galicyi.
- 3) Kwiat.
- 4) Miasto w Krainie.
- 5) Słynny poemat.
- 6) Mieszkaniec kraju w połudn. Austrii.
- 7) Imię żeńskie.
- 8) Część twarzy.
- 9) Spółgłoska.

W nagrodę za rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy narzędzia stolarskie (piłeczkowe).



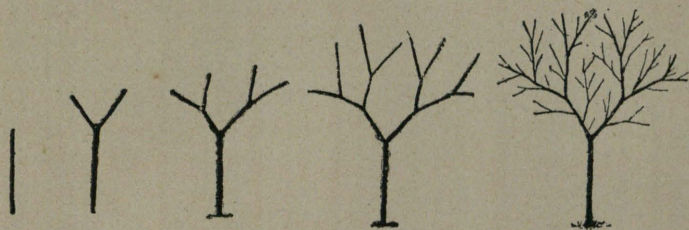
Ładne a łatwe rysunki.

I.



Topole.

II.



KĄCIK DLA MAŁYCH DZIECI.

Pieski Eskimosów.

Dzieci bawiły się bardzo wesoło. Przebierały się. Najśmieszniej umiała się zawsze przebrać Emilka. Znikała na chwilę w kątku za parawanem, a potem wychodziła przebrana za Turka, Japończyka, lub Chińczyka. Dzieci śmiały się serdecznie ile razy spojrzały na nią, bo bawiło ich to bardzo. Janek był malutki i też chciał przebrać się, wziął futrzaną czapeczkę siostrzyczki, kołnierzyk jej, ogromne rękawice tatusia i szal mamusi i tak pokazał się dzieciom. Wszystkie klasnęły w rączki i zawołały: „Eskimos idzie! Eskimos! Dzień dobry panie Eskimosie!“ Janek aż stanął ze zdziwienia, pierwszy raz słyszał takie dziwne słowo i nie wiedział co to znaczy. Zawstydzili się trochę bo nie rozumiał, co dzieci o nim mówią, rzucił czapkę, szal i rękawiczki, prędko pobiegł do mamusi i prosił: „Mamusiu — weź na rączki“. Mamusia wzięła chłopczyka na rączki, a on objął mamusię rączkami za szyję i spytał po cichutku do uszka: co to jest Eskimos? Mamusia podeszła z synkiem do okna i rzekła: Popatrz na ulicę, wszędzie śnieg leży, zimny wiatr wieje, z okien ciągnie, ani listka zielonego, ani trawki nie widać. Dzieci nie wychodzą na ulicę, bo za zimno jest dla nich, ale nie zawsze tak ulica wyglądała. Pamiętasz jak tu na wiosnę gwaro i wesoło, dzieci przebiegają tocząc obręcze, drzewka i kwiaty zielenią się, a słońce przyświeca wesoło. Są jednak kraje — opowiadała mamusia — w których nigdy nie ma lata, a zawsze jest zima, tam nie ma krówek bo nie ma dla nich pastwiska,

ani koników, bo nie ma dla nich sianka ani owsa. Mamusia opowiadała to głośno, Janeczek patrzył jej wprost do buzi, a wszystkie dzieci przybliżyły się i słuchały bardzo uważnie. Ludzie tam — opowiadała mamusia dalej — jadą zawsze sankami, bo ciągle u nich śnieg leży.

— Nie ma koników, a jadą sankami? — zapytał Antoś.

— Tak, rzekła mamusia — a zgadnijcie kto to ciągnie te sanki?

Dzieci oczywiście nie wiedziały tego.

— Te sanki Eskimosów są bardzo maleńkie, ciągną je — psy.

— Psy? — dzieci zdziwiły się bardzo.

— Tak jest, nie takie pieski jak nasz kruczek, ale duże dość, silne psy, które nazywają się psami Eskimosów. Pies żyje w chacie razem z Eskimosem, je to co pan jego i pocziwe stworzenie daje się zaprzęgać w sanie i ciągnie człowieka. Gdy sanie duże są a droga daleka, zaprzęga Eskimos dwa lub nawet i więcej psów.

Prócz psów mają Eskimosi inne jeszcze zwierzę domowe, którego my całkiem nie znamy, którego nigdy nie widzieliście jeszcze. Jest ono trochę podobne do jelenia, ale większe i silniejsze od niego i nazywa się ren. Rena zaprzęgają Eskimosi także do swoich sanek. Ren wytrzymuje wielkie mrozy i nie musi mieć dużo ładnej trawy jak krówka, jemu mech wystarcza, a mech rośnie w niektórych miejscach, gdzie mniej jest śniegu. Ponieważ u Eskimosów jest zawsze zimno, przeto zawijają się oni we wielkie futra z ogromnymi kołnierzami, które nastawiają sobie na uszy, na głowy wdziewają wielkie czapice na ręce kładą rękawice futrzane. Ty Janeczku przebrałeś się w same futra i szale i dlatego przezwwały cię dzieci Eskimosem — wytłómaczyła mamusia.

Janeczek uśmiechnął się, teraz przyjemnie mu było, że był Eskimosem. Zsunął się z rąk mamusi, podniósł ze ziemi rękawice, czapkę i szal, poubierał się w nie na nowo, przewrócił krzesło, aby to były niby sanki i sznurkami przywiązał do niego drewnianego pieska. To był niby pies Eskimosów. Tak bawił się ślicznie aż do wieczora.

Wrzos.



Zajęcie.



amusia zapowiedziała dzieciom, że pojedzie z niemi do cioci Andzi na wieś na cały tydzień. Dzieci ucieszyły się tem ogromnie. Na wieś!

Ciekaw jestem bardzo — rzekł Edzio, co też będziemy robili tam przez cały dzień. Hania mówi, że o tej porze roku nawet tyle nie można na wsi przechadzać się po ogrodzie, co w mieście, bo jest tam okrutnie dużo śniegu.

— A ja chciałabym bardzo wiedzieć — rzekła Zosia — czy się dzieci cioci Andzi nigdy nie nudzą.

— Tupałam nóżkami i gniewałam tem mamusię tylko z nudów — przyznała półgłosem Wańdzia — co to dopiero będzie na wsi?...

Nareszcie nadszedł oczekiwany dzień wyjazdu. Przez całą drogę rozmawiał Edzio, Zosia i Wandzia tylko o dzieciach cioci Andzi.

Zziębnięte trochę dzieci zajęchały. Marylka i Wicuś oczekiwaly je bardzo niecierpliwie. Jakże się niemi cieszyły!

— Jak to dobrze, żeście do nas przyjechały! jak dobrze — powtarzały dzieci, wypijcie prędko mleko i pójdziemy się bawić.

Zanim dzieci zdołały przygotowane mleczko wypić, już Wicuś przyniósł pudełko z klockami, klocki były kamienne, bardzo ciężkie. Wicuś postawił je na stole i zaczął budować uważnie. Budując, opowiadał: To będzie miasto nad rzeką. Tu ratusz, tu domy, tu szkoła, tu most.

Edzio pomagał mu — coraz coś nowego na myśl im przyszło. Ależ Wicuś budował wspaniale! Nigdy Edzio nie przypuszczał, że można się tak dobrze klockami bawić.

Marylka tymczasem opowiadała Wańdzieńce: „ja najlepiej lubię wycinać rozmaite wzorki z kolorowych papierków“. To mówiąc, otworzyła szufladę i wyjęła z niej zeszyt. Wańdzia bardzo się zdziwiła, bo wiedziała przecież, że taka mała dziewczynka, jak Marylka, jeszcze pisać nie umie — więc na cóż potrzebowała zeszytu?

Marylka otworzyła zeszycik.

Co za śliczności!

Prześlicznie wycięta gwiazdeczka z niebieskiego papieru, naklejoną była na pierwszej stronie zeszytiku. Na drugiej stronie przyklejone były jedna na drugiej na wskos dwie gwiazdeczki, pierwsza czarna, druga złota, każda pięknie wycięta w kółka, różkaki i kwadraki rozmaite. Na każdej stronie zeszytu były

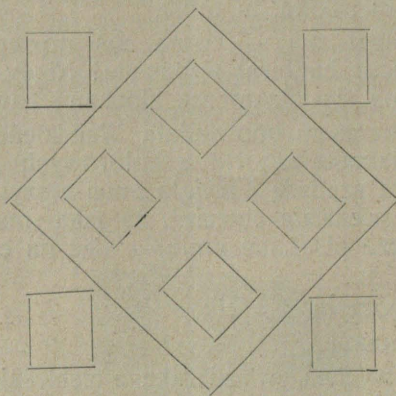
naklejone inne wzorki, wycięte z najrozmaitszych kolorowych papierków. Były nie tylko gwiazdki i wzorki, ale też kwiatki, sprząty, laleczki, domki. Jeszcze ładniejszy ten zeszytek był, niż książka z obrazkami, bo był własnej roboty Marylki, a ona sama do niego obrazki wymyśliła i zrobiła. Niektóre były wzorki wprost prześliczne, dużo ładniejsze od innych, wyglądały jak prawdziwe obrazki. Te robiła dla Marylki jej mamusia.

Wańdzia dziwiła się bardzo, że śliczny zeszytek Marylki tak czyściutko wygląda i wcale gumą nie jest splamiony pomimo, że tyle w nim jest klejonych papierków.

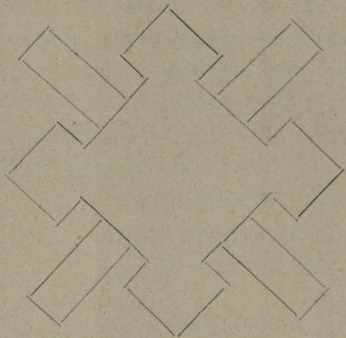
— Nigdy sama nie przyklejam — tłumaczyła jej Marylka — ja tylko wycinam ostrożnie tępymi i nie szpiczastymi nożyczkami, a mamusia mi wzorki wkleja. Może chciałabyś i ty wycinać trochę?

Wańdzia aż radość w oczkach się odbiła na samą myśl o tem. Obydwie dziewczynki zajęły się wycinaniem. Mamusia Marylki składała im papierki, aby gwiazdeczki ich były proste i równe, radziła jakie mają być kolory, jaka wielkość gwiazdeczek.

Mamusia Wańdzi wklejała dziewczynkom ich wycinanki do osobnych zeszyteków. Dziewczynki wymyślały sobie coraz nowe wzorki. Toż to było zabawy! Gdy wzorki były już naklejone, wyglądały jeszcze znacznie ładniej, bo mamusia Wańdzi nawet wycięte z gwiazdeczek odpadki naklejała jako ozdoby do wycinanek, np. bardzo prostą jedną z pierwszych wycinanek Wańdzi tak naklejiła, że odcietymi skrawkami papieru ozdobiła boki gwiazdeczki i to ślicznie wyglądało:



Marylka zaś wycięła dwa czarne paski i prosiła, by je mamusia na krzyż nalepiła, a na to nalepiła czerwoną gwiazdeczkę.

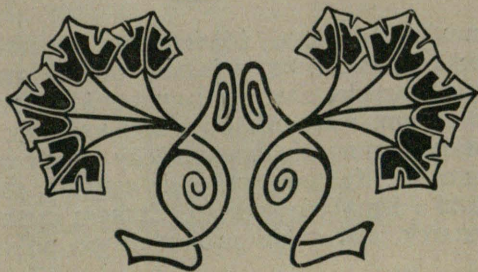


Dzieci tak dobrze tem się zabawiały, tak cieszyły się, gdy udało się im coś nowego i ładnego wymyśleć, że zdziwiły się, gdy zawołano do kolacyi.

— Już tak późno? — zapytała Wańdzia — czy wy zawsze, codziennie macie takie ładne zajęcia?

— Tak jest — odrzekła Marylka — czasem rysujemy, jutro pokażę ci mój zeszyt z rysunkami, to też jest bardzo zabawne. Ja czytać jeszcze nie umię, ale nie potrzeba umieć czytać i pisać, aby sobie coś narysować. Rysujemy, wyszywamy, wyplatamy, a czasem czyta nam mamusia powiastki z „Promyka“ lub z innych książeczek.

Wańdzia pomyślała sobie, że weźmie sobie przykład z Marylki, poprosi swoją mamusię o takie same robótki, jakie ma Marylka i będzie zawsze zajęta. Wańdzia była mądrą dziewczynką i zaraz zrozumiała, że gdy będzie miała ciekawe zajęcie, nigdy nie przyjdzie jej chęćka tupania nóżkami.



Władysław Bełza.

Szewczyk.



Jestem szewczyk sobie
Jak tego potrzeba!
Z pracy rąk zarobię
Na kawałek chleba!

Od domu do domu,
Za robotą latam
I co trzeba komu
To zaraz załatam.

Tu wbiję sztyfciki
Tam dodam podkowę
I moje buciki
Idą w świat jak nowe.

Więc proszę też pięknie
Każdego chłopczyka,
Jak mu bucik pęknie
Posłać po szewczyka.



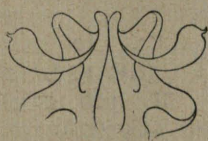
KANAREK.

Tosia miała ślicznego, żółciutkiego kanarka. Tosia była malutką dziewczynką, a jednak zawsze sama kanarkowi dawała jedzenie. Stawała na paluszki i wsuwała naczynko z ziarenkami ostrożnie do klatki kanarka. Wody Tosia kanarkowi sama nie dawała, żeby się nie ochlapać. Wodę przynosiła mamusia. Kanarek wchodził cały do naczynka z wodą trzepał piórkami i kąpał się wesoło. Czasem mamusia otwierał, klateczkę i kanarek latał sobie swobodnie po pokoju. Siadał na

stole, na półeczce, na szafie, dziobał rozmaite okruszyny i śpiewał prześlicznie. Kanarek zabawiał Tosię śpiewem i dawał jej dobry przykład — jadł grzecznie, nie grymasił wcale, mył się i kąpał chętnie a nawet taki był mądry i miły, że gdy Tosia wołała „gdzie kanarek?“ — odzywał się natychmiast: „pi“, Gdy Tosia płakała, kanarek pocieszał ją śpiewem, a gdy śpiewała, śpiewał z nią.

Razu pewnego wybierała się Tosia z mamusią na wieś do cioci w odwiedzin. Tosi żal było zostawić samego kanareczka w domu. Mamusia pozwoliła wziąć go z sobą.

Toż to się dzieci u cioci ucieszyły, gdy Tosia wraz z kanarkiem do nich zajechała!



Zagadki.

Ułożył dla małych dzieci Leoś M. ze Stanisławowa.

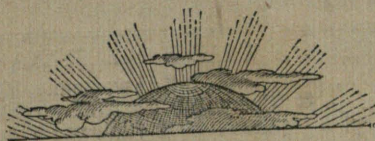
(Rozwiązanie znajduje się na str. 54)

I.

W lasach na konarach siadam
I orzeszki w smak zajadam;
Grzeje mię rudawa skórka,
Zgadniesz zaraz żem ...

II.

Ma on rosochate rogi
I wysmukłe, lekkie nogi,
Lubi lasy, gąszcze, zieleń.
Czy odgadłeś, że to?



W Warszawie.

Numer Promyka drukuje się już, a dochodzi nas wiadomość że robotnicza ludność Warszawy zebrawszy wszystkie siły — po raz wtóry złożyła pracę. Jak w styczniu roku 1863, tak i teraz „za naszą i waszą wolność!“ nie z orężem w rękę, nie kosztem krwi wroga toczy się ta walka, ale trzeba do niej również tyle bohaterstwa co do walki orężnej, również tyle odwagi, poświęcenia, zaparcia się siebie i ukochania tej rzeczy drogiej o którą się walczy!

„Nie będziemy pracować, wszystkiego zbraknie — w ten sposób zmusimy cara do ustępstw“ — powiedzieli sobie dzielni robotnicy warszawscy. Wiedzieli dobrze, że gdy złożą pracę, cierpieć będą głód i nędzę, że patrzeć będą na głód, nędzę i rozpacz żon swoich i dzieci, że zdrowiem bohaterską walkę swoją przepłacić mogą, bo głód rodzi choroby, i życiem — bo siepacze carscy strzelają na tych dzielnych ludzi. Wiedzieli to, a jednak po raz wtóry po kilkodniowej zaledwie przerwie złożyli pracę, gdyż tak ukochali myśl, że Polska wolną być może, a lud polski szczęśliwym, iż gotowi są dla urzeczywistnienia jej wszystko złożyć w ofierze.

Taka walka robotnicza prowadzona przez złożenie pracy — nazywa się strejkami; gdy toczy się ona we wszystkich zawodach jak np. teraz w Warszawie jest to — strejk generalny.

Ludzie we wszystkich częściach Polski składają się i posiadają pieniądze dzielnym robotnikom Warszawskim, aby ich poratować i w ciężkiej walce dopomóc im w ten sposób.

Do naszych Czytelników.

Zwracamy się do Czytelników naszych z usilną prośbą, by zechcieli ofiarować gry towarzyskie, których już nie używają sami i książki dla młodzieży, których już nie czytają, dla uczniów rzemieślniczych, by mogli oni rozerwać się i zabawić w wolnych chwilach. Za ubodzy są, by sami gry lub książki kupować sobie mogli. Rzeczy te należy przysłać na nasze ręce.

Znając naszych Czytelników, jesteśmy pewni, że o ile rodzice pozwolą, z największą gotowością wezwaniu naszemu zażość uczynią i zrozumią, że nie jest ofiarą taka przysługa, uczyniona uboższemu koledze.

PRENUMERATA WRAZ Z PRZESYŁKĄ WYNOŚI:

W Austrii rocznie 2 K, półrocznie 1 K, kwartalnie 50 hal. — W Królestwie w kopertach 4 ruble. — W Niemczech 2 marki. — W Francyi i w Szwajcaryi 5 franków. — W Ameryce 1 dolar.

———— Numer pojedynczy 10 halerzy. —————

Wydawczyni i odpowiedzialna redaktorka: **Jadwiga Czajkowska.**
Drukarnia Udziałowa we Lwowie, ul. Kopernika 20.

PROMYK



PISMO ILUSTROWANE DLA MŁODZIEŻY I DZIECI

WYCHODZI 1. i 15. KAŻDEGO MIESIĄCA.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, Miłkowskiego 11.

FILIA ADMINISTRACYI: KRAKÓW, GRODZKA 50.

List Józia Gajka.



Kochany „Promyku“!

Myslałem sobie, że moje rozmowy z panem Tadeuszem mogłyby może zająć czasem i czytelników „Promyka“, ale wstydziłem się pisać, bo myślałem, że niepotrafię tak dobrze napisać, jak trzeba. Ale pan Tadeusz powiedział: Nie wstydź się, pisz po prostu, tak jak myślisz, tak, jakbyś opowiadał, a z pewnością będzie dobrze. Więc piszę. Wczoraj byłem u pana Tadeusza, a kiedyś się już przywitał, powiedziałem: Dzisiaj mogę z Panem swobodnie pogadać, bo na jutro nie dużo zadane, ale na pojutrze za to, Boże zmiłuj się! z historyi aż do Oktawiana i całą rzymską powtórzyć, z fizyki takie trudne rzeczy i prawa Newtona na pamięć... ogromnie dużo! A pan Tadeusz zamyślił się chwilę

i powiedział: Czy wiesz ty, Józiu, ile setek lat musiało upłynąć, ile mąk i trudów ponieśli uczeni, aż te prawa Newtona *) zostały odkryte? Ja powiedziałem, nie wiem. A pan Tadeusz tak opowiadał: Naprzód wieki całe ludzie to tylko wiedzieli o gwiazdach, co sami wymyślili. I tak np. uważano słońce i gwiazdy za bóstwa dobroczynne i czczono je. Potem wieki trwały, wieki mozolnych badań, rachunków, wpatrywań się w gwiazdy, zanim odkryto jak się one poruszają. Bo dopiero przed nie całymi 400 laty odkrył Kopernik, że słońce nie obraca się dookoła ziemi, lecz ziemia dookoła słońca. Galilei astronom włoski, który przyznawał słuszność Kopernikowi, był za to męczony więzieniem, a Giordana Bruna za to samo spalono na stosie. Mówiono bowiem, że nauka Kopernika sprzeciwia się religii. Ale prawda nie dała się udusić. Właśnie w tym czasie (wiek XVII.) odkryto szkła powiększające i lunety astronomiczne. Ten sam Galilei miał być pierwszym, który zwrócił lunety ku gwiazdom i za pomocą lunety udowodnił, że Kopernik miał słuszność. Pierwszy raz teraz zobaczono, jak wygląda powierzchnia księżyca, jakie tam góry i doliny, pierwszy raz zaczęto badać płomienistą kulę słońca. Odkrycia coraz ciekawsze zaczęły się sypać jedne za drugimi. I właśnie teraz wielki astronom Newton odkrył prawo, według którego wszystkie gwiazdy, wszystkie ciała we wszechświecie się poruszają. Jest to prawo powszechnej grawitacji, czyli prawo powszechnego ciążenia. A mówi ono tak: Wszystkie ciała w wszechświecie przyciągają się nawzajem. Im jakieś ciało większe, tem silniej przyciąga. Ale siła przyciągania zależy nie tylko od wielkości ciała, ale także od oddalenia. Jeśli jakieś ciało będzie dwa razy dalej od drugiego niż dotąd, to będzie je cztery razy słabiej przyciągać, jeśli cztery razy dalej, to będzie je szesnaście razy słabiej, jeśli pięć razy dalej, to będzie je dwadzieścia pięć razy słabiej przyciągać itd. Czy wiesz, Józiu, czemu to prawo takie ważne? Według niego przyciągają i poruszają się gwiazdy. Ale ono stosuje się nie tylko do ciał niebieskich. Najmniejszy kamień, który spada na ziemię, najmniejsze jabłko, które leci z drzewa z powodu siły przyciągającej, czyli siły ciężkości ziemi, spada według tego samego prawa, według którego największa gwiazda przyciąga drugą o miliony mil oddaloną. Tu i tam działa to samo prawo powszechnej grawitacji. Według niego odbywa się wszelki ruch we wszechświecie. Newton doszedł do prawa tego zapomocą matematyki, zapomocą rachunków prowadzonych całemi latami. Inni znów astronomowie obliczyli wielkość słońca, księżyca, innych gwiazd, obliczyli jak daleko jedna od drugiej i jakimi drogami się poruszają, tak, że mogą naprzód przepowiedzieć, gdzie, w którym czasie jaka gwiazda będzie. Zapomocą lunet znów coraz więcej udoskonalonych poodkrywano nowe gwiazdy, a o starych dowiadują się coraz nowych rzeczy. Szczególniej

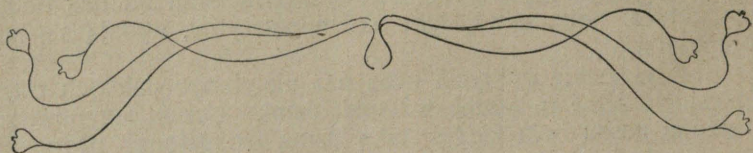
*) Czytaj: Niutona.

ciekawe są badania słońca, księżyca, planety Marsa i Saturna. Ale i na tem nie skończył się rozwój astronomii. Kiedy już lunety tak udoskonalono, że zdawało się, że już o wiele więcej udoskonalic ich nie będzie można, że już to, co można było przez nie zobaczyć, to zobaczono, wtedy odkryto nowy sposób: spektralną analizę. (Będę ci kiedyś osobno musiał powiedzieć, co to jest ta spektralna analiza). Zapomocą niej uczeni dowiadują się, jakie pierwiastki znajdują się na gwiazdach, czy azot, czy tlen, czy metale itd. i dowiadują się, gdzie na jakiej gwiazdzie są gazy, a gdzie ciała stałe. Pomyśl tylko, tego wszystkiego dowiadują się o gwiazdach o miliony mil od nas oddalonych, które nam, gdy gołym okiem patrzymy, wydają się jakby małe punkciki!

Te wszystkie odkrycia uczą nas nietylko o dalekich ciałach niebieskich, ale i o naszej własnej ziemi. Uczeni przypuszczają, że ziemia nasza była kiedyś taką samą rozpaloną, płomienistą kulą jak słońce, a może kiedyś będzie taksamo wymarłą, bez powietrza i wody, jak księżyc. Są nawet uczeni, którzy starają się obliczyć, ile czasu upłynęło odkąd ziemia zaczęła stygnąć, odkąd płomienista przedtem powierzchnia pokryła się zastygłą skorupą. Matematyk Thomson oblicza (oczywiście rachunek nie jest pewny, tylko prawdopodobny), że upłynęło od tego czasu 90 do 200 milionów lat. W tym czasie ziemia przeszła kolosalne zmiany; nowe lądy i góry powstawały i znikaly, z drobnych istot żyjących tworzyły się coraz wyższe i rośliny i zwierzęta, niektóre ich rodzaje wyginęły i dopiero dziś w głębi ziemi znajdujemy ich resztki i podziwiamy dziwaczne ich kształty; inne zostały i rozwijały się w coraz wyższe i wyższe istoty, aż z najwyższych rozwinął się człowiek. Ogromnie to ciekawa rzecz czytać lub słuchać, jakie epoki przechodziła nasza ziemia, jak w każdej wyglądała i jakie zwierzęta i rośliny wtedy żyły, i jak do tego wszystkiego uczeni dochodzą. Może kiedyś i o tem, jak będziemy mieli czas, pogadamy ze sobą. Tak więc widzisz, Józiu, nie tylko ludzie mają swoją historję, ale ma ją i ziemia nasza, tylko gdy zmiany wśród ludzi odbywają się w ciągu setek lat, ziemi trzeba na to setek milionów... Ale ja tu tak mówię milion, miliony, a czy wiesz ty, Józiu, co to znaczy milion? Ja popatrzyłem się zdziwiony i powiedziałem: wiem. A pan Tadeusz powiedział: wiesz, ale czy możesz sobie wyobrazić, co to za ogromna cyfra? Widzisz, gdybyś na tej ścianie narysował linię 10 metrów długą (więc ściana by musiała już być dość dużą, by wystarczyło miejsca) i gdybyś sobie wyobraził, że 1 milimetr ma oznaczać 100 lat, wtedy cała linia będzie znaczyć milion lat. Wśród takich milionów lat zachodziły wypadki, które tworzą historję ziemi. Wobec nich ten twój Oktawian, o którym się masz nauczyć, tak jakby był dziś albo wczoraj, bo przecie odkąd on panował w Rzymie upłynęło tylko 19 set lat, 19 milimetrów na naszej linii. Tak mówił pan Tadeusz, a ja pomyślałem sobie,

że muszę się dobrze nauczyć praw Newtona, a zwłaszcza prawa o powszechnej grawitacji nie dlatego, że zadane, ale bo według tego prawa jest zbudowany cały wszechświat i setki lat niezliczeni uczeni pracowali swemi dzielnymi głowami i męki znosili, by je odkryć. A jak ja będę pamiętał, to lepiej zrozumie te inne ciekawe rzeczy, które mi może kiedyindziej pan Tadeusz opowie. A tyle mam pytań! Tyle różnych pytań!

Z serdecznem pozdrowieniem dla „Promyka“
Józef Gajek.



ALFONS DAUDET (CZYTAJ DODE).

Nadzwyczajne przygody imci pana Tartarin'a z Taraskonu.

(Z francuskiego.)

(C. d.)

IX. W WAWRZYNOWYM GAJU.



owoli oswajał się Tartarin z Taraskonu z nowym sposobem podróżowania i z nowym towarzyszem — ale o wiele częściej szedł przy boku wielbłąda niż jeździł na grzbiecie jego. Ilekroć bowiem dosiadł swojego wielbłąda ...kutas fezu buntował się srodze i biedny nieszczęsny jeździec musiał odbywać dalszą podróż piechotą...

Od owego pamiętnego jarmarku minął już był miesiąc cały. Tartarin posunął się znacznie na południe, w próżnem oczekiwaniu groźnego przeciwnika.

Szedł z miejsca na miejsce, z doliny w dolinę, z boru — w bór, z wioski — do wioski. Przewędrował Algier wzdłuż i wszerz.

Lwa nie ma i nie ma!

Bohater z Taraskonu nie tracił nadziei. Coraz dalej, coraz śmielej posuwał się na południe, przetrząsał wszystkie krzaki i zarośla, obmacywał pnie palm i w każdym podejrzanem miejscu wołał:

— Prrrrr! Prrrrr!

Chciał wystraszyć lwa i wypłoszyć go z bezpiecznego ukrycia.

Co wieczora stał dwie lub trzy godziny na straży, w pełnej zbroi.

Napróżno!

Pewnego razu, u schyłku upalnego dnia letniego, siedł Tartarin zmęczony i zbiedzony skwarem dnia i bezowocnem oczekiwaniem. W tem nagle... z lekkim powiewem wiatru zaczęły dolatywać go dziwne, tajemnicze odgłosy, podobne do tych, które słyszał był dawno, dawno temu, hen w kraju, w Taraskonie — przed menażeryą Mitaine'a...

Tartarin nie dowierzał uszom swoim. Czyż podobna? Czy to być może? Śni i marzy? Nie! nie! to jawa, to rzeczywistość! Znany głos tak dawno upragniony odezwał się już po raz wtóry. Tak! niezawodnie, to ryk lwa! Ryk lwa dochodzi go zdala! Tartarin stał zasłuchany.

Teraz słyhać już i przytłumione szczekanie psów — to musi być jeszcze bardzo, bardzo daleko.

Wielbłąd wstrząsnął się tak gwałtownie strachem zdjęty, że skrzynia z konserwami zderzyła się ze skrzynią zbroi.

— Tak to lew! To lew! — zawołał uszczęśliwiony bohater. Porwał zbroję i stanął na posterunku.

Stał wśród wawrzynowego gaju. Wawrzyny w około, wawrzyny nad głową. Co za pomyślna wróżba!

Ujął strzelbę w rękę, przyklęknął, wbił nóż myśliwski w piasek, przed siebie — czekał.

Zapadła ciemna, czarna noc. Opodał placówki Tartarina przepływał strumyk po piasku i w jednym miejscu rozlewał się w szeroką kałużę. W czystej, niezmaconej, spokojnej wodzie odbijały się gwiazdy.

Po drugiej stronie kałuży widać było wyraźnie jakieś dziwne ślady na piasku, To zapewne ślady lwów... Tak: bezwątpienia przychodzą tu nocą, poić się w strumieniu...

Straszna nocy afrykańska! Wśród gęstej ciemności latają i pełzają najrozmaitsze owady, ptaki i gady. Gałęzie drzew trzeszczą złowrogo. W około słyhać tajemnicze głosy zwierząt, kroki, stapanie, wycie szakali — a wysoko, wysoko pod niebem ciągną żurawie hałaśliwym sznurem. Taka jedna nieprzespana noc może zdławić odwagę najmężniejszego człowieka...

Nawet Tartarin, ten nieugięty, nieustraszony Tartarin z Taraskonu, całą siłą mocy podtrzymywał się na duchu. Hartu! hartu! a tu... ręka drży... strzelba trzymana w wyprężonej prawicy co chwila uderza o nóż w piasek wbity...

Nagle... usłyszał straszny łoskot spadającego w wodę kamienia...

Tartarin wzdygnął się cały. Na chybił trafił dał dwa strzały w ciemną przestrzeń, porwał się z miejsca, zapomniawszy całkiem o nożu, uciekał szybko przed siebie..

— Ratunku! Ratunku!

X. NARESZCIE.

Nazajutrz obudził się Tartarin na leśnej polance. Znekany, zmęczony oglądał się w koło. Najstraszniejsze myśli przychodziły mu do głowy. Wierny, pocziwy wielbłąd stał przy nim i patrzył mu w oczy litośnie.

Gdy siedział tak zadumany niepewien jutra swego, nie wiedząc dokąd skierować swe kroki — poruszyło się coś w gęstych zaroślach, Tartarin spojrzął w tę stronę i ujrzał — głowę olbrzymiego lwa. Zwierzę podniosło dumnie a groźnie łeb swój wspaniały, potrząsało potężną grzywą i wydało nagle tak straszny i przeraźliwy ryk — że osłupiały Tartarin odzyskał przytomność od razu.

O! teraz nie zadrzał już wcale! Męskim zapałem wzrok mu płomieniał i czystym, donośnym głosem zawołał:

— Nareszcie!

Cały gaj wawrzynowy zabrzmiał tym okrzykiem tryumfu.

— Nareszcie! Nareszcie!

— Pif! Paf! Puf!

Już po wszystkim!

Lew dostał dwa strzały w głowę. Gęsty dym naboju osłonił go całunem.

Gdy mgła dymu opadła — straszne zjawisko okazało się zdumionym oczom Tartarina: Z poza trupa lwa zdążyło ku niemu dwóch murzynów z groźnie podniesionymi maczugami.

Zgrozo! To murzyni z Milianah!

Co za nieszczęście! Kula taraskońska przeszła biednego, ślepego, tresowanego lwa z klasztoru Mahometa!

O Taraskonie! Płacz nad dolą swego bohatera! Nie ujdzie on zemście braci klasztornej!

Szczęściem przejeżdżali drogą żandarmi z Orleansville,*) którzy w samą porę położyli tamę znęcaniu się murzynów nad strzelcem.

Rad nie rad musiał poddać się bohater z Taraskonu. Wraz z wielbłądem, lwem zabitym i murzynami, poszedł za żandarmami do Orleansville'u.

Nie będę opisywał strasznej tortury jaką znosił nieszczęsny strzelec w trzydziestodniowym więzieniu śledczym. Ile bólu, ile rozpacz, ile znosić musiał srogich upokorzeń!

Skazano go wreszcie na grzywnę dwóch kroć sto tysięcy pięciuset franków.

*) Czytaj Orleanvil, miasto w Algierze.

Tartarin przeszukał w rozpaczy wszystkie kieszenie daremnie!

Nie było innej rady — trzeba było porostwierać wszystkie skrzynie.

Tłum kupujących otoczył go kołem — sprzedawał puszkę po puszcze, flaszkę po flaszcze, zbroję po zbroi...

Po zapłaceniu tego olbrzymiego długu pozostał mu tylko wielbłąd i lew nieszczęsny. Tej cennej zdobyczy nie chciał pozbyć się mąż z Taraskonu!

Starannie zapakował skórę zabitego lwa i wysłał ją do Taraskonu, do dowódcy Brawidy. Wielbłąda pragnął sprzedać i za otrzymane pieniądze kupić bilet jazdy omnibusem, który miał zawieść go z powrotem na północ kraju, tam, gdzie wyładował.

A jednak nie mógł wykonać tego skromnego planu, nie znalazł kupca — nikt nie chciał nabyć wielbłąda!

Bez centa udał się Tartarin w daleką drogę — wierne zwierzę postępowało za nim. Przywiązało się serdecznie do pana i łagodnym, smutnym wzrokiem śledziło każdy ruch jego, każdą skinienie.

W pierwszej chwili wzruszył się Tartarin do głębi wiernem przywiązaniem wielbłąda. Po kilku dniach znudziło mu się to jednak. Gniewało go smętne spojrzenie zwierzęcia, a po tygodniu znienawidził całą mocą natrętnego towarzysza i myślał nad tem, jakby się go pozbyć można.

Ale zwierzę było nieustraszone.

Tartarin chował się, uciekał, krzyczał, gniewał się — wielbłąd zawsze łagodny i cichy, zawsze wierny i przyjazny dotrzymywał mu kroku.

Wreszcie zbliżali się do Mastafy. Wszedł znowu na wygodną, szeroką szosę przepelnioną tłumem ludzi.

Wielbłąd szeł za nim.

— To niepodobna! — wrzasnął Tartarin gniewnie — nie mogę się w mieście pokazać z tem natrętnem zwierzęciem! Skreślił nagle w boczną uliczkę i schował się w rowie.

Wielbłąd nie spostrzegł tego. Pędził dalej prosto przed siebie nie zważając wcale na zachodzące mu drogę tłumy arabów.

Tartarin odetchnął głęboko. Nareszcie pozbył się znienawidzonego towarzysza!



Opowiadanie marynarza.

Przeróbka z niemieckiego.

Do ryciny.



orcia kąpała lalki. Była w arcy złym humorze, nie chciała ubrać się, stała w bieliźnie zadasana, zła i — chlapała się. Jej humorek udzielił się bonie i matce, dość że rano w domu nie był zbyt miłym.

Na nic strofowania i napomnienia matczyne:

— Dorciu przeziębisz się, rozchorujesz.

— Toż dopiero będzie fochów i grymasów gdy się rozchoruje, kiedy dziś, gdy zdrowa taki dzień feralny! — zamruczała bona.

— Niekoniecznie — odrzekła dziewczynka już mniej przykrym tonem. — Stary Tobiasz, żeglarz, całe życie spędził na wodzie, stracił nogę a jednak nie widać u niego żadnych fochów.

— Nie ośmieszaj się dziecino porównaniem do Tobiasza — rzekła matka łagodnie: On strawił życie na wodzie, ale nie na kąpaniu lalek przecież. A nogę stracił nie przez lekkomyślny kaprys, ale wtedy gdy tonącemu człowiekowi uratował życie. Wrócił żonie męża, a dzieciom ojca. Zresztą kochanie pozwalam ci pójść do niego i zapytać o jego przygody. Dziś jedyną przyjemnością starca-kaleki jest opowiadanie o przygodach swoich, wspomnienie czasów, gdy był silnym, młodym i dzielnym.

Dorcja w pierwszej chwili nic nie odповіdziała na to, nie umiała rozchmurzyć się tak prędko.

Co raz jednak przychodziło jej na myśl pozwolenie matki. Co też stary opowie? Może o burzy morskiej, o walce z rekinami, o napadzie korsarzy? Przez 40 lat płynął po morzu w różne strony świata — dość on ma do opowiadania!

Ciekawość opowieści zmoęła dziewczynkę. Wstawszy od obiadu powiedziała matce, że teraz pójdzie do Tobiasza.

— Owszem.

Przez drogę tylko trzeba było przejść. Przed niskim domkiem, na przyźbie siedział stary marynarz. Chłopcy z sąsiedztwa zobaczyli, że Dorcia idzie do niego więc co prędzej nadbiegli domyślając się, że po raz setny usłyszeć będą mogli dziwne opowiadania.

Wszczęła się rozmowa między Tobiaszem a dziećmi, których garstka rosła i rosła ciągle. Tobiasz opowiadał jak to stracił nogę ratując majtkę. Była burza na morzu. Ołowiane chmury zaległy horyzont; huragan wył i świszczwał, spienione bałwany były w łódź, że bryzgało na okół, łódź przechylała się tak, że maszt prawie leżał na wodzie. Majtek chcący żagiel zwinąć zleciał nie-szczęśliwie z masztu i zawisł na haku. Tobiasz rzucił się na ratunek, już wdrapał się do niego, już go trzymał oburącz, gdy



wichr na nowo zawył, porwał ich obydwu i z siłą nieznówną rzucił nimi o pokład.

Myślano, że żywymi nie wstaną ztamtąd. Uszli jakoś cudownie lecz Tobiasz niebezpiecznie złamał nogę. W kilkanaście dni po tem wrócił ze szpitalu o kuli.

Dzieci stały zasłuchane a chłopcy półgłosem robili uwagi:

— Jak to życie marynarza pełne jest niebezpieczeństw.

— Zapewne — odpowiadał stary — to nie żarty.

— Ale i pięknem jest także!

— Ma także swoje piękne strony.

Nareszcie jeden z chłopaków odwarzył się na to do czego wszyscy od początku zmierzali:

— Marynarz widzi pewnie dużo ciekawych rzeczy — rzekł — obce kraje i ludy, Indyan i ludożerców... to dopiero draby być muszą i hołota... ci dzicy z wysp odległych?...

Starzec zamyślił się dziwnie, pyknął fajkę i mruknął pod nosem:

— Nie tak straszni oni.

Chłopak spytał na wpół do siebie:

— Broń muszą mieć straszną?...

Teraz stary zrozumiał o co dzieciom chodzi.

— No! no! możecie wejść do izby i wynieść łuki wiszące na ścianach.

Jednym susem skoczyło paru chłopców do domu i powynosiło indyjskie łuki. Starzec tłumaczył jak i wśród jakich okoliczności je dostał i jak się nimi posługują dzicy i rzekł poważnie.

Jesteście wprawdzie dziećmi, ale nie tak małemi i głupiemi, żebyście nie mogli sami osądzić, że taka indyjska wykalaczka jest mniej niebezpieczną od naszych dubeltówek, karabinów i armat.

Dzieci stały zafrapowane tą uwagą. Pierwsza odezwała się dziewczynka o parę lat starsza od Dorci:

— Pan Tobiasz chce pewnie powiedzieć przez to, że nasza europejska broń jest dziksza i sroższa od broni tych dzikich.

— Tak jest dzieci, tak ja myślę. Ludzie są braćmi, nazywają się cywilizowanymi, a biją się, mordują, ograbiają i krzywdzą wzajemnie i mają bezczelność wyrzekać na dzikich. Przecież oni do tych dzikich nie przystępują z bratniem uczuciem i pomocą, ale skierowują przeciw nim broń palną... czyż to może w tych dzikich obudzić łagodność, miłość i zaufanie do nich?

Posłuchajcie, sam byłem świadkiem takiego wydarzenia. Było to wśród Indyan na Samoa w Apii. Mocarstwa europejskie zagrabiały ziemie wśród walk morderczych, okrutnych i nierównych, od strasznej broni europejczyków padało tysiące „dzikich”. Pewnego dnia zerwała się niebывała, okrutna burza na morzu, europejskie okręty wojenne stały na kotwicy. Zaciemniło

się nagle od ołowianej chmury spieniony, ponury, szumiący bałwan uderzył o okręt, zatrzęsł nim złowrogo, wyrwał go, rzucił nim o skałę... Usłyszeliśmy trzask, którego nie zapomnę nigdy. Okręt rozleciał się, znikł w głębinie... A na okręcie byli przecież ludzie...

Okropny, przeszywający krzyk wyrwał się z piersi Indian stojących u brzegu. Całą gromadą rzucili się w morze. Żebyście wiedziały dzieci jakie to było morze!.. Huczące, straszne, srogie, spienione, fale szły wielkości domów. Ja nie wiem czyby który Europejczyk miał odwagę rzucić się w takie morze w obronie — wroga!... Indianie rzucili się, wielu z nich poginęło ale wielu wypłynęło, pracując ciężko, wlokąc za sobą uratowanych Europejczyków.

Zamilkł starzec i dzieci milczały...

— Odnieście łuki.

Odniosły, skłoniły się i odeszły. Żadno nie mogło przemówić. Wśród gromadki wracała i Dorcia do domu. Na myśl nasunął jej się humor raniejszy — jakimże wydawał jej się nie do pojęcia głupim.



Odpowiedzi Redakcyi.

Dokończenie opowiadania p. „Zagadka o cieple i pracy istot żyjących“ zamieścimy w Nrze 6-tym.

Stanisław B. w Podgórzu. Dziękujemy bardzo za list i zagadki, z których jednak na razie skorzystać nie możemy. „Łamigłówka geograficzna“ Stasia jest bardzo ładnie ułożoną łamigłówką sylabową. Dobór nazw jest bardzo odpowiedni — widać że Staś rozumnie ułożył sobie plan zagadki — ale w łamigłówkach tego rodzaju, powinno końcowe litery także coś oznaczać. „Zarcik“ — podobny jest zbytnio do żarcika z Nr. 3. i 4. a zupełnie równobrzmiący „kwadrat magiczny“ dostaliśmy równocześnie od innej czytelniczki.

Guści i Salci G. w Krakowie. List Wasz ucieszył nas bardzo — miło nam nad wyraz że „Promyk“ znalazł w Was pilne i rozumne czytelniczki. Zagadka jest wcale dobra i spodziewamy, że się w krótkce wprawicie w układanie szarad.

Oldzi H. w Jarosławiu. Chętnie zawszemy bliższą znajomość z Oldzią i prosimy bardzo o list.

Różowej Różyczce w Krakowie. Dziękujemy za list i wiadomość o dobre m świadectwie Różyczki i Frani. Dalszy ciąg „Pamiętnika Gajka“, który oczekujesz tak niecierpliwie, drukujemy w tym numerze.

Irence z Torunia. Dziękujemy Irence za list i zagadkę, ale prosimy bardzo aby Irenka wybrała sobie inny pseudonim, jeżeli nie chce, byśmy

pisali jej po imieniu. Pierwszy wyraz pseudonimu oznacza taką straszną nędzę o jakiej zapewne pojęcia nie masz, więc trudno obrać to sobie za nazwę, prawda? A dlaczego „w Indyach“ skoro Irenka mieszka w Toruniu?

Józefowi S. w Brodach. Dziękujemy z góry za zapowiedzianą książkę dla uczniów rzemieślniczych — proszę adresować przesyłkę do redakcji „Promyka“. Czy Józio sam tak ładnie na maszyaie napisał?

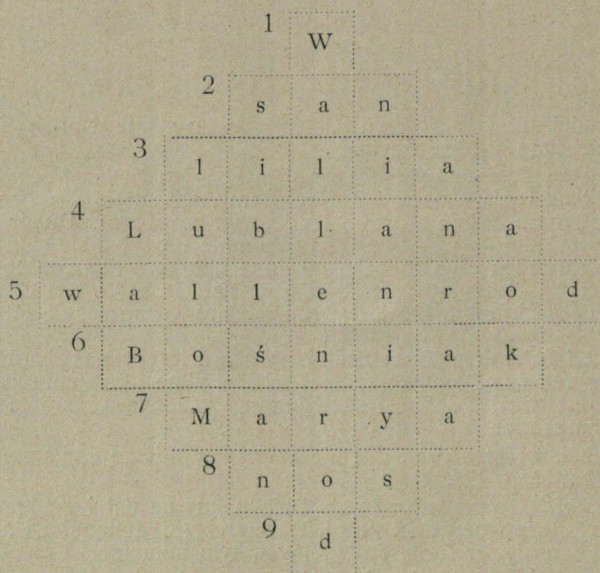
Rozwiązanie zagadek N-ru 2 nadesłali:

Sabina A. z Tarnopola, Władysław B. ze Stryja, Adam C. z Nowego Sącza, Stanisław B. z Podgórze, Róża i Oleś D. ze Lwowa, Jadwiga G. ze Lwowa, Matias G. z Przemyśla, Guścia i Salcia G. z Krakowa, Fryderyk G. z Jasła, Izidor G. z Nowego Sącza, Oldzia H. z Jarosławia, Alfred H. z Kołomyi, Marya H. z Przemyśla, Stanisława O. z Przemyśla, Oleś P. z Tarnopola, Mieczek O. z Jezierny, Irenka z Torunia, Różowa Różyczka z Krakowa, Janina R. ze Lwowa, Tosia S. ze Lwowa, Józef S. z Brodów, Marya Elżbieta S. z Niżbarga, Markus i Ernestyna N. z Tarnopola, Lorcja i Brońcia N. z Tarnopola, Augusta F. z Jarosławia i Józef Wilder z Drohobycza, Zygmunt Z. ze Lwowa.

Przybory stolarskie (piłeczkowe) dostaje Oleś P. z Tarnopola.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 3. i 4.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSTAŁOWA nadesłana przez Maryę H. z Przemyśla.



SZARADA nadesłana przez Leona M. ze Stanisławowa.

Ja — po — nia.

ŻARCIK nadesłany przez Helę z Wadowic:

a — b — e — c — a — d — ł — o
składa się z 8 liter.

KWADRAT MAGICZNY nadesłany przez Tosię S. ze Lwowa.

1	r	e	j
2	e	r	a
3	j	a	r



Zagadki.

SZARADA nadesłana przez Irenkę z Torunia.

Żyje we wodzie
O cieniu i chłodzie
Jest nader wonna
I bardzo skromna.

ŁAMIGŁÓWKA nadesłana przez Różową Różyczkę z Krakowa.

Mo - lit - czy - wo - zno - ja - oj - ty - steś - je - wie - i - jak - le - nić - wie -
zdro - bra - ce - cię - trze - cił - ten - kto - ko - stra - tyl - cię - się - do.
Z powyższych sylab ułożyć znany wiersz.

ŻARCIK nadesłany przez Leona M. ze Stanisławowa.

W tych 15 kwadracikach należy wpisać imię i nazwisko poety „Julian Ursyn Niemcewicz“ tak, aby w każdym kwadraciku była tylko jedna litera, przytem niczego nie wolno opuścić.

Za rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy książeczkę z narodziejskimi obrazkami. Gdy się obrazki pociągnie pendzlem umaczanym w czystej wodzie występują śliczne kolory.

KĄCIK DLA MAŁYCH DZIECI.

GRZECZNA DZIEWCZYNKA.



Do ryciny na str. 73

Manusia chodziła ze swoją mamusią po mieście za rączkę. Przed sklepami przystawały i Manusia przypatrywała się ciekawie wystawom sklepowym. Jakżeż przepiękne były tam zabawki! Kolej żelazna na szynach, wanieńka dla lalki, pokóik malusieńki i dużo, dużo lalek. Manusia miała w domu laleczkę, która nazywała się Zosia. Zosia była grzeczną i bardzo porządną lalusią. Co rana, gdy Manusia z łóżeczka wstawała, wyjmowała też lalkę swoją z łóżka, przebierała jej koszulkę, wdziewała dzienną bieliznę i biegła z nią do umywalni. Gdy po umyciu Manusi wylewano wodę, wtedy Manusia w próżnej miedniczce lalkę niby myła, kąpała, wycierała gąbką i ręcznikiem. Przez cały dzień siedziała Zosia porządnie i czysto ubrana we wózek albo na foteliku, a wieczorem zanim Manusia spać się położyła rozbierała swoją laleczkę, rzeczy jej porządnie składała na krzeselku, a samą układała do małego łóżeczka. Łóżeczko Zosi przysuwało się na noc do łóżeczka Manusi, aby laleczce przyjemniej było. Manusia mówiła zawsze, że Zosia chciała mieć młodszą siostrzyczkę, że nazywałyby się ta siostrzyczka Joasia i że Zosia dawałaby jej z pewnością dobry przykład.

Stojąc z mamusią przed wystawą sklepową pokazywała Manusia na każdą laleczkę, że ta właśnie byłaby dobrą siostrzyczką dla Zosi, aż zobaczyła w rogu wystawy milusią laleczkę. Była ona tylko w koszulce, miała jasne włoski i czarne oczka.

— Ach! jakby się Zosia taką siostrzyczką cieszyła!

Mamusia nic nie mówiąc weszła do sklepu, powiedziała coś po cichu do tego pana, który tam sprzedawał zabawki. Pan wystawę otworzył, wyjął laleczkę, która się Zosi tak bardzo podobiała i zawinął ją w papier.

Manusia była bardzo zaciekawioną co też pan z laleczką zrobi. Mamusia dała panu pieniędzy z pularesa i wzięła pakunek do jednej ręki, a drugą ujęła Manusię za rączkę mówiąc — chodźmy Maniusiu kupiłam ci tę siostrzyczkę dla Zosi!

Co za radość! Manusia popatrzyła na mamusię rozradowanemi oczkami, była uszczęśliwioną i wdzięczną! Zarzuciła mamusi rączki około szyi, całowała serdecznie i szeptała do uszka: dziękuję ci mamusiu kochana, dobra, słodziuchna moja! Potem skakała i klaskała w rączki. Mamusia ucałowała serdecznie dziewczynkę i cieszyła się jej radością, a pan kupiec zadowolony był bardzo widząc jak dziecko cieszy się zabawką u niego

kupioną. Przrzekł, że ile razy Manusia zechce kupić coś u niego w sklepie — da jej dobrą i porządną zabawkę, bo widać, że lubi ona ładne rzeczy i umie je szanować.

Laleczkę, siostrzyczkę dla Zosi, mamusia sama do domu zaniósła z obawy, aby Manusia nie stłukła jej przypadkiem w drodze. W domu dopiero wzięła Manusia po raz pierwszy tę nową córeczkę swoją do ręki. Prędiutko zaniósła ją do Zosi, posadziła je obok siebie na kanapce i poczęła co prędzej wyszukiwać bieliznę i ubrania dla Joasi. Pierwszej nocy musiały obydwie siostrzyczki-laleczki spać w jednym łóżeczku. Mamusia przrzekła, że zrobi jutro z pudełka osobne łóżeczko dla Joasi.

Nazajutrz wyjątkowo wolno było Maniasi „umyc“ swoje laleczki nim była jeszcze całkiem ubraną. Była bardzo ciekawą, czy Joasia da się grzecznie myć, czy weźmie sobie dobry przykład z Zosi.

W miednicy nie było naturalnie nic wody, gdy Zosia myła sobie sama rączki, a Manusia suchą gąbką myła Joasi twarzyczkę. Potem ubrała się grzeczna dziewczynka, poubierała swoje lalusie i grzeczniutko niemi się bawiła.



Ż A G Ł O W I E C.



ioteczny braciszek Emilki mieszkał nad morzem!

Emilka widziała morze tylko na fotografii i na obrazkach. Było to bardzo daleko, u ciotecznego braciszka nigdy nie była, a nawet nie znała go wcale, tylko wiedziała o nim, że nazywa się Felis.

Razu pewnego przysłał jej Feliś pocztą, w pakunku podarunek.

— Co to być może?

Otwarto pakunek, a w niem była łódeczka drewniana do zabawy i list od cioci, w którym pisze, że Feliś całkiem sam zrobił z drzewa tę zabawkę dla Emilki.

Łódeczka była bardzo porządnie i czysto zrobiona, jakby u prawdziwego stolarza, a nawet była malowaną na czerwono i biało. W środku sterczał długi patyczek. Feliś pisał, że nazywa się on masztem i że na prawdziwych łodziach, któremi ludzie po morzu jeżdżą, jest on taki wysoki, jak cała sosna.

U dołu masztu trochę po nad łódką przymocowany był do tego patyczka maszcik drugi dużo mniejszy i poprzeczny. Między temi obydwooma masztami rozpiął Feliś kawałek białego płótna — to ż a g i e l. Feliś pisał, że gdyby nie było żagla łódka

nie płynęłaby po wodzie, tylko stała na jednym miejscu, a maszty po to są, żeby o nie można było żagiel zaczepić.

Emilka nie mogła wyobrazić sobie dlaczego łódka z żaglem płynie.

Próbowała puścić swoją zabawkę na wodę, ale zrobiła to bardzo śmiesznie. Wpuściła cały żagielek do wody tak, że łódka leżała na wodzie dnem do góry odwrócona. Emilka myślała, że tak jak kaczka płynie, bo porusza we wodzie płetwami, tak samo łódka płynie za pomocą żagla. Zdawało jej się, że żagiel porusza się jak noga kaczki, lub jak wiosło, że rozpycha wodę i dlatego łódka płynie.

Tatuś i mamusia zdziwili się bardzo, że Emilka mogła to sobie tak wyobrazić. Tatuś wyjął łódeczkę, a gdy zmoczony żagiel trochę przesedł przy piecu, nalał tatuś wody do szafliczka i postawił na nią łódeczkę żaglem i masztom do góry. Łódeczka stała spokojnie i prościutko na wodzie.

— Teraz córuś dmuchaj w żagiel — rzekł tatuś.

Emilce w to mi graj było. Wydeła buzię i przez chwilę dmuchała w żagiel i łódeczka poruszyła się — płynęła po wodzie.

Emilka była ogromnie zdziwiona.

— Feliś pisze, że maszt jest w prawdziwej łódce taki wysoki, jak cała sosna. Jakiż musi być żagiel w takiej łódce — zapytała tatusia.

— Jak od szczytu sosny na dół i odpowiednio szeroki — odpowiedział tatuś.

— A kto dmucha w taki ogromny żagiel? — zapytała dziewczynka dalej.

— Wiatr — rzekł tatuś.

— Tak więc, rozumiem już — mówiła Emilka — wiatr porusza łódki, tak jak wiatraki, młyny.

— Podobnie, z tą różnicą, że skrzydła wiatraka kręcą się pod wpływem wiatru i poruszają maszyny, a w żagiel wiatr dmie i pcha go wraz z łódką.

Bardzo by Emilka chciała zobaczyć prawdziwą łódkę na morzu.

Tatuś przyrzekł jej, że gdy podrośnie, pojedą nad morze do cici i tam Emilka prawdziwych łodzi żaglowych dość zobaczy. Tymczasem pokazał jej to na obrazku.

PRENUMERATA WRAZ Z PRZESYŁKĄ WYNOŚI:

W Austrii rocznie 2 K, półrocznie 1 K, kwartalnie 50 hal. — W Królestwie w kopertach 4 ruble. — W Niemczech 2 marki. — We Francji i w Szwajcarii 5 franków. — W Ameryce 1 dolar.

———— Numer pojedynczy 10 halerzy. —————

Wydawczyni i odpowiedzialna redaktorka: **Jadwiga Czajkowska.**
Drukarnia Udziałowa we Lwowie, ul. Kopernika 20.

PROMYK



PISMO ILUSTROWANE DLA MŁODZIEŻY I DZIECI
WYCHODZI 1. i 15. KAŻDEGO MIESIĄCA.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, Miłkowskiego 11.

FILIA ADMINISTRACYI: KRAKÓW, GRODZKA 50.

STANISŁAW KRAMSZTYK.

Zagadka o cieple i pracy istot żyjących.

(Dokończenie.)



ciagu poprzedniej dyskusyi naszej nasunęło się nam jedno jeszcze pytanie, na które również brakło odpowiedzi, skąd mianowicie organizm zwierzęcy czerpie zasób siły, dający mu możność wykonywania pracy? Teraz odpowiedź nasunie się nam łatwo, jeżeli uprzytomnimy sobie działalność maszyny parowej. Gdy lokomotywa ciągnie długi szereg wagonów, wykonywa pracę kosztem ciepła, które się ze spalania węgla wytwarza; para jest tu tylko pośrednikiem przy przeobrażaniu ciepła w pracę. Gdy mamy pewien zapas węgla, przechowywany w piwnicy na zimę, oznacza on dla nas pewien zasób ciepła; dla przemysłowca ma on wartość odpowiedniej ilości pracy. Palenie węgla jest źródłem ciepła, które się w dalszym ciągu w pracę przeobraża, a podobny ciąg przemian nie-

przerwanych zachodzi w istocie żywej. Porównać więc można zwierzę żyjące do maszyny parowej, odstępstwa zachodzą tylko w okolicznościach podrzędnych. Okazano to doświadczeniami zupełnie przekonywującymi.

Mięsień, wycięty żaby świeżo zabitej, zawieszono w jeunym końcu, w drugim obciążono niewielkim ciężarem, a nadto umieszczono w nim czuły bardzo termometr. Gdy wtedy mięsień ten podrażniono prądem elektrycznym, skurczył się nagle i pociągnął ciężarek w górę, wykonał przeto pewną pracę; w tejże samej wszakże chwili osadzony w nim termometr opadł, dając tem dowód, że mięsień się oziębił, na wykonanie więc pracy wyłożył pewną ilość ciepła; można było stąd nawet obliczyć, że zamiana ciepła w pracę wyraża się stosunkiem takim samym, jak i w maszynie parowej. Ostatecznie więc w organizmie zwierzęcym, jak w piecach naszych, jak pod kotłem maszyny parowej, odbywa się istotnie palenie; w jednym przeto i w drugim razie wymaga to ciągłego dowozu materiału opałowego, Piece opalamy węglem kamiennym lub drzewem, dla organizmu zaś materiał opałowy stanowią pokarmy.

Pokarmy nasze są to substancje bardzo zapewne różne od węgla kamiennego lub drzewa, w istocie jednak rzeczy różnica nie jest tak znaczna, wszystkie bowiem pokarmy nasze, chleb i owoce, mięso, tłuszcze, zawierają zawsze węgiel i w ogóle składem swoim chemicznym są znacznie do zwykłych materiałów opałowych zbliżone. Nie moglibyśmy się zapewne żywić węglem lub drzewem, ale to dlatego głównie, że materiały te nie rozpuszczają się w wodzie, ani też w cieczach, wydzielających się w naszym przewodzie pokarmowym, przez ściany zaś tego przewodu do krwi przedostać się mogą substancje jedynie w stanie ciekłym, to jest, gdy są rozpuszczone. O pokarmach możnaby zresztą długo prawić, ponieważ wszakże obecnie idzie nam tylko o wyjaśnienie jak się w ciele zwierząt ciepło wytwarza, poprzedzić możemy na tej wiadomości ogólnikowej, że pokarmy stanowią materiał opałowy dla organizmu naszego; zawarte w nich substancje, węgiel zwłaszcza, roznosi krew po całym organizmie i doprowadza do płuc, gdzie łączą się z tlenem i ulegają spalaniu. Organizm zwierzęcy jest to maszyna bardzo złożona i zawiła, ale wszystkie jego szczegóły zależą nawzajem jedne od drugich i łączą się w całość zgodną i harmonijną.

Mówiliśmy już wyżej, że pokrycie zwierzęcia, jego sierść lub pióra, chroni je od stygnięcia; rodzaj tego pokrycia zostaje więc w ścisłym związku z ilością ciepła, jaką zwierzę wywiązuje, z żywością procesów palenia, jakie w nim zachodzą. W jednakowych warunkach umieszczono dwa króliki, z których jeden posiadał sierść swą naturalną, drugi zaś, zupełnie ogołocony z niej, miał skórę nagą. Ten drugi doznawał znaczniejszej straty ciepła, a dla wynagrodzenia bezustannego i znacznego ubytku ciepła zużywał pokarmu daleko więcej; pomimo to, powiększona nawet

ilość pożywienia nie mogła wystarczyć dla pokrycia straty ciepła, rozsyłanego przez nieodsloniętą skórę, a po kilku dniach zwierzę żyć przestało.

Zwierzęta wysyłają ciepło całą powierzchnią swego ciała, od jej wielkości zależy tedy, jak szybko zwierzę to ciepło swe traci i stygnie. Wyobraźmy sobie sto kulek drobnych i jedną kulę wielką, zajmującą też samą objętość, co wszystkie owe kulki drobne; oczywiście powierzchnia stu tych małych kulek znacznie przewyższać będzie powierzchnię kuli wielkiej. Niechaj to będą kule żelazne: rozgrzejmy je jednakowo silnie, umieścimy je w jednakowych warunkach, a kulki drobne ostygną znacznie prędzej, aniżeli kula wielka.

Toż samo, słowo w słowo, da się odnieść do zwierząt. Zbierzmy tyle myszy, aby waga ich wyrównywała ciężarowi słonia, a będą miały powierzchnię znacznie większą, aniżeli ten olbrzym lądów, znacznie też więcej tracić będą ciepła. Ubytek ten wynagrodzony być musi żywszem paleniem w organizmie, obfitszem wywiązywaniem ciepła. Ptaki, posiadając gęstą osłonę ciała, są mniej na utratę ciepła narażone, dla tego też w ogólności mają wymiary mniejsze, aniżeli zwierzęta ssące. Najdrobniejsze jednak ptaki zamieszkują okolice najgorętsze i są nadto suto upierzone. Gdy znów warunki zewnętrzne powodują bardzo znaczną utratę ciepła, zwierzę dla jej zrównoważenia dorasta znacznej wielkości, zwierzęta ssące żyjące w oceanach, wieloryby, foki, morsy, mają wzrost potężny. Przy tak znacznych bowiem tylko wymiarach ciała utrzymać mogą wysoką temperaturę w lodowatych wodach dalekiej północy.

Skoro wszakże rozwiązaliśmy już zagadkę ciepła zwierzęcego i rozumiemy, jak to się dzieje, że istota żyjąca nie ziębnie nawet w mroźnem powietrzu, nasuwa się nam teraz inne jeszcze, a wręcz przeciwne pytanie: w jaki sposób jest ona w stanie opierać się i ciepłu nadmiernemu? Bryła żelazna, która na mrozie zastygła, gdy ją znów obok pieca rozpalonego lub w pobliżu ogniska złożymy, rozgrzeje się rychło tak dalece, że nikt jej ręką dotknąć się nie odważy, a przecież przy tem ognisku pracuje i uwija się ustawicznie piekarz, kowal, hutnik; — czyż więc temperatura ich ciała również się silnie podnosi, czyż rozgrzewają się jak martwy głaz kamienny lub metalowy? Pojmujemy, że tak być nie może, najłżejsza bowiem nawet gorączka rzuca nas na łóżko, a gdy temperatura ciała choćby o kilka stopni wzrasta, staje się dla nas zabójczą. Widzieliśmy też nieraz, jak starannie za pomocą termometru mierzy lekarz temperaturę chorego i stąd wnosi o przebiegu choroby, czy dalej wzmaga się jeszcze, czy też ustępuje. Palacz zaś, który zasila wciąż opałem ognisko pod kotłem maszyny parowej, pomimo żaru, który go otacza, zachowuje swe zdrowie, nie ulega gorączce; temperatura jego ciała pozostaje więc w zwykłym, normalnym swym stanie. Pod skwarnem niebem afrykańskim posiada murzyn takąż samą

temperaturę ciała, jak eskimos skulony w chacie swej, z lodu zbudowanej. Przebywamy też nieraz w salach natłoczonych, teatrach, na widowiskach, gdzie gorąco staje się dokuczliwem, a pomimo to właściwa temperatura naszego ciała nie wzmacnia się bynajmniej. Jakąż więc drogą niweczy się zgubny wpływ ciepła nadmiernego, w jaki sposób broni się ciało nasze przeciw zbytniemu rozgrzaniu? Zagadkę tę wszakże pobieżna już obserwacja rozwikłać nam dozwoli, gdy przypomnimy sobie krople potu, które w warunkach takich na czoło nasze występują. Żar podnieca działalność gruczołków potowych, ciało nasze pokrywa się obfitym potem, który się szybko ulatnia, a parowanie to sprowadza ochładzanie się ciała. Tak samo, by oziębic izbę zbyt rozgrzaną, skrapiamy podłogę wodą, parowanie bowiem cieczy wymaga zawsze nakładu ciepła, sprowadza więc obniżenie temperatury. W czasie dnia skwarne go radzi sobie pies, wysuwając z paszczy wilgotny swój język, żywe bowiem ulatnianie tej wilgoci daje mu zbawienną ochłodę.

Temperatura więc istoty żyjącej pozostaje wciąż niezmienna, lub prawie niezmienna, utrzymuje się w równowadze statecznej. Jest to jakby piec tak misternie urządzony, że w razie potrzeby, gdy jest narażony na zbyt silną utratę ciepła, sam przez się ognisko swe podsyca; gdy zaś nadmiernie zagraża mu rozpalenie, energiczniej zaczyna ciepło swe rozsyłać i prędzej stygnie.

Budowa wszakże zwierzęcia misterniejsza i osobliwsza jest jeszcze. Piec, gdy mu opału zabraknie, pozostaje zimny; maszyna parowa skoro spłonie ostatnią bryłką węgla, powstrzymuje natychmiast ruch swój i pracę. A tymczasem zwierzę głodniałe, nawet w braku pożywienia, temperaturę ciała swego jeszcze zachowuje; nieraz też człowiek o głodzie pracować musi, a pomimo to, posiada jeszcze dosyć energii, by na utrzymanie rodziny swej zapracował.

Skądże więc przy niedostatku takim czerpie organizm żyjący dla siebie materyał opałowy; gdzie w razach takich znajduje źródło ciepła swego? Oto organizm sam się zużywa, niszczą się tkanki, spalają się same mięśnie; istota żyjąca staje się wątleszą, wychudzoną. Gdy złych losów pokonać nie zdoła, ulega wreszcie w tej walce, ginie i umiera; ale człowiek wytrwały i dzielny nie poddaje się łatwo, pokonywa przeciwności i poprawia warunki swego bytu, pracuje bez uszczerbku dla swego organizmu, a praca daje mu zadowolenie, gdy korzystne jej widzi owoce. Praca bowiem, mówi wielki poeta, zrosi czoło w męce, lecz nie odbiera już, co da.

Na tem zakończył medyk swój wykład, bo chłopców właśnie na wieczór wezwano. A uwijali się przy niej tak żwawo, że któryś z nich szepnął do sąsiada swego:

— Skorzystali widocznie z nauki, kiedy się tak gorliwie opałem ładują, ale czy również ochoczo wezmą się jutro do pracy?



ALFONS DAUDET (CZYTAJ DODE).

Nadzwyczajne przygody imci pana Tartarin'a z Taraskonu.

(Z francuskiego.)

(Dokończenie.)



XI. TARASKON! TARASKON!

ołudniowe słońce paliło swym żarem. Z nad komina „Żuawa“ wznosił się wysoki, czarny słup dymu. Na pokładzie ruch i gwar był nie do opisania. Majtkowie biegali tam i z powrotem, krzyczeli, nawoływali — wszystko gotowało się do drogi.

Podróżni spieszyli się, kupowali bilety, nadawali pakunki — murzyni i arabi znosili ciężary. Co chwila odbijały od brzegu małe łódki, którymi podróżni dostawawali się do okrętów.

Tartarin z Taraskonu nie miał pakunków. Tym razem nie bał się wcale korsarzy. Nie straszyły go groźne miny murzynów. I nie szedł już teraz dumnie i wzniośle głównymi ulicami miasta. Przechodził wąską ścieżyną, wijącą się przez melonowe pola i cicho, niespostrzeżenie dostał się do portu.

Nieszczęsny Taraskończyk! Na maurytańskim wybrzeżu ograbił go los z wszystkich marzeń i nadziei. Tu rozstał się z wszystkim, co miał najdroższego na świecie — ze zbroją, z apteką, z parasolem i z konserwami. Tu doświadczył gorzko, że sny jego bohaterskie o lwach i sławie były tylko mrzonką....

Kapitan zobaczył Tartarina, stojącego nieśmiało w porcie, przywitał się z nim i wziął go ze sobą do łódki.

Zaledwie łódka odpłynęła była od brzegu, zjawił się w porcie gość niespodziany: Zziąjany, zmęczony długim biegiem, dyśzający, znękany — biedny wielbłąd Tartarina wpadł jak strzała w przestronny plac portowy. Przez 24 godzin szukał nadaremnie pana swojego, który tak niemiłosiernie gardził jego przywiązaniem.

Tartarin zbladł jak chustka na widok swego prześladowcy, zadrżał, odwrócił szybko głowę, aby nie patrzeć na niego, aby nie widzieć natrętnego towarzysza. Ale wielbłąd nie zraził się tem wcale. Biegał wzdłuż portu tam i z powrotem i patrzył wciąż żałośnie w stronę odpływającej łodzi.

— Weź mnie ze sobą, zdawały się mówić duże czarne, smętne oczy jego — weź mnie ze sobą, nierozstajmy się już nigdy. Uwieź mnie z tego kraju, gdzie ludzie gardzą już jazdą na wielbłądach. Weź że ze sobą ostatni Turku, ostatniego wielbłąda!

— Czy to pański wielbłąd? — zapytał kapitan.

— Nie! Nie! zaprzeczył żywo Tartarin z Taraskonu. Na samą myśl o tem, że wielbłąd ukazać się gotów z nim razem na ulicach rodzinnego miasta, przeszło go mrowie. Co ludzie powiedzą? To okropność!

Biedny wielbłąd patrzył na to wszystko. Łódka Tartarina zbliżała się powoli do „Żuawa“. Nieszczęśliwe zwierzę wydało tęskny okrzyk, wydłużyło szyję, wyciągnęło się i... skoczyło do wody.

Po chwili z ponad fal morskich wynurzyła się głowa wielbłąda, a za nią garb jego, podobny do olbrzymiego melona.

Powoli, niezgrabnie i z niezwykłym wysiłkiem pruć wielbłąd morskie fale.

Łódka i wielbłąd przybyli równocześnie do okrętu.

— Wiesz pan co — rzekł kapitan do Tartarina — żał mi zwierzęcia. Wezmę go ze sobą na pokład „Żuawa“. Może uda mi się sprzedać go w Marsylii do ogrodu zoologicznego.

Wielbłąd dopłynął do okrętu na pół żywy ze znużenia. Trzeba było spuścić liny i powrozy i kilku majtków skoczyło mu z pomocą. Tym sposobem dostał się nieodstępny towarzysz Tartarina z Taraskonu na pokład „Żuawa“.

Nadeszło nowych dwa dni przeprawy na powrotnej drodze z Algieru do Francji. Tartarin zamknął się w swojej kajucie i nie wychodził z niej wcale.

Ale tym razem nie było to z powodu strasznej choroby morskiej, o nie! Twarz jego łagodna i pogodna nie zdradzała najmniejszego bólu, a fez, mocno zasunięty na głowę nie skrzywił się wcale, nie zesunął z czoła i błękitny kutas spływał spokojnie na barki. Tartarin zdrow był jak ryba — ale na pokład nie wychodził wcale. Wszakże tam na górze, na pokładzie, spaceruje poważnie a smętnie on, wróg jego, znenawidzony — wielbłąd! Co za wstyd! Co za wstyd! Jakie upokorzenie w obec współtowarzyszy podróży, gdy to niezgrabne, wstrętne zwierzę zaczyna łączyć za nim i prześladować go swoim czułem przywiązaniem. Jak świat światem takiego wielbłąda jeszcze nie widziano.

Tartarin stał prawie bezustannie przy małym okragłym okienku swojej kajuty i patrzył na szmaragdową toń wody morskiej. Głęboki błękit afrykańskiego nieba znikał mu powoli z oczu. Wreszcie pewnego ranka usłyszał dzwony Marsylii!

Gęsta mgła zasłoniła mu widok. Usłyszał tylko stuk spadającej kotwicy. Po chwili maszyna stanęła i nastąpiła uroczysta cisza.

Tartarin nie miał pakunków. Nie potrzebował troszczyć się o tragarzy. Pospieszenie opuścił okręt i przebiegł strzałą ulice Marsylii. Bał się, że wielbłąd go odnajdzie!

Pędził tak gorączkowo aż na dworzec kolejowy. Kupił bilet trzeciej klasy i wpadł zdyszany do wskazanego przedziału.

— Nareszcie! Teraz jest już całkiem bezpieczny.

Krótką to była radość! Zaledwie ujechał był pociąg kawał drogi — coś około dwóch mil niespełna — gdy w tem niebywale zamieszanie powstało wśród podróżnych. Wszyscy rzucili się do okien. Rozległ się śmiech i krzyk nie do opisania. Tartarin zaciekawiony z trudem dostał się do okna. O zgrozo! To on, wielbłąd, ten przebrzydły wstrętny wielbłąd pędzi obok pociągu, równym, szybkim biegiem!

Tartarinowi serce zamarło w piersiach. Nigdy jeszcze nie nienawidził tak bardzo natrętnego towarzysza. Padł na ławkę bladej i drżący z gniewu i przymknął oczy.

Po tak niefortunnej wyprawie postanowił nie uwiadomić nikogo o swoim przybyciu i cicho, niespostrzeżenie powrócić do domu. Bo cóż to za powrót? Bez zbroi, bez grosza, bez lwa. Nie — tylko wielbłąd ten nieszczęsny!

— Taraskon! Taraskon!

Tartarin wyskoczył pospiesznie z wagonu. Co to? Zaledwie ukazał się fez czerwony we drzwiach przedziału trzeciej klasy, gdy powstał na dworcu taki silny, radosny okrzyk, że szyby pociągu drzeć poczęły.

— Niech żyje Tartarin! — zabrzmiało z tysięcy piersi. Niech żyje!

Zabrzmiały trąby, basy i flety, a chór najlepszych śpiewaków zaintonował powitalną pieśń.

Tartarin nie wiedział: śni i marzy? Ależ nie, to rzeczywistość! Cały Taraskon wyruszył na jego powitanie. Powiewano czapkami, pozdrawiano go radośnie. Był dowódca Brawida, był Costecalde, burmistrz, aptekarz i strzelcy. Wszyscy cisnęli się w około powracającego. Przed dworcem kolejowym ustawiono wspaniałą bramę tryumfalną.

Chciecie wiedzieć co było przyczyną tego uroczystego przyjęcia? Wszak pamiętacie że Tartarin posłał był swego czasu skórę nieszczęśliwie zabitego lwa do dowódcy Brawidy. Skórę tę, jako łup świetnego zwycięstwa wystawiono w klubie na widok publiczny. Wszyscy oglądali ją z podziwem, zachwycali się, marzyli o świetnej wyprawie Tartarina, opowiadali cuda o jego afrykańskich czynach. Wieść o bohaterskich zapasach Tartarina, szła z ust do ust, rosła, potężniała. Mówiono o tem długo i szeroko, a gazety prowincjonalne zamieszczały duże artykuły o dziarskim mężu.

Gdy Tartarin wylądował w Marsylii, sława jego dosięgła zenitu. Skoro dowiedziano się tylko o jego przybyciu — grono wielbicieli zawiadomiło o tem telegraficznie mieszkańców Taraskonu.

Ale jakim było zdziwienie, radość i wzruszenie skromnych obywateli cichego grodu, gdy tuż za uwielbionym mistrzem uka-

zało się niezwykle zwierzę, zdyszane, zmęczone długą podróżą, okryte kurzem i oblane potem. Szło krok w krok za panem swoim, smętnym a poważnym i uroczystym krokiem po uwieczonych tryumfalnie schodach.

Tartarin widział zdumienie i podziw współobywateli swoich. Spojrzał wdzięcznym okiem na wielbłąda i wyrzekł z dumą:

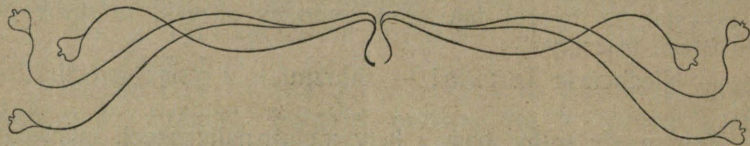
— To jest mój wielbłąd!

I ogarnęło go nagle wzruszenie. Łagodnie pogładził ręką wychudły, mizerny garb wielbłąda i rzekł:

— To jest mój drogi, kochany wielbłąd — on był świadkiem moich zapasów ze lwami.

To mówiąc, w towarzystwie wielbłąda, dowódcy, aptekarzy, strzelców i innych współobywateli udał się do cichego domku swojego, przywitać się z ukochanym baobabem.

KONIEC.



Jeleń.

Nie rozumiem tego po prostu — mówił Tadzio do Stefka gdy razem wracali ze szkoły — jak można zajmować się zoologią, jak można uczyć się jej chętnie i twierdzić, że to jest przyjemny przedmiot.

Po każdej lekcji zoologii można było usłyszeć podobną rozmowę między kolegami. Tadzio był dziś bardziej niż kiedykolwiek i bardziej niż innego dnia źle usposobionym dla zoologii, bo dostał właśnie złą klasę.

Stefka przezywano zoologiem, bo zawsze stawał w obronie tej nauki. Powód w zamięłowaniu Stefka leżał w tem, że ojciec jego był wprawdzie nie fachowcem, ale z zamięłowania zoologiem. Opowiadał nader ciekawe rzeczy z życia zwierząt, w domu bywały kolejno najrozmaitsze ptaki, psy, białe myszy, morskie świnki, raz była nawet małpa, tak, że Stefek poznawał ich tryb życia, ich inteligencję, upodobania, polubił je i przywiązał się do nich.

Chłopcy kochali się szczerze, mimo że na punkcie zoologii nie mogli zrozumieć się wzajemnie — i odwiedzali się często.

— Przyjdź do nas Tadzio wieczorem, po odrobieniu lekcji, wuj Arnold przyjedzie, wiesz ten brat mamy, który był już we

Włoszech i w Anglii i w Ameryce, on zawsze okrutnie ciekawe rzeczy opowiada.

Tadzio spóźnił się nieco wieczorem do Stefcia. Wszyscy siedzieli już przy kolacyi. Wuj miał twarz przyjemną, jasną i dość długą, szpakowatą brodę. Siostrzyczka Stefcia bawiła się ilustrowaną kartką korespondencyjną, na której wyrysowane były jakieś dziwne jelenie i sarenki biało centkowane. Tadzio spojrzał na kartkę:

— Cóż to za bydlę? — rzekł pogardliwie, myśląc widocznie o lekcyi zoologii.

— To krewniaki naszego jelenia — odrzekł wuj.

— E! — Tadzio machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: tyle mię też obchodzą co i on.



Wuj może zrozumiał teraz o co szło, ale nic nie odrzekł Tadziovi wprost, tylko prowadząc ogólną rozmowę opowiadał:

— Nieraz polowałem na jelenie, podziwiałem wtedy zawsze bajeczny wprost słuch i węch tego zwierza. O czterysta, lub nawet sześćset kroków rozpoznaje on człowieka i ucieka przed myśliwym.

— Chcesz powiedzieć przed człowiekiem — rzekła matka Stefka.

— Nie, chcę powiedzieć przed myśliwym. Bo inaczej dla czegoż w miesiącach, w których nie odbywa się polowanie na jelenie — nie jest on tak płochliwym; a w niektórych miejscach, w których się wogóle na jelenie nie poluje, można przystąpić do grupy swobodnie pasących się jeleni, zbliżyć się do nich na jakie trzydzieści kroków, a nie uciekną wcale.

Jeleń i sarna boją się człowieka dlatego, bo doświadczyły, że jest on ich wrogiem, tam gdzie tego nie doświadczyły, nie uciekają od niego.

W Angli i w Niemczech zwiedzałem olbrzymie parki, w których żyły jelenie całymi stadami. Było ich 60 do 80 sztuk. Polowania odbywały się tam wprawdzie, ale nie często, gdyż ustanowionem było, że wolno ubijać rocznie 6 do 8 sztuk tylko. To już wystarczało by się jelenie nie płoszyły. Sam widziałem, jak myśliwy wysypywał kupkami żołądzie między zgarnięte stogi siana. Jelenie mimo naszej obecności podchodziły i jadły, a myśliwy, który oczywiście w tej chwili nie polował zachęcał ich: „chodź, chodź jeleniu!”

W miesiącach wrześniu i października są jelenie nad wyraz dziko i wojowniczo usposobione wobec innych zwierząt i wobec siebie wzajemnie. Z pochylonemi głowami bieżą dwa jelenie ku sobie, nastawiając rogi, wpadają na siebie, uderzają na siebie z siłą i impetem. Rozgałęzione ich rogi zaczepiają się, wplątują się jedne w drugie, tak dalece, że zdarzały się już wypadki, że jelenie same wycofać się już wcale nie mogły i ginęły skutkiem tego. Po śmierci ich również nikt rogów rozplatać nie zdołał bez uszkodzenia końców.

Ciekawem jest jak samica pilnując młode w legowisku swoim, zmyślnie osłania je od napaści wroga. Przedewszystkiem stara się uwagę wroga od młodego odwrócić a zwrócić na siebie. Mimo płochliwości zwykłej, staje się w takim razie odważną, nie ucieka zaraz gdy wroga poczuje, ale czeka aż tenże podejdzie nieco. Potem zmyka starając się wprowadzić go w błąd wśród goniw. Gdy wróg oddali się szukając jej, ukrytej w pobliżu — wraca do legowiska.

Jelenia łatwo oswoić można jeżeli złapano go w bardzo młodym wieku. Król polski August II. miał pojazd złożony z 8-miu zupełnie oswojonych jeleni, a pewien książę niemiecki jeździł powozem ciągniętym przez same białe jelenie.

Na kartce którą bawi się Frania, wyrysowanym jest bliski krewniak jelenia, daniel, jest mniejszym nieco od jelenia i białe centkowanym.

Widziałem go często w zoologicznych ogrodach i parkach. Jest to prześliczne, łagodne zwierzę, ma te same obyczaje i przyzwyczajenia i sposób życia co jeleni i jak u jelenia zdarzają się też wśród danieli osobniki całkiem białe. Są one wprost prześliczne.

Tak daniel jak i jeleni są nadzwyczaj muzykalne, nie tylko dobrze słyszą, ale lubią muzykę. Gdy słyszą przygrywkę jaką na rogu myśliwskim lub na fujarce, podchodzą bliżej zasłuchane, lub też przystają, zapominając o ucieczce.

Wszyscy z zajęciem przesłuchiwali się opowiadaniu wuja, Tadzio oczywiście nie mniej uważnie i ciekawie słuchał od innych, pomyślał nawet, że chciałby widzieć kiedy białego jelenia lub daniela i że przecież pojąć się da jak ludzie mogą oddawać się badaniu życia i natury zwierząt.

Wrzos.



Powiastrka o świecey.

Siedziało raz przy stole dwoje dzieci, Stasia i Marylka a na stole leżało mnóstwo zabawek. Były tam lalki i piłki, krówki i koniki, naczynie i narzędzia, książeczki i obrazki. Na stole stała też duża świeca w mosiężnym lichtarzu, a obok niej leżało pudełko zapałek.

Świeca i zapałki nie rozstawały się nigdy — bo kładziono je zawsze obok siebie. Wspomagały się wzajemnie — bo świeca bez zapałek zaświecić się nie mogła — a zapałka bez świecy gasła beżużytecznie nie mogąc nikomu oddać swojego płomienia.

Zapałkę pocierano o rąbek pudełka i sz-sz-sz — z głośnym szelestem główka jej rozgrzała się tak mocno, że buchnęła jasnym płomieniem. Ale płomień ogarniał wnet całe drewnienko i w krótkce potem z całej zapałki pozostało tylko trochę węgla i popiołu.

Tymczasem ze świecą działo się inaczej. Próżno tarłby ją kto i rok cały o ścianę pudełka — nie zaświeciłaby się nigdy — trzeba było koniecznie przytknąć zaświeconą zapałkę do knota świecy — a wtedy świeciła się tak jasno, że widno robiło się w pokoju.

Stach i Marylka znali dobrze świecę i zapałki, bo widzieli je zawsze w pokoju. Ciekawi też byli co się to tam w świecy świeci, knot czy stearyna?

— Z pewnością knot — powiedziała Marylka, bo płomień z knota wychodzi. A stearyna albo воск to tylko dla ozdoby.

I Marylka wzięła bawełnę, zrobiła z niej warkoczyk, niby to knot taki i zapaliła.

Płomień przebiegł prędko przez cały warkoczyk, w mgnieniu oka światło zgasło — pozostał tylko sznurek popiołu i swąd, który nappełnił powietrze w pokoju.

— Widzisz że nie knot, tylko воск i stearyna to prawdziwa świeca — zawołał Stach.

Chłopak wziął kawałek nakapanej świecy, którą znalazł na lichtarzu i przybliżył do płomienia.

Myślał, że zaświeci się — śmieszny Stach!

Gdzieżtam! Stearyna wcale świecić się nie mogła, tylko stopiła się, pociekła po paluszkach chłopczyka, popiekła go, a potem — znowu zastygła cieniutką, białą warstwą na rączce Stacha.

Nie knot — i nie stearyna! Co to być może?

I knot i stearyna razem!

Najsamprzód zapala się knot. Jest wtedy całkiem suchy i długo palić by się nie mógł. Aż tu przychodzi mu воск, albo stearyna z pomocą. Świeca topi się — a knot już nie jest ani twardy, ani suchy, pęcznieje, mięknieje, napełnia się tłustym płynem, który spala się z knotem i w knocie powoli dużym, jasnym płomieniem.

B.



Odpowiedzi Redakcyi.

W poprzednim numerze w Żarciku Leona M. wkradła się przykra pomyłka, bo zamiast „nic nie“ należy opuścić, wydrukowano „niczego nie“ należy opuścić. W obec tego nie uwzględniamy tego żarciku przy wyznaczeniu nagrody.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 5. podamy w następnym numerze.

Pani Kluszyńskiej w Piotrowicach: adres „Garderoby dla dzieci“ jest Stanisławów ulica Sapieżyńska 10.

Paweł Harwot w Orłowej. Łamigłówka kryształowa powinna być tak ułożoną, żeby środkowe litery poziomo i pionowo tworzyły to samo słowo.

Jadwini Jarosz. we Lwowie. Do redakcyi „Promyka“ należy posyłać zagadki wraz z rozwiązaniem. Nie możemy bowiem rozwiązywać całego mnóstwa zagadek, które nam Czytelnicy nasi, niemal co dnia przysyłają. Niech Jadwinia przyszłe rozwiązanie swojej zagadki, a chętnie ją umieścimy o ile okaże się dobrą.

Teresa H. z Brodów. Jeżeli książeczki, o których Teresa pisze i gry nie potrzebne jej są już, a rodzice zgadzają się by je Teresa podarowała to pewnością ucieszą bardzo uczniów rzemieślniczych, którym najlepiej posłać za naszym pośrednictwem. Własne bajeczki Teresy chętnie przeczytamy, a umieścić moglibyśmy je w Promyku tylko w tedy, gdyby całkiem były dla nas odpowiednie.

Florci i Zosi L. Za zagadkę dziękujemy, umieścimy ją gdy tylko miejsce się znajdzie.

Maryi H. w Przemyśle. Zagadkę umieścimy.

Guści i Salci G. z Krakowa: Cieszymy się bardzo, że się Guści i Salci „Promyk“ tak podoba. „Opowiadania Józia Gajka“ w ubiegłym roczniku były rzeczywiście bardzo ładne. Było w nim jeszcze wiele ładnych powiastek. Mamy jeszcze kilka roczników z r. 1904, jeżeliby panienki życzyły sobie, moglibyśmy posłać im taki rocznik zbroszurowany — kosztuje on 2 korony.

Przy układaniu szarad należy zważać na to, że „pierwsza“, „druga“, „trzecia“ itd. nie ma oznaczać liter, ale sylaby.

Wilmie Mor. Dziękujemy serdecznie za rozszerzanie i popieranie „Promyka“ i mamy nadzieję, że dzieci, którym go Wilmusia poleca, również są z niego zadowolone jak i ona sama. Adresów pań Konopnickiej i Warn-

kównej nie znamy; najlepiej dowiedziećby się o nich można w jakiejś z Księgarni Warszawskich, w której wydane są ich dzieła.

Cieszy nas bardzo, że Wilmusia już tyle czyta i wie, aby jednak pisać bajeczki dla innych dzieci i do druku; więcej jeszcze wiedzieć potrzeba. Nie radzimy Wilmusi męczyć się i silić teraz już na zostanie poetką. W tak młodziutkim wieku tylko jacyś rzadcy geniusze mogą już pisać pięknie. Nawet pani Konopnicka w 8-ym roku życia też pewnie jeszcze wierszy nie pisała i nie drukowała.

Olesiowi P. w Tarnopolu. Niech Oleś nie gniewa się na „Promyk“ za opóźnienie w przesłaniu nagrody. Administratorka i redaktorka działu zagadek i rozrywek w „Promyku“ musiała wyjechać na jakiś czas — stąd przykre dla Olesia opóźnienie. Życzymy Olesiowi dobrej zabawy narzędziami piłeczkowymi, na które tak niecierpliwie czekał.

Adolf Kupka. w Orłowej. Cieszy nas, że „Promyk“ podoba się czytelnikom. Zagadkę rachunkową trzeba by inaczej sformułować, żeby prawdziwie stała się zagadką. Załujemy, że tylko jedną zagadkę Adolf rozwiązał. „Promyk“ wysyła nagrodę za trafne rozwiązanie wszystkich zagadek umieszczonych w numerze. Zagadkę rozwiązał Adolf rzeczywiście starannie i ładnie.

Fredzio G. z Jasła. Dziękujemy za zagadki, umieścimy je przy następnej sposobności.

Rozwiązanie zagadek N-ru 5 nadesłali:

Eliza Reitm. z Tarnopola; Fredzio G. z Jasła; Adolf Kupka z Orłowej; Lorcja i Brońcia N. z Tarnopola; Adaś M. z Przemyśla; Dziunia i Różia R. z Brodów; Frydzia M. z Tarnopola; Janiuk S. z Nowego Sącza; Mieciek z Jezierny; Adolf Konieczny z Orłowej; Adela R. ze Sokala; Adaś S. z Nowego Sącza; Guścia i Salcia G. z Krakowa; Marya H. z Przemyśla; Tosia Silb. ze Lwowa; Flora i Zosia Landau; Teresa H. z Brodów; Ignas S. z Wadowic; Marcel S. z Zaleszczyk; Michalina P. z Żywca; Sabina A. z Tarnopola; Salo Gilg. z Tarnopola; Adalbert B. z Tarnopola; Jadwinia J. ze Lwowa; i ktoś niepodpisany na kartce z Tarnopola.

Nagrodę dostaje Adela Rauchówna ze Sokala.

Zagadki.

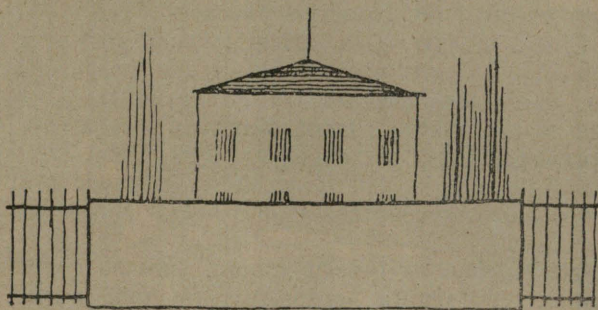
FIGIELEK ARYTMETYCZNY nadesłała Biała Lilijka ze Lwowa.

Dodać do dziesięciu sto w taki sposób aby wypadło dziewiędziesiąt.

ZAGADKA nadesłana przez Leona M. ze Stanisławowa.

Z „s“ potrzeba
Jej jak chleba.
Z „b“ go czuje
Kto choruje.
Z „m“ jest siwą
Cmą szkodliwą.

Ładne a łatwe rysunki.



KĄCIK DLA MAŁYCH DZIECI.

NURK.



Antoś miał 7 lat, więc nie był już malutkiem dzieckiem. Pytał o wszystko, wszystkiego był ciekaw, a rodzice tłumaczyli mu i odpowiadali na wszystkie pytania. Antoś znał więc dużo rzeczy. Wiedział jak się robi masło, miód, wiedział dlaczego balonik gazowy wznosi się w górę, a gumowa piłeczka toczy się po ziemi; znał kwiatki, owady, zwierzątka; wiedział, że perły, korale, muszle znajdują się na dnie wielkiej, nieskończonej wielkiej wody, nazwanej morzem. Słyszał, już o tem, że aby je znaleźć, ludzie spuszczaają się do morza na samo dno, po prostu dają nurka do wody. Tacy ludzie nazywają się też nurkami.

— Pan nurek — opowiadał raz pewnego tatuś Antosiowi — musi mieć takie ubranie, którego woda nie przemoczy.

— Jakież to może być ubranie? — zapytał Antoś.

Tatuś wstał, otworzył szafę i pokazał synkowi płaszcz gumowy, czyli kauczukowy, który nosił na ulewny deszcz. Wziął rózkę płaszcz — potrzymał na dłoni i nalał nań trochę wody ze szklanki. Woda nie przemoczyła materii.

— To pewno z takiej kauczukowej materji zrobionem jest ubranie pana nurka! — zawołał Antoś.

— Tak jest, rzekł tatuś, z podobnej, tylko grubszej jeszcze i silniejszej od tej.

— A co robi nurek, żeby woda nie nalała mu się do nosa, do ust, do uszów i nie zmoczyła twarzy?

— Ubiera na głowę, a raczej wkłada głowę w coś jakby balon z blachy, w którym są szybki, ażeby mógł widzieć przez nie. Ten balon jest większy od głowy ludzkiej i nurek może swobodnie w nim głową ruszać. Manszety u rękawów w ubraniu nurka przylegają tak szczelnie do ręki, żeby się woda przez rękaw nalać nie mogła, tak samo końce nogawic u spodni. Na nogi wdziewa nurek nieprzemakalne buty. Nurek owiązany jest grubym sznurem.

Ludzie stojący na brzegu morza, lub na okręcie trzymają drugi koniec tego sznura spuszczają na nim nurka do wody lub wyciągają go z niej.

Razu jednego pewien nurek przyjechał do miasta, w którym mieszkał Antoś. W pobliżu nie było żadnego morza. Nurek chciał jednak pokazać ludziom jak wygląda to dziwne ubranie, w którym on wchodzi do morza i jak on w niem pod wodą wytrzymać może. Ubierał się więc w nie i wchodził do ogromnej beczki, tak wielkiej jak mały pokój, a aż po brzegi napełnionej wodą.

Tatuś poprowadził Antosia do nurka, aby się ubraniu jego mógł dokładnie przypatrzeć.



PRENUMERATA WRAZ Z PRZESYŁKĄ WYNOŚI:

W Austrii rocznie 2 K, półrocznie 1 K, kwartalnie 50 hal. — W Królestwie w kopertach 4 ruble. — W Niemczech 2 marki. — We Francji i w Szwajcaryi 5 franków. — W Ameryce 1 dolar.

————— Numer pojedynczy 10 halerzy. —————

Wydawczyni i odpowiedzialna redaktorka: **Jadwiga Czajkowska.**
Drukarnia Udziałowa we Lwowie, ul. Kopernika 20.

PRÓMYK



PISMO ILUSTROWANE DLA MŁODZIEŻY I DZIECI
WYCHODZI 1. i 15. KAŻDEGO MIESIĄCA.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, Miłkowskiego 11.

FILIA ADMINISTRACYI: KRAKÓW, GRODZKA 50.

Strejk szkolny w Królestwie Polskiem.

Dziadek brał udział w powstaniu styczniowem r. 1863. Ile razy Bolek na dziadka spojrział, tyle razy pomyślał sobie: „dziadzio walczył z Moskałem, dziadzio życie narażał, krew przelewał za wolność“! Chłopak miał taki dla dziadka szacunek, że choć nieraz szlachetna ciekawość piekła go — nigdy nie zapytał pierwszy, nigdy świętych wspomnień dziadka nie wzruszał natarczywymi pytaniami. Ale nieraz dziadek zamyślał się, a potem chłopca za rękę przyciągał: — Chodź chłopcze, powiem ci. — I mówił... jakto tam było: tyle nadziei, tyle pragnień, taka dzicz moskiewska, taka sroga, straszna, krwawa walka. A potem... ten wśród lodów Sybiru, ów w lochu cytadeli moskiewskiej, tamten na tułaczce....

Bolek oddech zapierał... słuchał...

Rodzice nie lubią, by Bolek czytywał gazety. — Czas jeszcze dla niego — mawiają.

A w ostatnich czasach właśnie Bolek radby czytać... Widzi, że starsi nigdy tak gazet nie czekali, jak teraz... coś dzieje się... Dziadka oczy nieraz iskrzą się zapalem... nieraz mówi się o nadziejach, o wolności. Bolek wytrzymać nie może, idzie do dziadka:

— Dziadziu, co dzieje się tam za kordonem granicznym?... — pyta błagalnie.

Niedawno zasłyszał coś o dzieciach, dorośli rozmawiali, matka miała w łzy oczach.

— Dziadziu, dzieci tam walczą? naprawdę dzieci?

— Powiedz mu ojcie, niech z ust twoich usłyszy — prosiła matka Bolka.

— Chodź. — Dziadzio miał twarz poważną, smutną. — Wiesz, kto to car? Car, to cesarz rosyjski. Ale on nie radzi się, jak inni cesarze parlamentu, czy sejmu, którego członków naród z pomiędzy siebie wybrał. Nie pyta ich, jak załatwiać sprawy państwa, aby dobrze było. Przeciwnie, car wszystko sam załatwiać każe wedle własnego sądu i nic nie zależy mu na tem, aby narodowi było dobrze. Wcale nie. Jeżeli się komu nie podoba, to go car zsyła na ciężkie roboty do dalekiej Syberyi, gdzie głosu jego nikt nie usłyszy — lub więzi go w cytadeli. Wszystkim się jednak nie podoba — a wszystkich więzić nie można. Ludzie dotąd milczeli i cierpieli. Cierpieli własni poddani cara, Rosyanie, ale stokroć gorzej cierpieli Polacy.

Car rosyjski chciał ziemi i bogactw, chciał przed przeszło rokiem zająć na dalekim wschodzie Azyi, ziemię będącą pod protektorem Japonii. Wszczęła się straszna wojna z Japończykami, która trwa już przeszło rok i kończy się tem, że w obecnej chwili, olbrzymia rosyjska potęga, żyjąca ludzkim nieszczęściem i ludzką niewolą, wali się, rozpada z hukiem i łoskotem. Choć tyle ludzi pada w tej wojnie, choć tyle nieszczęścia ludziom przynosi, jednak naród polski jest pełen radości — łamię się bowiem siłą moskiewskiego cara!

— Nie pozwolimy się dłużej bić na ulicach kozackimi nahajkami! Nie pozwolimy więcej carskim siepakom napadać naszych domów, wywlekać nas z nich bez powodu i wtrącać do ciemnic więziennych! — zawołali w ostatnim czasie nieszczęśni mieszkańcy ziem polskich, w których na nowo obudziła się nadzieja wolności.

— Chcemy być ludźmi, a nie niewolnikami! — W tym państwie i dla tego państwa nie będę dłużej pracował — powiedział sobie ubiegłego miesiąca każdy Polak, czy Rosyanin. I w jednej chwili nastała głucha cisza. Wszystko stanęło. Umilkły koła fabryk, umilkł turkot wozów, stanęły koleje, pogasły światła, zabrakło wszędzie żywności i wody. Runęły dynamitem powalone pomniki wrogów wolności — władców rosyjskich. Rosyjscy żoł-

dacy strzelali na ulicach miast polskich i rosyjskich do ludu. Polała się krew, zawrzała orężna walka o wolność. Cały naród walczył, ożywiony jedną myślą.

— Chcesz wiedzieć o dzieciach? W tyle za narodem nie pozostali dzieci.

Dzieci polskie uczyły się dotąd w szkołach wszystkich przedmiotów po rosyjsku, nawet po rosyjsku odbywały się wykłady języka polskiego. Niedość na tem, musiały nasłuchiwać się przy każdej sposobności wyszydzenia wszystkiego co polskie, a uwielbiania cara i korzenia się przed jego samowolą. Dzieci polskie widziały, że nauczyciele rosyjskiej szkoły chwalą i popierają takich uczniów, którzy kolegów szpiegują, wydają, zdradzają, że starają się robić z nich ludzi podłych i złych. To samo tyczy się dzieci rosyjskich w szkołach rosyjskich. Te miały przynajmniej swój ojczysty język, ale deptano ich godność ludzką, kazano uwielbiać niewolę, a nienawidzić wolność, kazano podlić się, szpiegować.

Nie chcemy takiej szkoły! — odezwalo się w sercach młodzieży i dzieci. I nie tylko słuchacze uniwersytetów i technik, ale też uczniowie i uczennice gimnazyów i szkół realnych (w Rosyi są rządowe gimnazya żeńskie) zebrani każdy w swoim gmachu szkolnym, zawezwali przed siebie dyrektora swojej szkoły i przedkładali mu żądania, tj. jeden w imieniu całej szkoły mówił:

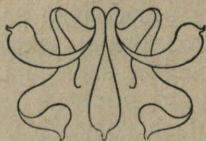
Do takiej upadającej szkoły chodzić nie będziemy, takiej szkoły nie chcemy: My żądamy — mówili uczniowie Polacy — szkoły polskiej. Chcemy, żeby tak szkoła ta prowadzoną była, jak tego pragną nasi rodzice, bo rodzice nie pozwolą nas upodlić. Chcemy, żeby szkoła była pod kontrolą społeczeństwa, a nie carskiego rządu. Tylko do takiej szkoły wrócimy! — To rzekłszy, opuściły dzieci zwartym szeregiem gmachy szkolne. Drużyna ich była tak butną, stanowczą i dzielną, że stróże nie śmieli jej zatrzymywać. Buntującą się, opuszczającą szkołę działwę i młodzież, czekały na ulicy sotnie kozaków i oddziały wojska...

To samo działo się w żeńskich szkołach, z tą tylko różnicą, że oburzonych dziewczątek nie przerazili się ani dyrektorem, ani stróżami. Zamknięto drzwi przed niemi — nie wypuszczono ich ze szkoły aż do chwili, kiedy koledzy przyszli im z pomocą.

Od tego czasu, tj. od przeszłego miesiąca dzieci polskie w Królestwie uczą się prywatnie, po kilkoro razem, wszędzie gorączkowo się uczą w języku polskim wedle nowego planu, ułożonego przez rodziców i nauczycieli. Rząd rosyjski już tymczasem dwa razy ogłaszał termin otwarcia szkół pod dawnymi warunkami. Szkoły otwarto — ale dzieci nie przyszły — nie było kogo uczyć.

Rodzice polscy dumni są ze swoich dzielnych dzieci. Są jednak tu i ówdzie ludzie złamani życiem w niewoli, wystraszeni obawą carskiej kary — ci ciągną swoje dzieci gwałtem do szkoły, przywożą je w karetach. Dzieci rzucają się, płaczą, uciekają... Biedne dzieci... dobre dzieci...

Ostatnie słowa mówił dziadek w zamyśleniu i jakby do siebie, a duża łąza zakreśliła się w oku starca na myśl o walczących dzieciach. S.



O moich zabawach ze Stasiem.

Kochany Promyku!

Dwa dni wolne! Jutro niedziela, pojutrze święto!... Byłem dziś u Stasia i on mi pokazał taką grę, którą sam wymyślił z panem Tadeuszem. To bardzo ładna gra. Nazywa się „Wojna“ i każdy ją łatwo sam może zrobić. Ja poproszę Stasia, a jak on pozwoli, to ją opiszę w „Promyku“ i wszystko o niej powiem, aby i inne dzieci mogły ją sobie zrobić. Bawiliśmy się więc ślicznie tą grą i właśnie Staś wykonał atak armatami na moje lewe skrzydło, a ja musiałem prędko sprowadzać wojsko linią kolejową z prawego skrzydła, gdy ten mały Adaś przyszedł z drugiego pokoju i powiedział smutnym głosem:

— Stasiu, kiedy psyjdzie do nas siopka?

A Staś odrzekł:

— Szopki chodzą tylko w zimie.

— Kiedy ja chcę siopkę!

— No, to ja ci zrobię, jak będę miał czas.

— Zrobiś?

— Zrobię.

No to dobrze. Bardzo ci dziękuję, ale pamiętaj!

I Adaś zaczął się uśmiechać i patrzył chwilę, jak my gramy, a potem wybiegł z pokoju, klaszcząc w dłonie i wołając: No to dobrze, no to dobrze!

Staś był pochylony nad grą i myślał, a ja właśnie posuwałem oddział konnicy wprzód ku rzece, gdy w tem Staś podniósł głowę i powiedział:

— Wiesz ty co, możebyśmy, gdy już mam zrobić szopkę, zrobili razem porządną, piękną szopkę, taki teatr, gdziebyśmy poruszali figurki, przedstawiali różne bajki, komedyjki, zdarzenia?

Ja ażem się uśmiechnął z radości, tak mi się pyszną wydała ta myśl i zaraz odrzuciliśmy grę i zaczęliśmy się naradzać. Ja poproszę tatusia i przyniosę deseczki — powiedziałem.

— Wybornie, rzekł Staś — ty przecież musisz się rozumieć trochę na stolarstwie, to ty to obejmiesz, moje siostry będą szyć stroje dla figurek, ja namaluję dekoracje (Staś bardzo pięknie umie rysować) i pan Tadeusz nam pomoże i wszyscy sobie będziemy pomagać, będzie cudownie!

I zaraz Staś zawołał siostry i one aż zaczęły w ręce klasnąć z radości i powiedziały, że zrobią kurtynę i będą szyć stroje, a pan Tadeusz (on też zaraz przyszedł z drugiego pokoju, bo się zląkł, czemu taki krzyk, a to była nasza narada) powiedział, że nam będzie we wszystkim pomagał i radził i napisze nam pierwszą sztukę do teatru i nawet powiedział, jak się będzie nazywała. Będzie się nazywała: „Pan Twardowski i dzieci“. A potem, jak już wszystko będzie gotowe i będzie wolne, to zaprosimy kolegów, siostry Stasia zaproszą swe koleżanki i będzie wielkie przedstawienie!

Powiedzieliśmy Adasiowi, że już myślimy o jego szopce i Staś powiedział: Będiesz miał szopkę Adasiu, taką, że nie tylko ty będziesz miał przyjemność, ale wszystkie dzieci! Wszystkie dzieci zaprosimy i one się będą patrzeć i cieszyć. A Adaś zaczął skakać i wołać: Wszykie dzieci! wszykie dzieci!... Potem zaczęliśmy mówić o trudnych rzeczach teatralnych, jak różne rzeczy mają być zrobione, jak figurki się mają poruszać... Teraz tak jest zwykle, że figurki wiszą na sznureczkach i porusza się je z góry, ale my to chcemy zrobić inaczej. My o tem myślimy, żeby w podłodze teatru wyrznąć szerokie rowki, a pod spodem umieścić linijkę, osadzoną na gwoździu, tak, żeby nią można obracać. Na jednej stronie linijki będzie się osadzać figurki i one będą się poruszać w tych rowkach, a drugim końcem linii będzie się je poruszać. I o różnych innych rzeczach mówiliśmy, z czego zrobić figurki, jak zrobić, by aniołowie tam mogli latać, jak będziemy teatr oświetlać... różne, różne sprawy. I ja sobie pomyślałem, że dobrzeby było, żeby wszystkie dzieci, które czytają „Promyk“, jeśli redakcja „Promyka“ pozwoli*), podawały swe pomysły różne co do teatru i jak już potem wspólnie urządzimy, co najlepsze, to, każdy sobie będzie mógł teatr zrobić. Bo to nie taka droga rzecz i nie taka bardzo trudna. Deseczki

*) Redakcja „Promyka“ zgadza się chętnie na propozycję Józia Gajka. Czytelnicy mogą nadsełać nam swoje pomysły i tak za pośrednictwem „Promyka“ naradzić się co do urządzenia teatru.

się znajdują, w domu zwykle są jakie narzędzia, a czasem piłęczkowe (bardzo stosowne do tego) i farby wodne nie tak drogie, a potem zacząć w wolny czas razem z przyjaciółmi, tak, jak my i każdy tu coś znajdzie do roboty.

Teatry dla dzieci, które się kupuje w sklepach, są drogie, tak mówił pan Tadeusz i nie każdy ma tyle pieniędzy, by je kupić, a potem już tam nic zmienić nie można i zrobić, jak się chce. A my zrobimy sobie teatr tanio i będziemy sobie mogli powiedzieć, żeśmy go sami zrobili, jakeśmy chcieli, jak nam się wydawało najładniej.

Jutro znowu wielka narada u Stasia, a jak coś ważnego uchwalimy, to napiszę o tem „Promykowi“.

Serdeczne pozdrowienia

Józef Gajek.



Marja Wysłouchowa.

Wspomnienie pośmiertne.

„**M**iej serce i patrzaj w serce“ — wyrzekł wieszcz, Adam Mickiewicz. Te słowa rzucone w naród przez poetę stały się hasłem dla szlachetnych serc i umysłów. Trzeba mieć serce, patrzeć w serca drugih ludzi, umieć odczuwać wraz z niemi, nie ranić ich, aby zostać szlachetnym człowiekiem. Podchwyciły i ukochały to hasło wielkie duchy w narodzie. Podchwyciła i ukochała je niepospolita osoba, Marya Wysłouchowa całym zapałem swojej gorącej i zawsze młodej duszy.

Miłość tę swoją chciała była dla podniesienia i uszlachetnienia narodu wszczepić w drugih ludzi, w młodsze pokolenie, w uczennice, których była przyjaciółką. Pamiętam, jakby to było wczoraj, choć długi szereg lat upłynął od tego czasu, gdy zadawała nam wypracowanie stylowe p. t.: „Miej serce i patrzaj w serce“. Staje mi Ona w myśli w klasie taką, jaką była wówczas: oczy Jej iskczą się zapałem, głos potężnieje i z całej postawy widać, że istota Jej, wszystkie myśli, wszystkie chęci, wysilają się w tej chwili na jedno — by wlać w dusze i serca dwudziestu paru dziewczynek, szlachetny popęd: „Miej serce i patrzaj w serce“!

Kochała nas, kochała w nas dobry podkład, dobry grunt dla szlachetnych uczuć, które w nas obudzić pragnęła. Gdy postępowaliśmy dobrze, cieszyła się, jak najbardziej zaślepiona matka; złe w nas dostrzeżone tak strasznie ją martwiło, jakby myślała sobie: „Kto wie, może tu moja praca pójdzie na marne, może moje nadzieje, w tej ucenicy pokładane, rozprósza się w pył“.

Kochałyśmy ją tak fanatycznie, że „jak panią Wysłouchową kocham“ było sakramentalnem zaklęciem. Nigdy nie wątpiłam, że koleżanka prawdę mówi, gdy tak zapewniała i nigdy nie byłabym takiego zaklęcia użyła kłamliwie.

Nie uczyła nas z książki, z podręcznika, ale wybierała dzieła lub ustępy z dzieł i czytywała nam je. Nie zaczynała nauki od zamierzchłej starożytności, od której życie dzisiejsze daleko już odbiegło, lecz przeciwnie, od czasów najnowszych ostatnich. Lekcja literatury była środkiem, za pomocą którego uczyła, jak życie ludzkie d z i ś wygląda, jakie są dziś wśród ludzi bole, cierpienia, pragnienia i walki. Odbiegałyśmy w tych lekcjach daleko od literatury i przedmiotu, a wsłuchiwały się w żywe tętno społecznego życia. Jej zapach, Jej szczytne uczucia, Jej miłość ludu nam się udzielała. Z zapartym oddechem, z blaskiem w oczach i przyspieszonym biciem serc młodych słuchałyśmy, że są ludzie biedni, uciśnieni, wyzyskiwani, skrzywdzeni i budziło się w nas pod wrażeniem Jej słów gorące pragnienie, byśmy mogły kiedyś wszystkie siły swoje takim ludziom poświęcić, pracować dla zmiany ich losu, współdziałać, by sprawiedliwość stała się na ziemi!

Umiała Ona lekcjami swojemi, wpływem swoim, wykuwać ludzi: „Młodość jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały“ — w to wierzyła. Chyba nie jedna z Jej uczenic powiedzieć o sobie może, że w wielkiej części Jej zawdzięcza drogę w życiu obraną.

Nie tylko ludzi, ale Naukę i Prawdę kochać uczyła. Zapach do nauki taki obudzić umiała, że starsze Jej uczenice, które ukończyły ośmioklasową szkołę, umiały od świtu do późnej nocy nie podnosić się z nad książki, z której wchłaniały po prostu słowa wielkich myślicieli.

Umiała płomiennie kochać i bardzo nienawidzić. Zaczynała ta kobieta nieraz płakała z oburzenia, gdy mówiła o złych ludziach, głupich i takich, którzy krzywdzą współbraci. Kochała rozum i naukę — nienawidziła zabobon i głupotę u ludzi; kochała dobrych — oburzała się na złych; kochała biednych, pokrzywdzonych, ciemnionych — nienawidziła ich krzywdzicieli i ciemniźcicieli; kochała wolność — nienawidziła niewolę; przede wszystkim i nade wszystko kochała lud polski i nienawidziła jego wrogów. Pracę całego życia poświęciła polskiemu ludowi od „pługa i sochy“. Wydawała pismo dla włościan p. t.: „Przyjaciel Ludu“, a w ostatnim czasie wydawała pismo dla chłopów

p. t.: „Zorza“. Uczyła chłopów, żeby czuli się takimi samymi ludźmi, jak ci, którzy mają majątki i dostatek, żeby nie dali się gnębić, żeby czuli się Polakami. Pisała prześliczne książeczki dla ludu, między innymi „O Adamie Mickiewiczu“, o „Powstaniu z r. 1863“, o „Konstytucji 3. maja“ i wiele innych.

Była zawsze czynną, zawsze zapracowaną, nigdy nie miała chwili swobodnej dla siebie. Ta dzielna pracownica i bojownica była tak skromną, że nikt, zobaczywszy ją na ulicy, nie byłby przypuszczał, jaka w niej wielka dusza się kryje. Nieraz, z wiosną ofiarowywałyśmy Jej kwiatki, nigdy nie przyjęła od uczeniacy, choćby najskromniejszego kwiatuszka: „Nie, nie, nie, — odtrącała kwiatek — nie, to nie dla mnie, to dla was“ — mawiała w swojej skromności. Nie przyjęła nigdy, a nieraz uczniom kwiatki dawała. Dając, opowiadała zazwyczaj legendę, podanie ludowe o odnośnym kwiatku, czyniła go w ten sposób mówiącym niejako — czyniła z niego nowy łącznik między duszą dziewczęcia, a ludem tej ziemi. *Wrzos.*



ROSICZKA.

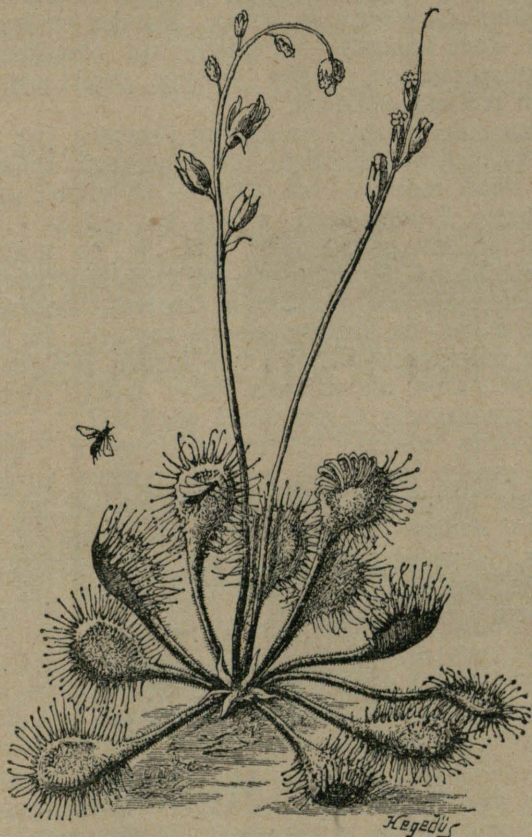
B było to na rozległym trzęsawisku torfowem. Z okien przejeżdżającej po nad niem kolei żelaznej, wyglądało ono jak najcudniejsza, różnobarwnem kwieciami zasiana łąka. A jednak było tam coś, czego na zwykłej łące nigdy się nie widzi. Im gorętszy był upał, im wyżej słońce wznosiło się na pogodnym błękitnie nieba, tem gęściej pokrywała niemal całe bagnisko bajeczna, przepiękna, różowa rosa.

Rosy w skwar wielki nie ma na łąkach; różowej rosy nikt jeszcze nie widział. A jednak ludzie przejeżdżający tędy koleją, cisnęli się do okien na ten widok i nie mieli słów zachwyty. „Przepiękne“, „wspaniałe“, „urocze“ — „patrz, patrz — tam najwięcej tego jest!“ — rozlegało się w wagonach.

Ale nie tylko ludzi w podziw to wprawiało. Po nad bagniskiem unosiło się w powietrzu, w ciepłych promieniach słońca tysiące i tysiące muszek, owadków rozmaitych. Krążyły, brzęczały, szumiały w czystym, skwarowym powietrzu, siadywały na kwiatkach, wysysały słodziutki sok i pokrzepione ulatywały znowu. A różowa, przezroczysta rosa lśni tak ponętnie na malutkich, zielonych listeczkach, że na jej widok myśl koniecznie

powstać musi u muszek: „Toż dopiero musi być pokarm słodziuchny i krzepiący“!

Patrzmy, oto mała muszka usiadła na jednym z tych listeczków, okrytych różową rosą. Próbuje — chce odlecieć... Nie odlatuje jednak. Szamocze się, nie może... Nóżki jej przykleiły się do listeczka. Cóż to? — Muszka przykleja się coraz mocniej, traci możność poruszania się, ale za to poruszać zaczyna się — listek. Popatrzmy na ten listek, jest mały, okrągły, okryty wysokimi, delikatnymi włoskami — jakby liść pokrzyw, tylko tu włoski daleko są wyższe i rzadsze.



Na końcu każdego włoska lśni kropelka różowej rosy. Listków takich jest dużo na jednej roślince, tworzą one rozetę u stóp łodyżki, u szczytu której wykwiata mały, niepozorny, biały kwiatusek.

Listek, na który usiadła muszka, poruszył się. Brzegi jego wychyliły się ku górze i przybrały kształt łyżeczki, włoski przeginęły się ku środkowi, a wszystkie ich końce skupiają się przy muszce.

Gdybyśmy mogli przez kilkanaście godzin przyglądać się temu listkowi, spostrzeglibyśmy, że rusza się on ciągle, brzegi podnoszą się coraz bardziej, w końcu zamykają się, stykają u góry, listek zwija się, zamknawszy w sobie biedną muszkę.

Listek nie rychło się otworzy. Zamknął się nad ofiarą swoją na całe dwie doby. Gdy po upływie tego czasu rozprostuje się na nowo — znajdziemy na nim tylko skrzydełka, nóżki, niestrawne, rogowe części owada, zeschłe i zasuszone tak, że pierwszy podmuch wiatru je strąci. Muszkę roślina przez ten czas zjadła. Rosa różowa — to jakby sok żołądkowy małej roślinki, rozpuszczają się w nim strawne części owada i z nim w organizm roślinki wchodzi.

Spojrzymy dookoła: na drugim listeczku już szamoce się ofiara, trzeci mocno zamknięty, do czwartego zbliża się owad. Na drugiej takiej roślince, tuż obok — to samo; na trzeciej to samo się dzieje. Trochę dalej, znowu ten widok — tak na całej łące! Ogarnia nas przerażenie: toż tu co godziny miliony istnień ginie! Tu na tej cudownej, barwnej, bajecznej łące!

• Nie dzieje się to ponadto w ciepłych, podzwrotnikowych krajach, ale u nas, na każdym niemal bagnisku, na każdym trzęsawisku, na moczarach. Zabójcą tylu istnień nie jest bynajmniej potężna jakaś roślina, ale roślina słaba, mała i nikła, którą ryćcina nasza przedstawia w naturalnej wielkości.

Próbowano rosiczkę chować w doniczce i nie dawać jej żadnego mięsnego pokarmu, a tylko polewać wodą, jak inne roślinki. Żyła wprawdzie, ale nie rozwijała się tak pięknie, jak druga, której dawano owady, kawałeczki mięsa i polewano ponadto wodą. Również samem mięsem, bez polewania, karmiona rosiczka żyje, ale nie jest tak zdrową i piękną, jak rosiczki żywione mięsem i polewane wodą.

Widłak.



Podróż Maniusi.

Rodzice Maniusi mieszkali na wsi i dziewczynka od najmłodszejszego dzieciństwa swojego, przyzwyczajoną była do wiejskiej swobody. Wzrosła i żyła się z wionią łąk i pól, z precudnymi barwami kwiecistej błoni, z szumem lasu, z szmerem strumyka. Przywykła była biegać

po drogach i ścieżynach, przeskakiwać przez rowy, uganiać się po miedzach.

Pewnego dnia powstało zamieszanie w cichym domku rodziców Maniusi, znoszono kufry i paki, pudła i kosze.

— Czy tatuś jedzie? — spytała Manusia — ale po co tyle pakunków?

— Nie tylko tatuś, ale i — wyrzekła mamusia, patrząc z uśmiechem na zdumioną dziewczynkę — i ja i ty: Stefek i ciocia i babunia i panna Frania.

— Jedziemy? Jedziemy, doprawdy, — wołała uradowana Manusia. Pierwsza podróż! Co to za szczęście! Nigdy jeszcze nie opuszczała wsi — znała z obrazka różne krajobrazy i widoki, ale zobaczyć to na prawdę, pojechać koleją w świat daleki — to przechodziło najśmielsze jej marzenia!

— Pojedziemy do miasta, do Krakowa — powiedziała mamusia.

— Do Krakowa! Do Krakowa! — Manusia znała Kraków z opowiadania i z fotografii — ale widzieć Kraków, to coś całkiem innego!

Z wielkiej niecierpliwości zapomniała Manusia podlać kwiatki w ogrodzie, zapomniała uporządkować swoje rzeczy, — chodziła tylko od jednego do drugiego z domowników, skakała i klaskała w ręce:

— Jadę do Krakowa! Jadę do Krakowa!

Wreszcie nastała upragniona chwila. Stangret trzasnął z bata i konie popędziły cwałem.

W godzinę później siedziała już Manusia w wagonie kolei żelaznej.

Jakże bawiło ją to wszystko. I turkot kół wozu i kołysanie się wagonu i drzewa, łąki, domki i słupy, które zdawały się uciekać przed pociągiem.

Późnym wieczorem dojechano do Krakowa. Manusia była już bardzo senna i zmęczona i nie zdawała sobie dokładnie sprawy z tego, co się w koło niej działo. Widziała olbrzymi gmach rzeźbiście oświetlony i ludzi tłoczących się jak na jarmarku. Potem mamusia wzięła ją za rączkę i wsadziła do powozu. Zajechały pod dom, w którym mieszkał wuj Karol, a ciocia Michasia czekała na nich w pokoju i prędko pomogła Maniusi dostać się do łóżeczka.

Następnego ranka obudziła Maniusię śliczna piosenka. Piękne, rzewne tony trąbki rozległy się w przestworzu. Manusia pobiegła do okna.... cóżto! nie ma ani łąk, ani pól, ani lasu — tylko droga wyłożona gładziutko równymi kamieniami, a po drugiej stronie ulicy stoją gęsto obok siebie domy przy dolinie, oparte o siebie ścianami.

Patrzy — mnóstwo powozów przejeżdża ulicą. Ludzie chodzą kamiennymi ścieżkami, które znajdują się po bokach ulicy, tuż

przy kamienicach — są to miejskie chodniki. Ale trębacza nie widać, a śliczna piosnka rozlega się ciągle.

Już umilkła trąbka, a Manusia nadaremnie wyglądała oknem trębacza.

— Nie znajdziesz go na ulicy, on jest tam — rzekła ciocia Michasia, wskazując jej wysmukłą wieżyczkę, wznoszącą się nad dużym gmachem, zbudowanym z czerwonej cegły.

— Co to ciociu?

— To wieża Maryacka, pamiętasz tę wieżę z pieśni:

„Patrz maryacka wieża stoi
„Jak miasta strażnica!
„Na jej widok myśl się korzy
„A dusza zachwyca
„Na wysmukłej jej kibici
„Sześć wieków zdrzemało....“

— Sześć wieków! To jest sześćset lat — wymówiła w zadumie dziewczynka.

— Tak, widzisz, jaka ona stara! Kościół maryacki zaczęto budować w pierwszej połowie trzynastego wieku, a ta wieża taka smukła i skromna, przeszło sześćset lat już stoi. Ośm małych wieżyczek u góry ją zdobi, a tam na tym ganeczku, widzisz tam wysoko przechadza się strażnik. On to właśnie wytrąbił przed chwilą hejnał na wszystkie strony świata.

— Wysoko! Strasznie wysoko, — szeptala Manusia.

— Pewnie! I pomyśl, że na tej olbrzymiej wysokości — bo wieża na 81 metrów się wznosi, przebywają zawsze dwaj strażnicy. Z góry obejmują wzrokiem cały obszar Krakowa i czuwają nad miastem. Aby mieszkańcy Krakowa spokojnie i bezpiecznie żyć mogli — tam w górze ciągle, od początku wybudowania wieży, od sześciuset lat z okładem, przebywa po dwoje ludzi, którzy baczą, czuwają i pilnują miasta. Skoro pożar gdzie w mieście wybucha — strażnik z maryackiej wieży pierwszy go dostrzeże i daje znać straży pożarnej. Dawnymi laty, gdy Kraków był stolicą Rzeczypospolitej Polskiej — strażnik z maryackiej wieży witał radosnem trąbieniem znakomitych gości, którzy przybywali w odwiedziny do stołecznego grodu. A w czasach rewolucji 1848, strażnik tak dzielnie zagrzewał do boju, dziarskim okrzykiem: „Do boju“, którym przez szerokie tuby nawoływał mieszkańców Krakowa, że Austriacy, którzy podówczas miasto bombardowali, wzięli wieżę maryacką na cel armatnich strzałów swoich. Ale kule armatnie nie szły tak wysoko. Jedna z nich przedziurawiła na wskrós dach kościelny — strażnik maryackiej wieży tem donośniej i tem goręcej nawoływał współziomków do broni!

E. B. L.

(Dok. nast.)



Odpowiedzi Redakcyi.

Wajdowicz w Złoczowie. Nr. 6 „Promyka“ dobrze adresowany, zwróciła poczta z napisem: „Adresat nieznanym“. Czy wysłać numer jeszcze raz?

Pani M. Szczaw. we Wiedniu. Pieniądze otrzymaliśmy. Bylibyśmy bardzo radzi, gdyby Pani zechciała wskazać nam, jakim dzieciom te dwa egzemplarze „Promyka“ posyłać mamy.

S. F. w Jarosławiu. Otrzymaliśmy pieniądze za 3 kwartały, a ponieważ ma to być prenumerata do końca roku, przeto 1-go kwartału nie posyłamy.

J. S. w Brodach. Redakcja zapytuje, z jakiego powodu J. lekcyi szuka.

Guścia i Salcia G. w Krakowie. Dziękujemy za zjednywanie nam abonentów.

Luni K. w Przemyśle. Dziękujemy za list i chętnie witamy Lunię w szeregu naszych prenumeratorów.

Salowi G. w Krakowie dziękujemy za 11st i ładne zagadki. Nie możemy przyrzekać, że umieścimy powiastkę, nie przeczytawszy jej.

Salo G. w Tarnopolu. Leona Meyera ze Stanisławowa, autora docwipnych zagadek, które tak się Salowi podobają, nie znamy osobiście. O ile wiemy, chodzi on do 1-szej klasy gimnazyalnej, znamy go jednak z fotografii, którą nam raz posłał na kartce korespondencyjnej. Za pośrednictwem „Promyka“ moglibyście zawrzeć znajomość.

Emilii F. w Glinianach. Z przyjemnością przeczytała redakcja „Promyka“ powiastkę i wierszyk Emilki. Nie możemy drukować ich, bo w „Promyku“ tyle jest do pisania, że wszystkiego umieszczać niepodobna.

Flora i Zosia L. we Lwowie. Dziękujemy za miły liścik. Cieszymy się szczerze, że panienki zajmują nauki przyrodnicze. Radzimy przeczytać omówioną w jednym z poprzednich numerów „Promyka“ książeczkę Kramsztyka.

Adolf K. z Orłowej. Dziękujemy za list. Bylibyśmy bardzo radzi, gdybyśmy mogli Adolfowi nagrodę posłać. Przeczytawszy rozwiązanie zagadek z Nr. 6-go, Adolf sam zrozumie, że nie mogliśmy tego uczynić.

Białej Lilijce umieścilibyśmy Łamigłówkę, nadesłaną nam w swoim czasie przez Białą Lilijkę, której końcowe i początkowe litery tworzą i imię i nazwisko polskiego kompozytora, ale mamy tylko rozwiązanie. Proszę przysłać tekst, to znaczy wypisać: 1) Polski powieściopisarz. 2) itd. Zagadka będzie ładna i trudna.

Fryda R. z Janowa. Nie zdaje się nam, byśmy kiedy któremukolwiek z Czytelników nie odpisali—dlaczego nie rozwiązała Fryda zagadek z Nr. 6 i nie posłała nam rozwiązań?

Spóźnione rozwiązanie zagadek z Nr. 5-go nadesłali: Marya E. S. z Myszkowic i Salo G. z Krakowa.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 6. „Promyka“ nadesłali:

Maniusz Chojnicki z Nowego Sącza, Adaś K. z Krakowa, Mieciak z Jezierny, Tosia S. ze Lwowa, Dziunia R. z Brodów, Romcia Z. ze Lwowa, Flora i Zosia L. ze Lwowa, M. E. Schäfer z Myszkowic, Janinka R. ze Lwowa, Różia G. z Brodów, Oleś P. z Tarnopola, Fredzio G. z Ja-

sła, Ludwiś A. z Podgórza, Salo G. z Tarnopola, Salo G. z Krakowa, Karol F. z Tarnopola, Lunia K. z Przemyśla, Lorcja i Brońcia N. z Tarnopola, Guścia i Salcia G. z Krakowa i Adaś M. z Przemyśla, Marcel Sch. z Zaleszczyk.

Nikt zagadek zupełnie trafnie nie rozwiązał. Wiele przyszło rozwiązań, bardzo starannie wypracowanych. Kilka takich, w których było rozwiązanie na wszystkie zagadki, tylko jedno słowo było mylnem. Nagrodę posyłaemy Romci Z. ze Lwowa, opracowanie jej było nader staranne.

Rozwiązanie zagadek N-ru 6.

FIGIELEK ARYTMETYCZNY.

XC

ZAGADKA

sól, ból, mól.

Ł A M I G Ł Ó W K A.

Rataj
Oliwa
Sierp
Jesso
Jeleń
Samos
Korek
Olcha

Początkowe i końcowe litery słowa: rosyjsko-japońska.

ZAGADKA KRYSTAŁOWA.

S
s y k
k a r a s
G o w o r e k
S y r o k o m l a
P o l o n e z
O s m a n
i l e
a

Z a g a d k i.

Figielek nadesłany przez Sala G. z Krakowa.

--	--	--	--	--

Napisać w tych pięciu kwadracikach słowo „arystokratka“ w ten sposób, aby w każdym kwadraciku była tylko jedna litera — a żadnej litery nie wolno opuścić.

SZARADY

nadesłane przez Maryę H. z Przemyśla.

1. Które raki mają liście?
2. Która trawa nam smakuje?
3. Które nogi nie mają nóg?
4. Który koń jest bez nóg?

ZAGADKA WIERSZOWANA

nadesłał Leon M. ze Stanisławowa.

Należy rozwiązać w rymie i rytmie:

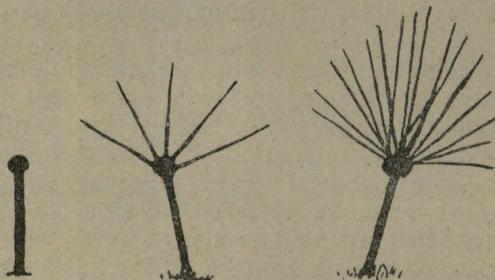
Słońce wschodzi

Z „dz“ powstaje

W słońcu każdy

Z „c“ go daje.

W nagrodę za najtrafniejsze rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy obrazek ładny, przedstawiający piękny widoczek rysowany.

Ładne a łatwe rysunki.**KĄCIK DLA MAŁYCH DZIECI.****Rozmowa z ogrodnikiem.**

- „Czekaj panie ogrodniku
Co ty wieziesz na koniku?
- „Dwa koszyki.
- „Powiedz, proszę,
Co schowałeś w te dwa kosze?
- „Nie, nie powiem.
- „Mój jedyny!
- „W tym jabłuszka, w tym maliny,
- „A dla kogo?
- „Dla tej pani.
Co ciekawe dzieci gani.
- „A dlaczego ich nie chwali?
- „Bo to brzydko, kiedy mali
Wypytywać się nie strzegą
O to, co im nie do tego
- „A któż pyta?
- „Kto? ty duszko;
Ale dosyć! Masz jabłuszko,
I spaniętaj to koniecznie,
Że ciekawym być niegrzecznie“.

Huśtawka.

W dniu imienin Lusi, dziewczynka zbudziła się bardzo wczesnie. Ledwie, że szarzyć poczynąło. Przy łóżeczku Lusi stał stół, a na nim ułożone były najrozmaitsze rzeczy.

Lusia nie mogła doczekać się dnia, aby oglądać wszystkie podarki. Była tam lalka, kuchnia i jakiś duży przedmiot.

— Czy to krzeselko? — myślała dziewczynka.

Rano zobaczyła Lusia, że tem krzeselkiem jest huśtawka, którą tatuś powiesił we drzwiach.

Ledwie huśtawka była przymocowaną — Lusia siedziała już na ławeczce.

Mamusia popchała ją z tyłu a Lusia pojechała w przód i uniosła się wysoko. Potem, huśtawka znów się w tył cofnęła.

Dziewczynkę to zastanowiło. Ileż to razy popychała wózek lalki rączką. Wózek jechał po podłodze, szedł zawsze w przód, aż nie stanął — ale nie cofał się w tył nigdy.

Bo wózek jedzie po podłodze — a huśtawka zawieszona jest na sznurku.

I kulka zawieszona na sznurku, którą Lusia bawi się z kotkiem Maciusiem, tak samo się porusza. Kotek pchnie ją w jedną stronę — ona odchyła się, potem wraca, jak gdyby się wahała w którą ma iść stronę? W prawo, czy w lewo? więc raz tu a raz tu się odchyła.

— Takie to wahadło! — mawiała Lusia ze śmiechem.

Rzeczywiście! Takie rzeczy zawieszane na sznurku i ruszające się w tę to w drugą stronę, nazywają się wahadłami.

Mamusię wywołał ktoś z pokoju. Popchnęła więc tylko mocniej huśtawkę i wyszła.

Ale huśtawka wcale nie stanęła — szła tam i napowrót, w przód i w tył sama ze siebie — tylko coraz to mniej daleko. Nikt jej nie popychał, więc nie miała dosyć siły by unosić się wysoko.

Wreszcie stanęła. Lusia czekała cierpliwie powrotu mamusi i znowu huśtała się wesoło.

B.



PRENUMERATA WRAZ Z PRZESYŁKĄ WYNOŚI:

W Austrii rocznie 2 K, półrocznie 1 K, kwartalnie 50 hal. — W Królestwie w kopertach 4 ruble. — W Niemczech 2 marki. — We Francyi i w Szwajcaryi 5 franków. — W Ameryce 1 dolar.

———— Numer pojedynczy 10 halerzy. ————

Wydawczyni i odpowiedzialna redaktorka: **Jadwiga Czajkowska.**
Drukarnia Udziałowa we Lwowie, ul. Kopernika 20.

PROMYK



PISMO ILUSTROWANE DLA MŁODZIEŻY I DZIECI

WYCHODZI 1. i 15. KAŻDEGO MIESIĄCA.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, Miłkowskiego 11.

FILIA ADMINISTRACYI: KRAKÓW, GRODZKA 50.

EDONARD de PERRODIL.

Z Paryża do Wiednia na kole.

(ZDARZENIE PRAWDZIWE).

(Z francuskiego).

(Ciąg dalszy).

Gdy okręt przybija do nieznanego, niebezpiecznego brzegu, przypląwa mu pilota miejscowy z pomocną radą, obejmuje ster i przeprowadza okręt przez groźne miejsce, lawirując zręcznie pomiędzy skałami. Szybkie jazdy bicyklem można porównać do tej morskiej żeglugi. Z miasta nieznanego powinien zawsze wyjechać na spotkanie podróżników pilota miejscowy, który ster podróży obejmie i zaprowadzi ich wygodną drogą.

Nie mogliśmy się wcale uskarżać — mieliśmy takich pilotów, przeprowadzili nas bezpiecznie przez miasto i uraczyli serdecznym przyjęciem. Pokrzepiwszy siły, ruszyliśmy dalej.

Wiatr ustał nieco. Jechaliśmy spokojnie, równym rytmicznym ruchem, gdy w tem Willaume przechylił się nagle i upadł jak

długi. Stanęliśmy wszyscy i podeszli do niego. Byliśmy szczerze zaniepokojeni, ale on powstał prędko i zawołał:

— To nic! Nie zwarzajcie na mnie, mogę jechać dalej.

O pół do szóstej stanęliśmy w małej prowincjonalnej miejscinie. Błąkaliśmy się od gospody do gospody. Nigdzie nie można było dostać jedzenia o tak niezwykłej porze.

— Jadamy o pół do siódmej, niech panowie poczekają — odpowiadano wszędzie.

— Widziano już kiedy coś podobnego! Ludzie głodni w godzinę przed pół do siódmej! Skąd oni być mogą? — szeptały kumoszki.

Po długim, bezowocnym szukaniu znaleźliśmy wreszcie gospodę, w której obiecano nam zgotować jaja i usmarzyć bifszyk nawet przed ową sakramentalną godziną.

Po obiedzie ruszyliśmy dalej w szalonym pędzie. Na noc stanęliśmy w miasteczku położonym na 260 kilometrów od Paryża.

Nie na tem miała się skończyć nasza podróż pierwszego dnia. O chłodnym, cichym wieczorze popędziliśmy dalej w świat. Wiatr umilkł zupełnie. Zmrok zapadał zwolna nadając dziwne kształty otaczającym nas przedmiotom. Na błękitnem niebie gończy się zaróżowione chmurki.

Wielka cisza zaległa naturę i my także milczeliśmy wszyscy pogrążeni w głębokiej zadumie wśród łagodnego czaru budzącej się wiosną przyrody.

W oddali poczęły się pokazywać sylwetki podjeżdżających ku nam cyklistów — to towarzysze nasi z pobliskiego miasta, do którego zbliżaliśmy się właśnie. Przybyli nas powitać i wskazywali nam drogę. Przybyliśmy na miejsce o trzy kwadransy na dziewiątą. Tu oczekiwało nas takie miłe, serdeczne, przyjacielskie powitanie — że czuliśmy się jak u siebie w domu, jak wśród własnej rodziny! Przebyliśmy już 210 kilometrów — ale w planie naszym było przebyć jeszcze 50! To też należało posilić się so-wicie na drogę.

Dzielny Willaume mimo ранego upadku trzymał się wcale dobrze. Widać było po nim, że siły mu nie dopisują, ale całą mocą hartu trwał dalej przy zamierzonym planie podróży.

Obawiałem się nie mało o niego i chciałem koniecznie przenocować na miejscu — ale Willaume zapewniał mnie, że może śmiało dalej jechać.

— Jedźmy już, jedźmy! — naglił.

Wskoczyliśmy na koła. Dwóch miejscowych towarzyszy przyrzekło pojechać z nami aż do uplanowanej krańcowej stacji, aby wskazać nam drogę. Obawiali się, że nie znając bliżej okolicy zabłądzimy w śród nocy.

Bezdenne czarna noc roztaczała się przed nami. Niepodobna było przebić wzrokiem ciemności. Wśród uroczystej ciszy

czarnej przestrzeni, zgrzytały tylko nasze koła i lampki migotały chwiejnym blaskiem.

W miarę jak posuwaliśmy się naprzód przyłączał się do nas coraz nowy towarzysz. Co raz więcej przyjaciół łączyło się z nami, aż wreszcie o pół do dwunastej stanęliśmy u kresu podróży i w godzinę później spaliśmy już snem sprawiedliwego.

* * *

Nazajutrz o szóstej rano byliśmy już na posterunku. Czas był precudny. Wiatr zmienił kierunek i dał silnie od zachodniej strony. Co za pomoc nieprzewidywana — dać w nas będzie jak w żagle i popychać po drodze!

Tak też było w istocie. Gnani wiatrem pędziliśmy ze zdwojoną szybkością. Mijaliśmy szybko wsie i miasteczka, gdy w tem Willaume zawołał:

— Popędzę przodem. Znam w sąsiedztwie nauczyciela szkoły gminnej, pójdę go powitać i złączę się z wami po drodze.

Były to rzeczywiście rodzinne strony Willaume'a. W szkole odbywała się właśnie lekcya. Nauczyciel przerwał ją na wieść o naszym przybyciu, wyszedł na nasze spotkanie i żadną miarą nie chciał nas puścić w dalszą drogę, zanim nie spożyjemy z nim skromnego posiłku.

Przez cały czas mali chłopcy w klasie kręcili się na ławkach szkolnych, szeptając i chichocząc wesoło. Niespodziewane przybycie cyklistów, niezwykle przyjęcie, którem raczył ich profesor, zaciekało ich nie mało.

Po tak miłej przerwie, puściliśmy się w dalszą drogę, przerywana kilkakrotnie we większych miastach. Zachodni wiatr popychał nas ciągle, tak, że przebywaliśmy nieraz po 32 kilometrów na godzinę. Dzięki temu zyskaliśmy wiele na czasie i ku ogromnemu zdumieniu mieszkańców miast, które przejeżdżaliśmy, stawialiśmy się wszędzie przed oznaczonym terminem.

Wtem nagle usłyszeliśmy za sobą tentent konia zaprzęgnięgo do lekkiego wózka. Wszyscy zmiarkowaliśmy, że to pościg za nami, że woźnica wziął się, aby nas koniecznie przegonić i złamać nasze szeregi. — Jechaliśmy właśnie zwartym oddziałem, jak zwykle po wyjeździe z przydrożnego miasta, otoczeni eskortą miejscowych towarzyszy i zbliżaliśmy się już do granicy niemieckiej.

Podjęliśmy rzuconą nam rękawicę. Przyspieszyliśmy kroku — tentent konia odezwał się też w szybszym takcie. Jechaliśmy z szybkością 26 kilometrów na godzinę — ale tentent konia rósł, wzmagął się — zbliżał się zapewne. Od czasu do czasu ostry świst bata zagrzewał zwierzę do biegu.

Wózek oddalony był już od nas o jakich 30 metrów — doganiał nas widocznie. Zdawało mi się, że słyszę sapanie koła... Po chwili dzieliła nas już tylko odległość 10 metrów —

koń dyszał jak miech kowalski, woźnica śpiewał tryumfująco. Byłem strasznie zdenerwowany.

— Proszę was, przyspieszcież kroku! — wołałem na towarzyszy, którzy jechali przodem.

W jednej chwili, wszystkie koła, jak jeden mąż, potoczyły się szybko i ku niemałemu zdumieniu goniącego nas woźnicy zniknęły mu z oczu. Napróżno krzyczał i bił konia — zmęczone zwierzę zwolniło biegu.

Po chwili doganiało nas znowu. Zjeżdżaliśmy wtedy ze wzgórką.

— Naprzód wiara! — pomknęliśmy szybko i tym razem woźnica, który poczynął już dopędzać tylne nasze szeregi, osiadł zupełnie na lodzie. Nie mógł pędzić 30 kilometrów na godzinę i ustał.

Ledwie ujechaliśmy kilka kroków gdy usłyszeliśmy nową kawkadę za sobą.

— Cóż to znowu? Uwzięli się na naszą zgubę? Chcą nas koniecznie wymęczyć szybką jazdą! — zawołałem rozogniony.

— Nie! — odparli miejscowi towarzysze. — Tym razem jest to oddział jeźdźców, przyjaciół naszych, którzy dowiedziawszy się o waszem przejeździe, zapragnęli odprowadzić was konno do granicy.

(C. d. n.)



Amerykańska szkoła ludowa.

Dewien nauczyciel niemiecki opisuje w ciekawy sposób szkołę ludową którą zwiedzał w Nowym Yorku.

W Ameryce — tak pisze ów podróżny — taki jest zwyczaj, że dopóki dzieci są w szkole, powiewa z gmachu szkolnego gwiazdzisty amerykański sztandar. Miałem zwiedzać Nowo-Yorską szkolną wystawę robót ręcznych. Jest tam osobny inspektor dla robót ręcznych, którego znałem osobiście. Wystawa urządzoną była w jednej ze szkół, położonej we wschodniej części miasta, przy ul. 88-ej. Ulice nie mają nazwy, a znaczone są liczbami. Dzieci były już zebrane, poznałem to zdaleka po chorągwi powiewającej z gmachu szkolnego. Wprowadzono mnie na trzecie piętro do wielkiej sali zgromadzeń. Tam co dzień

przed rozpoczęciem nauki, zgromadzali się wszyscy uczniowie i uczennice, nauczyciele i nauczycielki na codzienne uroczyste otwarcie szkoły. Na jednym końcu sali, było półokrągłe podwyższenie, z którego dyrektor szkoły kierował uroczystością. Uczniowie stali rozdzieleni wedle klas, a przy każdej klasie — nauczyciele. Zwiedzający szkołę gość przedstawia się dyrektorowi, poczem dyrektor wedle amerykańskich zwyczajów przedstawia go zgromadzonej szkole, dzieciom i nauczycielowi. Przedstawiony powinien, wedle zwyczaju przemówić kilku słowy do „szkoły“. Co uczniowie przyjmują oklaskami.

Amerikanin uważa dziecko swoje za obywatela. W szkole jest ono też obywatelem, któremu przysługuje nawet prawo krytyki. Nowego nauczyciela, dyrektora, tak samo jak gościa uczniom przedstawiają, on do nich przemawia, a oni mówią tę mniej lub więcej oklaskują, stosownie do tego w jakim stopniu im się podobają. Istnieje nawet pewien zakład wychowawczy, urządzony zupełnie na wzór małej rzeczypospolitej. Przyjmują tam uczniów i uczennice od 14 do 21 roku życia. Szkoła ma własny zarząd, który sama wybiera, uczniowie wybierają urzędników, radzą nad sprawami szkolnymi, zarządzają funduszami i t. d.

Stosunek uczniów do nauczycieli jest w Ameryce innym niż u nas. Uczeń jest obywatelem i jest nim też nauczyciel. Nauczyciel nie zapomina o tem nigdy i żadną miarą nie gnębi ucznia, nie narzuca mu swojej przewagi, nie traktuje go z góry. Wszak wie, że jeżeli uczeń go krytykuje, to nie dopuszcza się temsamem żadnego wykroczenia, bo przysługuje mu całkiem naturalne prawo do tego.

Uczeń ze swej strony świadom jest, że nauczyciel jest urzędnikiem który ma uczyć go, kształcić, rozwijać jego umysł. Jest pełnym uznania dla tej pracy nauczycielskiej, a tam gdzie nauczyciel gorliwsem staraniem wyróżnia się — staje się stosunek wprost przyjacielskim.

Ale wróćmy do rzeczy. Po skończonej uroczystości otwarcia szkoły, zasuwa się w dużej sali boczne ściany na kółkach, jakby olbrzymie drzwi wsuwane i dzieli ją w ten sposób na sześć klas. Dzieci które stały klasami na oznaczonym miejscu znajdują się odrazu każde w swojej klasie, a półokrągłe podwyższenie zostaje kancelaryą dyrektora. Dyrektor nie ruszając się od swego półokrągłego stołu czy biurka, znajduje się odrazu w kancelaryi. Przy stole ma elektryczne dzwonki i telefony prowadzące do każdej klasy, tak, iż szybko i bez straty czasu, może na wszystkie strony wydawać zlecenia. W całej szkole jest 500 dzieci. Na wyższych piątrach są sale gimnastyczne. W jednej pięciopiętrowej szkole widziałem na płaskim zupełnie dachu przepiękne urządzone boisko do zabawy. Dach ogrodzony był wysokimi, gęstymi sztachetami, a dzieci uwijały się po nim bawiąc wybornie na wolnem powietrzu, gdzie kurz uliczny wcale ich nie dosięgał.

Wystawa robót obejmowała całoroczne. roboty dziewcząt i chłopców ze wszystkich szkół normalnych Nowego Yorku. Były tam przedewszystkiem roboty z papy papierowej wyrabiane od 5-ej do 8-ej klasy, głównie w takich szkołach, które nie mają własnego warsztatu. Uczniowie wyrabiają z tej papy nadzwyczaj gustowne, ładne i zgrabne przedmioty wedle własnej fantazyi i upodobania, które umiejętnie, ładnie i rozmaicie kolorują. Roboty te wystawione były także w Bernie szwajcarskiem, na międzynarodowym zjeździe rysowników i zwróciły na siebie uwagę rzeczoznawców.

Prócz nich obejmowała wystawa szkolna roboty stolarskie, tokarskie i metalurgiczne. Te ostatnie tylko najzdolniejsi w tym kierunku uczniowie wykuwają w rozmaitych metalach, jak np. miedzi, mosiądzu, żelazie itd. W wszystkich szkołach pilnie uprawiano koszykarstwo, szczególnie podczas letnich wakacji. Wycinanki papierowe, naklejanie ich itd. podobne jakie u nas robią w ogródkach freblowskich, ale ładniejsze, trudniejsze i gustowniejsze, zajmują jako ręczna robota w normalnych szkołach amerykańskich wcale nie pośrednie miejsce. I rzeczywiście dzieci dochodzą w tych rzeczach niemal do artyzmu. Dorośli chłopcy robią modele do nauki fizyki, które o ile są starannie zrobione bywają rzeczywiście używane przy wykładach. Są to np. dzwignie, bloki itd. Co za radość dla ucznia, gdy nauczyciel posłuży się przy wykładzie przyrządem jego roboty! i jak bardzo podnieca to jego zainteresowanie się nauką!

Wreszcie następowały rysunki uczniów, wprost zdumiewające rzeczy, przeważnie szkice z natury, na które patrzyłem z podziwem!

W końcu nadmienię szczegół zajmujący dla naszych czytelników, że w szkole amerykańskiej siedzą obok siebie murzyni, Włosi, Grecy, Szwedzi, Niemcy, Anglicy itd., którzy wszyscy w tamtejszych stosunkach wyrastają na Amerykańskich patryotów. S.



O moich zabawach ze Stasiem.

Do listu Józia Gajka, zamieszczonego w 8-ym numerze Promyka załączonym był dopisek, który się już w numerze tym nie zmieścił, podamy go przeto osobno poniżej.

P. s. (P. s. to jest skrócone z łacińskiego Post scriptum, a znaczy tyle, co dopisek. Tak mówił pan Tadeusz). We wtorek byłem u Stasia, bo pan Tadeusz obiecał nam pomóc przy zadaniu matematycznem i bardzo prędko poszło i potem graliśmy

w „Wojnę“. Deszcz padał i nie mogliśmy iść na spacer. I takżeśmy grali, że aniśmy się spostrzegli, a tu już był wieczór i 7-ma godzina! A jakeśmy już kończyli, przyszła Wańdzia z drugiego pokoju i Staś zapytał, czyby nie chciała z nami grać. Ale ona powiedziała: Nie mam ochoty. Wy chłopcy to albo się bijecie, albo gracie w wojnę, a to jest brzydka i straszna rzecz. A Staś powiedział: To jest śmieszne, co ty mówisz. Bo są różne wojny. Są wojny, gdzie się o cudzą i złą sprawę krew przelewa, jak niewolnik, są wojny, gdzie się walczy o wolność dla siebie i dla braci, a są też wojny, gdzie się wcale krwi nie przelewa, gdzie się walczy wielkim rozumem i wielkim sercem. Pan Tadeusz tak wczoraj mówił. A oprócz tego są też wojenki, gdzie się walczy prędszem myśleniem i zgrabnością i tu należą wszystkie zabawy i gry i nasza „Wojna“. Tak on mówił, a Wańdzia przez chwilę nic nie mówiła, a potem uśmiechnęła się, kiwnęła głową i wyszła. A ja sobie pomyślałem, co to może znaczyć wojna sercem? Muszę się o to spytać pana Tadeusza.

Józef Gajek.



1. M a j.



Pan Mateusz kazał się Antkowi ubrać porządnie, odświeżnie, pozwolił nie pójść do szkoły, przyrzekając, że go przed profesorem usprawiedliwi i wyszedł z nim na miasto. Antek promieniał z radości. Toż to dopiero prawdziwe święto! On z ojcem spacerują jak panowie jacyś, wolnym, miarowym krokiem, pięknie poubierani, z małą czerwoną kokardką u boku! Warstat zamknięty na cztery spusty, ojciec niezakłopotany, niezapracowany, wesół, swobodny, a on do szkoły nie poszedł tylko spaceruje, rozprawia, cudowności za wystawami sklepowymi ogląda — ot pan i tyle! A na ulicach też święto znać prawdziwie, mnóstwo ludzi porządnie ubranych, z kokardkami czerwonymi na piersi, uwija się, spaceruje. Nie widać niebieskich bluz robotniczych, rusztowania domów stoją puste, nie słychać na nich nawoływań, nie widać wapnem obryzanych wynędzniałych ludzi — nędza jakby zniknęła z powierzchni ziemi na chwilę, jakby ustąpiła — przed świętem.

Pan Mateusz poszedł na zgromadzenie ludowe pozwolił Antkowi pójść z nim, ale — rzekł:

— Zostań z brzegu, nie wszystko zrozumiesz, tak długo nie ustoisz na jednym miejscu, odejść sobie kiedy zechcesz, a po obiedzie pójdziemy razem na wycieczkę.

Przyszli na ogromny plac, poprostu zalany ludźmi. Pan Mateusz wcisnął się w sam środek tłumu, Antoś pozostał z brzegu. W środku tłumu stał stół, na który co raz inny mówca wskakiwał i przemawiał, a wszyscy słuchali go z uwagą i od czasu do czasu klaskali na znak, że ma rację, że tak jest naprawdę jak mówi. Antoś też słuchał, ale mało co rozumiał.

— Serwus Antek! — odezwał się za nim głos przyciszony.

Antoś odwrócił głowę i ujrzał Wicusia. Wicusz starszym był od Antka i rozumiał już więcej od niego.

— Wiesz Wicek — słucham, uważam, niby też słowa rozumiem, a jednak nie wiem co mówi.

— Mówi — rzekł Wicek — że gdyby robotnicy nie musieli tak długo pracować, to by lepiej było, to mogliby wypoczywać trochę, mogliby przejść się i czytać i zajmować się swojemi dziećmi i znać swoje dzieci. Bo teraz jak robotnik z domu na robotę wychodzi, to jego dziecko jeszcze spi. bo jest bardzo wczesnie, a gdy z roboty późnym wieczorem wraca, to dziecko już spi, i tak ojciec swojego dziecka nie zna i dziecko nie zna ojca. Gdyby pracował krócej to i dla niego i dla dzieci i dla wszystkich byłoby lepiej.

— Prawda, prawda — rzekł Antek bardzo uradowany, że tu o takich dobrych rzeczach radzą.

— A teraz mówi, że gdyby robotnikom więcej płacono, to mogliby kupować sobie lepsze pożywienie, takie, jakie kupują zamożni ludzie, więc nie musieliby tyle chorować, byłiby zdrowsi, i dzieci też nie byłyby takie mizerne i wybladłe, ale rumiane i zdrowe, jak dzieci bogatych ludzi.

— Rzeczywiście ślicznie mówi! — zawołał z przekonaniem Antek.

— Teraz mówi jak straszną rzeczą jest przemoc i ucisk, mówi, że to najlepiej widzi się w Rosyi, gdzie car tak strasznie ludzi gnębi, mówi, że należy dążyć do tego, aby wszyscy ludzie byli wolni i czuli się równi i jeden się nad drugiego nie wynosił.

— Cudownie, cudnie mówi! — wołał już teraz Antek z zapalem.

— Mówi, że tak nastąpić musi kiedyś, że nastąpi z pewnością, tem prędzej im więcej ludzi starać się o to będzie.

Teraz już Antek wsłuchiwał się z całą uwagą i coraz lepiej mowę rozumiał. Mówca tłumaczył, co to jest święto robotnicze. To jest przegląd tej wielkiej armii ludzi, która dąży do tego, aby dobrobyt i równość nastały na ziemi. A armia ta rośnie — mówił mówca — patrzcie, jaka olbrzymia — tu wskazał na tłumy zebrane pod mównicą. Antoś rozejrzał się dookoła, ale końca tłumu nie dojrzał. Te tłumy nieprzebrane zebrały się

dzisiaj nie tylko w głównych miastach. W każdej mieścinie odbywają się takie zgromadzenia jak nasze. Tak jest w całej Galicyi, w całej Austrii, w Niemczech, we Francyi, nawet w Rosyi pod knutem carskim, w Ameryce i w Australii.

Antosiewi iskrzyły się oczy na samą myśl, że teraz, w tej chwili wszędzie, na całym świecie stoją nieprzejrane tłumy robotnicze wsłuchane w płomienne słowa i postanawiają zdobyć dla siebie i dla całej ludzkości lepszą dolę.

Zgromadzenie skończyło się. Antek pobiegł do domu rozpromieniony. Po obiedzie na wycieczce użył zabawy, jak nigdy jeszcze. Wiosną pachło powietrze, drzewa, trawy, słońce przegrzewało, Antek wraz z innymi dziećmi gonił się przy dźwiękach muzyki, tańczył, obsypywał kolegów konfettim (cieniutkimi płatkami różnokolorowej bibułki). Zabawie i pomysłom końca nie było. A gdy wesół, rozbawiony wrócił z rodzicami późnym wieczorem do domu, zdawało mu się, że to nie był jeden dzień tylko, ale jakiś dłuższy czas, że urósł on tymczasem, spoważniał i rozumie i odczuwa takie rzeczy, których pierwaj pojąć nie umiał, zdawało mu się, że stał się jakimś lepszym, niż był dawniej.

Wrzos.



W sprawie teatru.

Otrzymałiśmy następujący list :

Kochany Promyku !

Bardzo, bardzo się ucieszyłem, że Józio Gajek napisał o teatrze, bo już dawno chciałem sobie teatr zrobić, jeszcze podczas świąt Bożego Narodzenia. Ale jakem myślał, jak ten teatr zrobić, tom sobie narysował, jak on ma z przodu wyglądać, by był ładny i nigdy mi się nie chciało udać i dlatego bardzo proszę przez „Promyk” Józia, aby on przysłał plan teatru jak go razem ze Stasiem wymyślą. Bardzo proszę. Ja jeszcze myślałem sobie, że teatr nie musi być z drzewa, można go także zrobić z tekturki, a jak gdzie trzeba grubszej i silniejszej, to można kilka kawałków zlepić klejem. Tekturka daje się łatwiej giąć i lepić i łatwiej o nią jak o drzewo. Także figurki albo można zrobić z waty i drutu i potem ubrać w sukienki, albo też płaskie z tekturki i potem ładnie pomalować. Józiu! Jak możesz, odpisz już w następnym „Promyku”, mój kochany!

Serdeczne pozdrowienia dla „Promyka”, dla Józia i dla wszystkich jego przyjaciół!

Wicus Karliński.



Tunel Symploński.



nia 25. lutego b. r. dokonano jednego z nawspanialszych arcydzieł inżynierii, przebito nareszcie olbrzymi tunel pod górą Sympion, pomiędzy miasteczkiem szwajcarskim Brig a włoską Isellą.

Przeszło sześć lat, zamiast projektowanych pięciu, trwała praca ta tytaniczna. Tyle jednak napotymano przeszkód żywiołowych pod postacią źródeł gorących i potoków szlamu, które wytryskały niespodzianie z pod skał dynamitem rozsadzanych, że termin pierwotny, oznaczony na dzień 1. maja 1904 r., musiano przedłużyć o rok. I oto na dwa miesiące przed upływem drugiego tego terminu nastąpiło połączenie obu części tunelu, budowanego jednocześnie z dwóch końców: od strony włoskiej i od strony szwajcarskiej.

Tunel Symploński jest t. zw. tunelem podstawowym¹ nie zaczyna się bowiem, jak tunele przez górę św. Gotarda i górę Cenis, na pewnej wysokości góry, lecz u jej podstawy. Z jednej strony budowa taka przedstawia znaczne korzyści, usuwa bowiem konieczność budowania długiej i spadzistej linii kolejowej do wejścia tunelu, z drugiej wszakże — ze względu na jego długość, połączona jest z daleko większymi trudnościami, niż budowa tunelów wyżej położonych.

Całej pracy wiercenia dokonano za pomocą maszyn wiertniczych, przyczem posuwano się z północnej strony przeciętnie o 5¹/₂ metrów naprzód codziennie. Ze strony południowej praca postępowała daleko wolniej, spotykano bowiem tam najwięcej źródeł gorących, które powstrzymywały postęp robót nieraz na całe tygodnie.

Największe trudności, oprócz ujmowania w karby obfitych, nagle wytryskujących źródeł, przedstawiało dostarczanie odpowiedniej ilości świeżego powietrza setkom robotników zajętych przy budowie, oraz ochładzanie temperatury, która po wybuchu źródeł gorących dochodziła do 51° C.

Pierwszej trudności zaradzono przez wiercenie równoległe z właściwym tunelem, w odległości 17 metrów, drugiej sztolni, którą łączono w miarę budowy galeryami poprzecznymi z tunelem właściwym. Dla wentylacji zaś, oraz ochładzania powietrza urządzono specjalne maszyny wentylacyjne tudzież rozpylacze dostarczanej rurami wody zimnej.

O rozmiarach wprost olbrzymich pracy dokonanej świadczą cyfry następujące:

Z tunelu wywieziono ogółem 1,070,000 metrów kubicz. odpadków skał oraz ziemi. Dla usunięcia z łona góry masy po-

wyższej, musiano wywiercić maszynami 350,534, a ręcznymi świdrami 3,600,000 otworów, które rozszerzano następnie dynamitem. W tym celu zużyto dotychczas 1,342,000 kilogramów dynamitu, 4,000,000 kapsli wybuchowych, oraz 5,300 kilometrów lontu!

Przy wierceniu spotrzebowano 1,980,000 świdrów maszynowych, oraz 23,950,000 — ręcznych. Można wyobrazić sobie, co za olbrzymie ilości stali potrzeba było dla sporządzenia tych narzędzi.

Jak obliczono wreszcie, w przeciągu 1242 dni trwania robót wiertniczych, musiano ująć w karby i odprowadzić 104,500,000 metrów kubicznych wody, wypływającej ze źródeł we wnętrzu góry!

„Wiedza i Praca.“

FRASZKI.

Na lekeyi geografii.

Nauczyciel: Powiedz mi, gdzie leży Kuba?

Chłopiec: W stodole panie nauczycielu.

Nauczyciel: Siadaj ośle, Franek, powiedz mi, gdzie jest Jamaika?

Chłopiec: Mama ją schowała z flaszką do szafy.
(Osa)

W szkole.

I.

Powiedz mi Jasiu, jak się nazywają cztery żywioły? ¹⁾

— Ziemia, woda, powietrze i

No i

— Zapomniałem

Ziemia powietrze, woda . . . i to, co jest przyczyną tylu nieszczęść — powiada nauczyciel.

— Ach już wiem kolej żelazna!

II.

Cóż to znaczy w „pocie czoła będziesz chleb jeść“.

To, że człowiek będzie tak jadł, aż się będzie pocił.
(Osa)



¹⁾ Wedle dawniejszych pojęć: ziemia, woda, ogień i powietrze.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 5.

Na żądanie Czytelników zamieszczamy rozwiązanie zagadek z Nr. 5.

SZARADA.

nadesłana przez Irenkę z Torunia.

Lilia.

ŁAMIGŁÓWKA

nadesłana przez Różową Różyczkę z Krakowa:

Litwo Ojczyzna moja, ty jesteś jak zdrowie,
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie
Kto cię stracił.

ŻARCIK

nadesłany przez Leona M. ze Stanisławowa

J	u	l	a	U
r	s	y	m	i
e	w	i	c	z

Nie, nie wolno opuścić.

Odowiedzi od Redakcyi.

Józefowi S. w Brodach. Mamy nadzieję, że numer z 15-go kwietnia doszedł Józia zaraz po wysłaniu reklamacyi. Cieszy nas to bardzo, że się nasze wydawnictwa podobają. Mamy jeszcze mały zapas zeszłorocznych roczników. Za książkę przesłaną dla chłopców rzemieślniczych pięknie dziękujemy.

Lunia K. w Przemyślu. Wyśleliśmy równocześnie wszystkie brakujące numera. „Promyk“ cieszy się bardzo, że Lunia tak ładnie i starannie pisze i zagadki rozwiązywać umie. Do której klasy chodzi już Lunia?

Salo Grosb w Krakowie. Dziękujemy za list. Bardzo nas to cieszy, że „Promyk“ sprawia Czytelnikom przyjemność. Jak to może być, że Salo przy rozwiązaniu zagadki nie pomyślał o Andriolim? Nie możemy w każdym numerze „Promyka“ umieszczać zagadek Sala, bo coś powiedzieliby na to inni nasi Czytelnicy?

Mietek z Jezierny. Zagadkę umieszczamy.

Leon M. w Stanisławowie. Każdy list Leosia sprawia nam wielką przyjemność. Wyobrażamy sobie jak cieszą się nauczyciele Leosia, że mają ucznia, który tak wprawnie, czysto i ładnie pisze.

Ewelinka H. w Bochni. Gdzie Ewelinka „Promyk“ zaprenumerowała? Może w naszej filii w Krakowie? Proszę nam odpisać, a jeżeli numer reklamowany nie doszedł, wysłamy natychmiast drugi. Naturalnie, że się „Promyk“ bardzo cieszy, gdy jego Czytelnicy dostają tak dobre świadectwa szkolne.

Benio St. w Tarnopolu. Zagadkę umieszczamy.

Guścia i Salcia G. w Krakowie. List może być bez specjalnego wstępu. Listy Wasze ładnie i starannie pisane zawsze bardzo nas cieszą.

Irence z Machowy. Pieniądże otrzymaliśmy. Za życzenia dziękujemy. Tatuś Irenki zapomniał widocznie, że już raz zapłacił za I-szy kwartał, a teraz posłał całego guldena. Wobec tego zapłaciła Irenka za cały rok 1905 i za pierwszy kwartał 1906.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 8. „Promyka“ nadesłali:

Kilku Czytelników naszych nie mogło rozwiązać wszystkich trzech zagadek, przysłało natomiast tylko dwa rozwiązania, mianowicie: Guścia i Salcia G. z Krakowa, Mania M. z Krakowa, Marceli S. z Zaleszczyk, Mitek z Jezierny, wszystkie zagadki rozwiązały tylko Lunia K. z Przemyśla, Salo Goldw. z Krakowa i Salo Grossb. z Krakowa i Adam B. z Bolechowa.

Z tego trzy nie zupełnie są trafne. „Pelion“ to szczyt górski w Grecyi; a przedsionek nazywał się „peristilium“. Miasto w Serbii nazywa się Szabac, a nie Szaribac. Dziwi nas bardzo, że Czytelnicy nie znają polskiego rysownika Andriollego; miasto we Francyi nazywa się Damiette.

Zupełnie trafnie rozwiązał tylko Adam Blumenthal z Bolechowa, jemu więc posyłamy nagrodę.

Rozwiązanie zagadek Nr. 8.

ZAGADKA ZGŁOSKOWA •

1. Peristilium
2. Andriolli.
3. Niemoc
4. Tłok
5. Asti
6. Damiette
7. Ezaw
8. U—i
9. Szabac
10. Zbrucz

Początkowe i końcowe litery tworzą Pan Tadeusz, Mickiewicz.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSTAŁOWA.

M
c a r
T o k i o
M a k a r o w
N a r e w
r o k
w

ZAGADKA SYLABOWA:

„Wiwat Hrabiał Krzyknęli z nim żyć i umierać
„Szlachta zaczęła z chaty przez okna wyzierać“.

Z a g a d k i.
FIGIELEK

nadesłał Benio St. z Tarnopola.

Pod jakim drzewem siedzi zając gdy deszcz pada?

REBUS

nadesłał Salo Goldw. z Krakowa.

ia ia ia ia
ia **L** ia
ia ia ia
ia ia ia ia

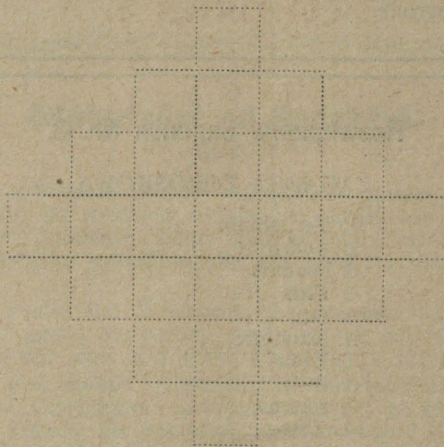
ę ę ę ę
ę **Głó** ę
ę ę ę ę
ę ę ę ę

do do do
do do do
dodo do
do do do
do do do

a a
a **Grzy** a
a a a
a a

ŁAMIGŁÓWKA KRYSTAŁOWA:

nadesłał Mietek O. z Jezierny.

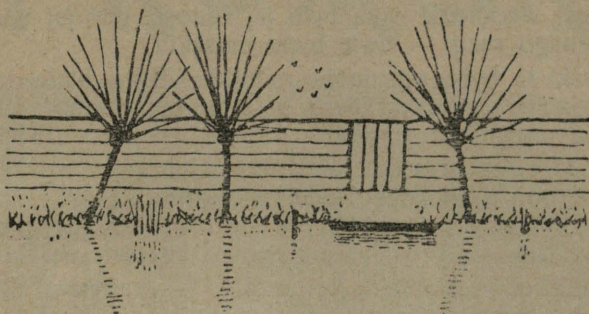


W powyższe kratki wpisać litery tak, żeby czytane poziomo dały nazwisko sławnego polskiego malarza:

1. Spółgłoska
2. Imię męskie
3. Wąż
4. Malarz polski
5. Ptak
6. Część twarzy
7. Samogłoska

W nagrodę za trafne i staranne rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy ładne kolorowe kartki listowe wraz z kopertami.

Ładne a łatwe rysunki.



KĄCIK DLA MAŁYCH DZIECI.

Wiosna *).

Or—Ot

W maju na łące
Kwiatki pachnące
I świeże zioła rosną.
Niebo się śmieje
Słońko jaśnieje
I świat się cieszy wiosną.
Nie tracąc chwilki
Barwne motylki
Wesoło wciąż fruwią.
A pastuszkowie
W blizkiej dąbrowie
Na fujareczkach grają.
Bawcie się dzieci
Dopóki świeci
Słoneczka twarz radosna
Wśród traw i kwieci
Bawcie się dzieci
Bo prędko minie wiosna.



Białe myszki.

Helusia bardzo a bardzo lubiła zwierzątka. To też można sobie łatwo wyobrazić jaką była jej radość, gdy jej wujcio przyniósł pewnego razu — dwie białe myszki!

Myszki te były ogromnie milutkie. Były białe jak mleko i miały różowe pyszczki. Biegły po stole zgrabniutko, a tak chyżo, że Helusia prawie nie mogła wzrokiem ich przeprowadzać.

— O! tu tu myszka! — wołała Helusia, a myszka już była na drugim końcu wielkiego jadalnego stołu.

Myszki nigdy nie spadały ze stołu, tylko gdy przyszły na brzeg, zwracały się przedniutko i znowu uganiały po stole.

— Gdzie myszki będą mieszkały? — zapytała Helusia, gdy dość się już niemi nabawiła.

Rzeczywiście trudno było umyśleć dla nich mieszkanka. Gdyby na podłodze zamieszkały w jakimś kątku pokoju, powyżukiwałyby sobie kryjówki, pochowałyby się w jakie jamki i szparki i Helusia znaleźćby ich nie mogła.

— Już wiem! — rzekła mamusia — twoje myszki będą mieszkały na szafie! One bardzo uważają żeby nie zlecieć i z pewnością żadna z szafy nie spadnie, ani stamtąd nie ucieknie!

— Dobrze! dobrze! — wołała Helusia — będą mieszkały na szafie niby na strychu.

Odtąd umieszczano myszki na szafie, a Helusia sypała im tam jedzenie, okruszynki bułki i kawałki słoniny. Helusia nie mogła naturalnie sama dostać do szafy, tylko tatuś podnosił ją tak wysoko.

Czasem zabierano myszki ze szafy i Helusia bawiła się niemi ostrożnie. Chodziły jej po sukni, po rączkach i wypoczywały w kieszonce, w fartuszkach Helusi.

Wrzos.



PRENUMERATA WRAZ Z PRZESYŁKĄ WYNOŚI:

W Austrii rocznie 2 K, półrocznie 1 K, kwartalnie 50 hal. — W Królestwie w kopertach 4 ruble. — W Niemczech 2 marki. — We Francyi i w Szwajcaryi 5 franków. — W Ameryce 1 dolar.

———— Numer pojedynczy 10 halerzy. —————

Wydawczyni i odpowiedzialna redaktorka: **Jadwiga Czajkowska.**
Drukarnia Udziałowa we Lwowie, ul. Kopernika 20.

PROMYK



PISMO ILUSTROWANE DLA MŁODZIEŻY I DZIECI

WYCHODZI 1. i 15. KAŻDEGO MIESIĄCA.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, Miłkowskiego 11.

FILIA ADMINISTRACYI: KRAKÓW, GRODZKA 50.

ODENARD de PERRODIL.

Z Paryża do Wiednia na kole.

(ZDARZENIE PRAWDZIWE).

(Z francuskiego).

(Ciąg dalszy).

Cyklista, który na żelaznym rumaku swoim zwykł podróżować, łatwo spostrzedz może jakie rozmaite wrażenia odnoszą z tej jazdy najrozmaitsze twory przyrody. Konie okazują przed kołem strach ogromny i nieprzeparty, mówię oczywiście o koniach wiejskich, nieprzyzwyczajonych do tego widoku. Psy wpadają w wściekłość bez granic na widok bicykla — jakby był najzażartszym ich wrogiem. Rzucają się przed koło i mogą być bardzo niebezpieczne. Woły i barany zachowują się zupełnie biernie i obojętnie — ale bez sprzecznie najciekawsze pod tym względem są kury. Gdy bicyklista spotka kurę na drodze, nie ucieka ona lecz przeciwnie, jakoby otumaniona rzuca się na osłep w niebezpieczeństwo. Sama włazi pod

koło. Skoro znajduje się po prawej stronie drogi, której środkiem bicyklista ma przejechać — to zamiast zmykać na przyległą łąkę lub pole, ucieka wszczeg drogi na lewą jej stronę, a potem widząc ciągle maszynę przed sobą, ucieka na prawo i tak z krzykiem i wrzaskiem goni z boku na bok ulicy, ku swojej i cyklistów rozpaczy.

* * *

Zbliżaliśmy się powoli do granicy, przed nami roztaczały się majestatycznie Wogezy*). Grono nasze malało co chwila — przygodni towarzysze wracali do swoich siedzib i zajęć.

Skwar dawał się bardzo we znaki, tem bardziej, że jechaliśmy teraz pod górę. Coraz to piękniejszy widok roztaczał się przed naszymi oczyma. Bujna roślinność górska była w pełnym rozkwicie, a rozpruszające się mgły i chmury odsłaniały nam zielone, lesiste szczyty.

Droga wiodła zygzakiem na szczyt gór, na której znajdował się słup graniczny. Wydawała nam się długa bez miary, rozciągającą się w nieskończoność. Ileż to razy wydawało się nam, że już jesteśmy u celu — a tu nowy skręt, nowy zygzak przedłużał nam drogę.

Mineliśmy wreszcie ostatni zakręt i ruszyliśmy prosto na miejsce graniczne, które widne było zdala jasno jak na dłoni. Tuż przy baryerze zabłysła nam stal rozlicznych rowerów — to alzatcy towarzysze — cykliści wyszli nam na przeciw. Oczekiwali nas tłumnie, uroczyście, z ogromnym bukietem od klubu cyklistów Alzacji.

Po serdecznem powitaniu ruszyliśmy dalej społem. Jechaliśmy po stokach Wogezów, od strony niemieckiej rozgałęzionych na drobne pasma i pasemka. Z głównego łańcucha gór wybiegały drobne pasma w głąb kraju, tworząc rozliczne kotlinki.

Jazda szła rażno i ochoczo po spadzistych uroczych ścieżkach. Noc zapadała zwolna, około 8-mej wieczorem dotarliśmy do kotliny ścielącej się u podnóża Wogezów. Posililiśmy się co rychlej, aby nie tracić wiele czasu — spieszo nam było do Sztrasburga, to też mimo ciemności nocnej, puściliśmy się odważnie w drogę podobnie jak dnia poprzedniego. Z przydrożnych miasteczek przyłączało się coraz więcej cyklistów z barwnymi lampionami pomarańczowego koloru, których malowniczy blask oświeślał nam drogę. Zbliżaliśmy się do Sztrasburga — nowy, olbrzymi oddział cyklistów z pomarańczowymi lampionami zbliżał się ku nam, a na ich czele — Chałupa, który stawiał się tutaj zgodnie z naszą umową.

*) Góry stanowiące naturalną granicę między Francją a Niemcami.

Wjechaliśmy do miasta. Czyż można opisać serdeczne, uroczyste powitanie cyklistów francuskich w samym sercu Alzacyi?*) Któż zliczy mowy, toasty, kwiaty.... któremi nas przyjęto!

* * *

Po pięciogodzinnym śnie wstaliśmy nazajutrz wczesnym raniem, by puścić się w dalszą podróż. Cykliści ze Sztrasburga odprowadzili nas kawałek i następnie odjechali, pożegnawszy się z nami serdecznie. Jechaliśmy tedy we czworo — bo Chałupa był się już do nas przyłączył i towarzyszył nam aż do kresu podróży.

Teraz dopiero ocenilem w całej pełni obecność Chałupy — nikt z nas nie umiał słowa po niemiecku, nie sposób było porozumieć się z ludnością miejscową, zwłaszcza, gdy minawszy Alzację, zagłębiliśmy się w kraj czysto niemiecki, w księstwo badeńskie. Chałupa ratował sytuację. On pytał o drogę — on wreszcie wprowadzał nas do zajazdów i gospod przydrożnych.

Dziwne wrażenie zrobiła na mnie pierwsza niemiecka gospoda. Właściciel jej przypominał raczej uczonego filozofa niż gospodarza zajazdu. Spokojnie, poważnie siedział za swoim stołem, a izba cała błyszczała pedantyczną czystością. Na widok francuzów, którzy tylko za pośrednictwem tłumacza rozmówić się umieli, podszedł ku nam pewien gość, Niemiec, nie umiejący ani słowa po francusku, który żywo gestykulując pokazywał mi palcem jakiś ustęp w gazecie niemieckiej. Nie rozumiałem niczego, ale domyślałem się, że pyta czy nie jesteśmy owymi cyklistami, którzy podróżują z Paryża do Wiednia. W odpowiedź wskazałem mu Chałupę, który udzielił mu żądanych wyjaśnień.

* * *

Przybyliśmy u stóp gór Czarnego lasu do miasteczka O... Towarzysze moi zsiadli z koła, aby dać do podpisu nasze podróżne książeczki*).

— Pojadę wolno przodem — rzekłem nie zchodząc ze siodła — droga do K... pamiętajcie!

Ba! skądże mogliśmy wiedzieć, że właściwie 3 drogi, a nie jedna do K.. prowadzą? Pierwszą z nich najwygodniejszą ominęliśmy już wjeżdżając do miasteczka — odchyłała się w bok, na prawo od gościńca. Dwie ostatnie krzyżowały się w końcu O...

Przybyłem na rozstajną drogę. Cóż teraz począć? Drut telegraficzny odchyłał się na lewo — więc też na lewo skierowałem swoje koło.

Zaledwie ujechałem jakich 100 metrów po wąskiej stromej ścieżynie, napotkałem wieśniaka.

*) Alzacya należała dawniej do Francji i po wojnie 1870 r. została przyłączoną do Niemiec.

**) Książeczki te podpisywano wszędzie po drodze, aby stwierdzić tem samem, że cykliści, przejeżdżali przez daną miejscowość.

— K...? rzekłem pytająco wskazując palcem w kierunku drogi.

— Tak! Tak panie! — odparł Niemiec.

Wobec tej pewności, że jestem na szlaku, pomknąłem chyżo dalej, nie oglądając się za opóźnionymi towarzyszami.

Ścieżyna wila się wśród gór. Wspaniały widok! — Las rozciąga się w całym swym czarze przed moimi oczyma. Niebo miało barwę ciemnego błękitu upstrzonego białością chmur. Pograżałem się całkiem w oglądaniu niezwykłego krajobrazu. Olbrzymie stuwieczne sosny zbite w gęstą gromadę, przybierały z oddali barwę czarniawą. Niziutko, w dolinie, wśród szczelin skalnych dołatywał z oddali łagodny szmer strumyka. Gdzieniegdzie widniał szmat uprawnej ziemi i domki rozrzucone po stokach góry.

Wokoło cisza głucha. W głębokim milczeniu szybowałem po stromej, ale twardo ubitej drożynie. Lesiste góry rozciągały się przedemną w wspaniały amfiteatr, a szczyty zdawały się uciekać w miarę jak się do nich zbliżałem...

Naraz droga przestała spinać się w górę — stała się równa i gładka jak po stole. Tem raźniej i weselej szła mi jazda.

Pełen dobrych myśli spieszyłem co rychlej, gdy wtem... droga urywa się, kończy nagle u stóp olbrzymiej skały przy której stoi kilku wysokich, barczystych, tęgich robotników i wali w nią młotami...

Z boku po prawej ręce szemrał dziki strumyk górski, a nad nim unosił się drewniany mostek. Za mostem ciągnęła się nędzna drożyna wiodąca w las, w bok od niej wiodła ścieżka przez góry.

— K..., K..! — wołałem zrozpaczony nie umiając inaczej rozmówić się z ludźmi, którzy z powodzi słów francuskich jakie jednym tchem wypowiedziałem nie zrozumieli niczego.

Robotnicy patrzyli na mnie jak na raroga. Wreszcie jeden z nich wskazał mi ręką mostek, a potem skalistą ścieżkę, mówiąc coś po niemiecku.

Dziwne spotkanie.



Byłem u wuja na wsi. Zdawało mi się, że porzuciwszy szkołę, uwolniony nagle od wysiadywania godzinami całymi w dusznej klasie, od „kucia“ rysopisu psa, kota, krowy, ryby i lichu wie czego jeszcze — jestem teraz najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Wuj pozostawiał mi zupełną swobodę: „idź dokąd chcesz, byleś rozumnie uważał na siebie i wrócił do domu“ — mawiał.

Uganiałem tedy po kniejach, borach, łąkach, pełną piersią oddechałem świeżem, pachnącem, majowem powietrzem. Wciągałem precudną woń ziół, krzewów, lasu. Wyśledzałem legowiska sarn i zajęcy.

Razu pewnego, przeszedłszy bór dostałem się do brzegu rzeki. Było to zupełne pustkowienie. Nie tylko wsi, ale nawet pół uprawnych nie było w pobliżu. Wiatr szumiał w wysokich burzanach, wierzby i brzozy chyliły się nad wodą. Zmęczony usiadłem na ziemi przemyślając o tem, czy też trafię do domu i czy zdążę przed nocą.

Patrzę nad wodą jakby się coś poruszyło i znikło. Wyteżyłem wzrok, po chwili ukazało się na wodzie opodal brzegu dziwne zwierzę, gryzoń widocznie, bo przednie zęby były tak wielkie, że paszczyka zamknąć się przez nie nie mogła. Przednie łapy trzymało spokojnie złożone pod głową, tylnymi pływało a sterowało ogonem pokrytym twardą, silną skórą, a nie sierścią jak całe zwierzę. Po chwili zwierzę tuż przy brzegu dało nurka, znikło pod wodą a za parę chwil ukazało się na lądzie, gdzie wyskoczyło jak suseł z dziwnej lepianki, która stała opodal. Nie była to ani chata, ani kopiec, ani kretowisko, coś jakby bardzo prosty, z gliny zlepiony, wiejski, starodawny, polowy piec piekarski.

Widocznie odkryłem coś o czem w okolicy nie wiedziano wcale. Podeszłem bliżej ostrożnie, zwierzę wypłoszyło się mimo całej mojej przezorności i znikło w lepiance. Zobaczyłem je jednak z bliska, przypominał mi się obrazek z mojej szkolnej zoologii, teraz poznałem je — to bóbr!

Rzeczywiście gdyby nie obrazek, nie byłbym go poznał. Dziwna rzecz, uczyłem się zoologii, a nigdy mię bóbr nie zainteresował ani na chwilę, teraz odrazu zająłem się nim, zaciekałem, uczułem chęć podpatrzenia go. Zresztą był już spłoszonym więc nie ryzykując niczego, zbliżyłem się do miejsca na którem stała dziwna lepianka i przyjrzałem się jej uważnie. Stała niemal we wodzie. Całe dno było wilgotne. Jakże to być może? Powierzchnia rzeki leżała niżej od podnóża lepianki, a jednak woda z lepianki nie odpływała. Przyjrzawszy się bliżej zobaczyłem na brzegu rzeki wał wzniesiony we wodzie, który wodzie na około lepianki będącej zagradzał odpływ do rzeki. Wał składał się widocznie z pali nie obciosanych, ale obranych z kory, wbitych do ziemi, między palami powkładane były mniejsze gałązki, a wszystko zalepione starannie gliną. Zdjąłem buciki, podeszłem do lepianki. Także była z drzewa i gliny, zajrzałem do środka, były tam jakby dwie izby sklepiene, jedna większa, wysypana trociną, druga mniejsza napełniona gałązkami, korą, korzeniami, roślinami.

— Spiżarka, skład lub coś podobnego — pomyślałem sobie.

— Ale gdzież bóbr, który przedemną uciekł do tej lepianki?

Bobra nie było ani śladu. Podwinąłem rękaw i włożyłem rękę do lepianki, obmacałem uważnie całe dno. W jednym miejscu dna brakło, była tam otchłań wodna. Czyżby to był kanał

do rzeki? Spojrzałem ku rzece. Rzeczywiście zmykał poniej bóbr.

— Dobry budowniczy! — pomyślałem sobie, czekałem długą chwilę. Powrotu bobra nie mogłem się jednak doczekać.

Zabrałem się więc do odwrotu uradowany, że pierwszy w domu wuja odkryłem stosunkowo nie daleko położoną siedzibę bobrów.

Wrzos.



CZARODZIEJSKIE KOŁO.



Jedno koło na pięcioro dzieci — to rzeczywiście za mało. Przyniósł je Janek do ogrodu i początkowo uganiał się i toczył je po wszystkich ścieżkach. Potem spotkał Stacha i naprzemian biegli za obręczą. Zobaczyli potem Marylkę, Zosię, Kazia, wszyscy przyłączyli się do nich i zaczęli się namyślać jakby się bawić?

— Najlepiej podzielmy się na dwie partye, stańmy po obu stronach placu. Będziemy toczyli obręcz do siebie; kto celniej skieruje, ten wygra.

— Albo tak zrobimy: Potoczmy obręcz i potem raz, dwa, trzy — w bieg na wyścigi, kto ją złapie...

— Nie! Najlepiej posłuchajcie mnie — rzekł Stach — Pokażę wam czarodziejską sztukę.

To mówiąc, poustawiał dzieci rzędem.

— Stójcie tu i nie ruszajcie się z miejsca, ani na krok. Ja stanę tam pod drzewem i potoczę ku wam obręcz. Kto ją złapie, będzie chwat.

— Wielkie rzeczy!

— Co mi za sztuka! — wołały dzieci.

— Zobaczycie! — rzekł wesoło Stach pewnym siebie głosem. To mówiąc, podbiegł pod wskazane drzewo, ujął obręcz prawą ręką i rzucił ją śmiało.

Obręcz potoczyła się chyżo w stronę oczekującej gromadki. Pędziła prosto na Zosię i już, już miała uchwycić ją dziewczynka w wyciągniętą rączkę — gdy obręcz wymknęła się i wróciła pośpiesznie do Stacha.

— Cóż się to stało?

— Jakim sposobem?

— Przecież jej nie dotknęłam jeszcze?

— Mówiłem wam przecież, że to jest czarodziejskie koło, ono zawsze do mnie wróci — wyrzekł z tryumfem Stach i puścił koło raz jeszcze.

Koło potoczyło się równiutko, biegło w stronę Kazia, lecz zanim chłopak zdołał je uchwycić, zmieniło kierunek biegu i powróciło do Stacha.

— Grzeczne, posłuszne, dobre koło! Idź jeszcze do Janka, ale pamiętaj, wróć zaraz do mnie!

To mówiąc, potoczył Stach koło w stronę Janka, a koło znowu wróciło.

— Co to być może! — zawołał Kazio. Porwał koło i rzucił je. Szło prosto przed siebie, daleko, daleko, aż upadło gdzieś w trawie.

Każdo z dzieci próbowało rzucić obręcz czarodziejskim sposobem Stacha, ale żadno nie potrafiło. Wreszcie Stach sam sposób swój pokazał.

Ujął koło u góry i mocnym a nagłym ruchem ręki skreślił je w miejscu ku sobie. Tak, że obręcz powinna się była kręcić w przeciwną stronę, niż ją miał potoczyć i musiała koniecznie oddalać się od dzieci.

Ale równocześnie nadał jej Stach i inny ruch:

Nie tylko skreślił ją w miejscu, ale popchnął także w stronę dzieci. Obręcz więc wykonywała odrazu dwa zupełnie odrębne ruchy, tak jak ziemia, która kręci się naokoło siebie i wędruje za słońcem. Obręcz wciąż wirowała, kręciła się naokoło siebie, a równocześnie poszła kawałek naprzód, niedaleko jednak, bo Stach ją lekko wprzód rzucił. Gdy zabrakło jej już siły do dalszego biegu wprzód, nie zakołysała się, nie upadła — jak to zwykle bywa — teraz dopiero ruch jej wirowy, którego na pozór widać nie było dotychczas, nie dozwolił spocząć obręczy, ale nadał jej przeciwny kierunek. I obręcz, która dotychczas szła wprzód, skierowała się w tył.

Czarodziejska ta sztuka nie wymagała żadnych czarów, żadnych cudów których niema w przyrodzie — a jednak ileż to zjawisk zupełnie naturalnych i wytłómaczalnych przybiera czarodziejskie szaty dla tych, którzy zrozumieć ich nie umieją?

Z Japonii.

W „Rodzinie i szkole“ znajdujemy następujące szczegóły z życia dzieci japońskich, ciekawe dla naszych czytelników.

„Dzieci japońskie“ nie znają kary. Można wzdłuż i wszerz całą Japonię przejechać, a nie usłyszeć ani uderzeń różgi, ani odgłosu policzka. Dawniej w szkołkach elementarnych, których pełno jest w kraju chryzantem, było we zwyczaju, że nauczyciel

za poważne przewinienia uderzał dzieci trzy razy rolką tekturową. Takie bicie sprawiało wiele hałasu, ale nie wyrządzało żadnej krzywdy małym winowajcom. Lecz i ten rodzaj chłosty w najświeższym czasie zniesiono. Zresztą w Japonii nie bardzo dba się o natężoną naukę. Jednego tylko nie przebacza się dzieciom: jeżeli okazują brak zamiłowania do zabaw swego wieku odpowiednich na daną porę roku.

W Japonii zabawy dziecięce są mniej więcej takie jak u nas. Chłopcy i dziewczęta bawią się w piłkę lub tennis, puszczają la-tawce, budują bałwany ze śniegu i lubują się w lalkach. Zważyć jednak wypada, że każda pora roku i każdy miesiąc prawie, ma swój właściwy rodzaj zabawy.

Lalki mają swoje specjalne święto, swoje urodziny, które są czemś w rodzaju ceremonii religijnej. Znosi się je do najpiękniejszej komnaty mieszkania, składa się dla nich podarki i hołdy takie, jakby to były posągi przodków. Te lalki są nietykalne, a wyobrażają cesarza, cesarzową, bohaterów i tancerzów słynnych. Lalki małych chłopców mają wygląd więcej wojowniczy, ubrane są w mundury generałów starożytnych i obchodzą imieniny. Figurki te są bardzo czczone przez dzieci. Żadne z nich nie odważyłoby się zepsuć lalki, aby zobaczyć, co się wewnątrz niej znajduje.

W sprawie teatru.

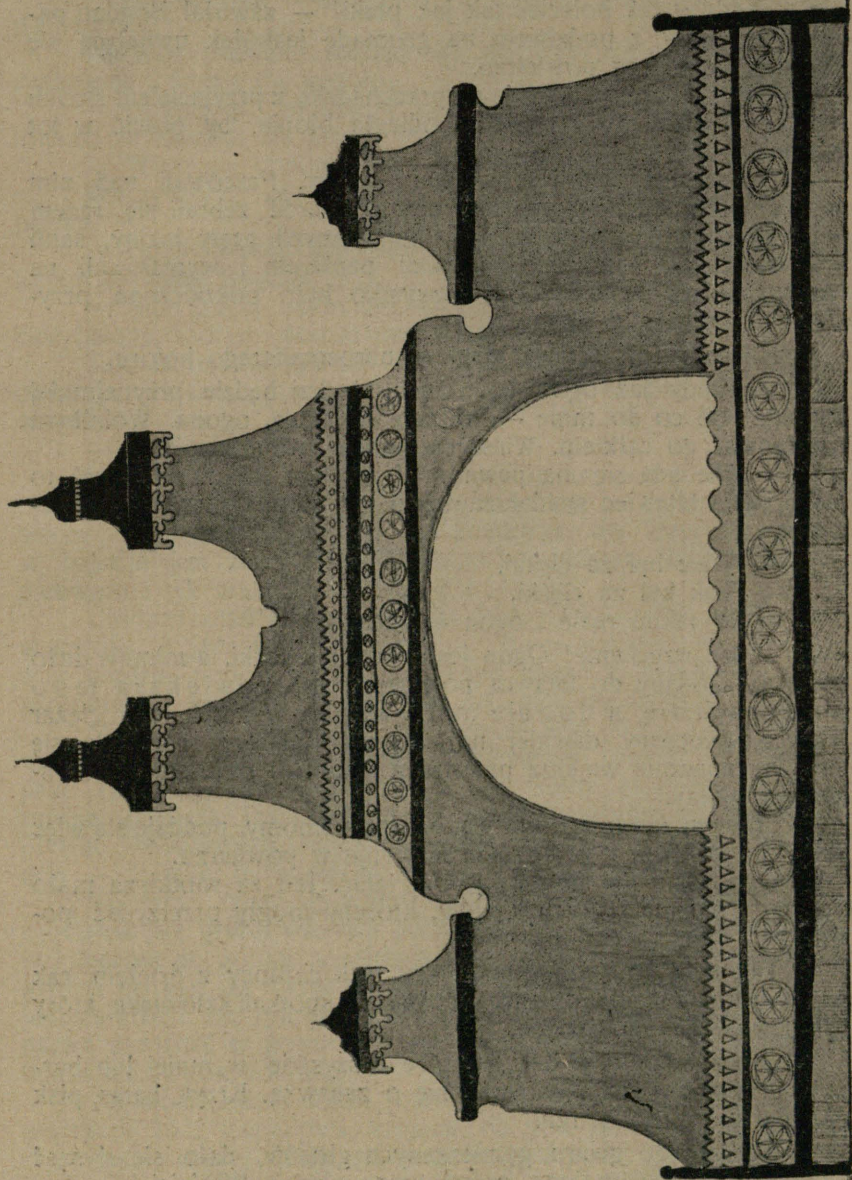
Kochany Promyku!

Bardzo się cieszę, że już teraz mogę spełnić życzenia Wicusia. Bo teraz mieliśmy więcej wolnego, więc ciągle myśleliśmy o teatrze. Staś chodził, myślał, rysował, kreślił, aż wreszcie wyrysował ten plan, który przesyłam. Masz słusność Wicusiu, że łatwiej z tekturki takie rzeczy robić. My też postanowili, że cały teatr będzie z tekturki, a tylko podstawa i może jeszcze niektóre inne rzeczy z drzewa. Tę ścianę przednią, albo wytniemy z jednego kawałka, tak jak tu narysowane i potem ozdobimy, albo też osobno zrobimy wieżyczki, wygięte trochę i o trzech ścianach (bo tylnej nie potrzeba). Wszystko będziemy zlepiać klejem, albo też, jak można, wycinać z jednego kawałka i wogóle będziemy sobie radzić jak się da. Ale przedtem wszystko dokładnie wyrysujemy i obliczymy, aby wszystko się składało i było jak najmniej roboty. Pan Tadeusz nam przy tem pomoże. Potem pomalujemy ściany, albo oblepimy kolorowym papierem i wyrysujemy barwne ozdoby. Wkrótce wakacje, będziemy mieli dużo roboty cudnej! Kiedyindziej napiszę znowu, jak będzie wyglądał tył teatru i o rozmaitych innych rzeczach.

Serdeczne pozdrowienia

Serwus

Józef Gajek.



PTASIM LOTEM!



dyby też polecieć tak jak ptaki! — zawołał Bogdan patrząc z podziwem na gromadę jaskółek uwijającą się chyżo w powietrzu.

Szedł właśnie na przechadzkę z przyjacielem swoim i kolegą Józkiem. Mieli pójść na odległe błonia, by puścić w lot latawca.

Był to duży latawiec własnej roboty. Pracowali nad nim społem przez dłuższy, przeciąg czasu, ilekroć zebrali się razem w chwilach wolnych od nauki. Sami narwali pręty łożyny, sami zbili deszczułki, sami skleili latawca papierem i wymalowali na nim wspaniałą gwiazdę. Gdy wszystko było pokończzone, przystąpili do zrobienia ogona.

Nagromadzili skrawki papieru narozmaitszego koloru.

— Kiedy już ogon być musi, niechaj będzie przynajmniej barwny. Ale co do mnie — strasznie nie lubię, ogona. Wolałbym wyrugować go całkiem. Wiesz co, może spróbujemy?

— Nie uda się na pewno. W zeszłym roku próbował to Miecio, ale latawiec spadał zawsze i nie mógł unieść się w powietrze.

— Więc był za ciężki.

— Tak był za ciężki.

— W takim razie i ogon nie pomoże?

— O przeciwnie! Ogon jest ogromnie lekki, a zajmuje dużo miejsca. Dodany do latawca powiększa go, powiększa jego powierzchnię, a dodaje mało wagi. Wskutek tego ciężar latawca, skupiony dawniej na samymże latawcu, rozdziela się teraz na znacznie większą przestrzeń i latawiec staje się stosunkowo lżejszy.

Przytem ogon latawca jest bardzo ruchomy, poddaje się więc wszelkim prądom powietrznym i steruje w powietrzu.

Ogon sam nie mógłby jednak latać. Jest za wiotki, za mało oporny i nie ma ostrych kantów, któreby mogły przerzynać powietrze.

Tak tedy po skończonej pracy, szli chłopcy z dziełem rąk własnych na odległą polankę. Po drodze spotkali człowieka, który sprzedawał balony gazowe.

Otoczył go tłum dzieci, które wszystkie w mniej lub bardziej grzeczny sposób napierały się o zabawkę. Krzyk, hałas, pisk rozlegał się w powietrzu.

Wśród tego gwaru pomieszanych głosów, dało się słyszeć głośne szczekanie małego, pokojowego pieska. Właściciel psa kupił czerwony balonik i uwiązał go u obroży.

— Patrz! Patrz! — zawołał Józio wesoło.

Śmieszny to był widok zaiste. Balon rwał się ku górze, a mały, wystraszony piesek pędził co tchu, nie wiedział jak uciec przed balonem, który ciągle unosił się ponad jego głową.

Piesek czekał rozpaczliwie — a balon bujał wesoło w powietrzu.

Wszyscy stawali, patrzyli się na wybryki zrozpaczonego zwierzęcia i śmiali się wesoło.

— Uniesie go! Uniesie w powietrze! Pojedziesz piesku balonem! — zaśmiał się ktoś z tłumu.

— Wiele nie brakuje! dorzucił ktoś inny.

Rzeczywiście, zdawało się, że lada chwila balon porwie pieska.

— Gdyby piesek był mniejszy, możeby i przejechał się balonem — rzekł Bogdan.

— Albo gdyby balon był większy — czemu nie? Są przecież balony, którymi budzie podróżują.

Taki balon był zawsze marzeniem chłopców. Czytali nieraz opisy powietrznej poproży i pragnęli gorąco ulecieć kiedy pod obłoki.

— Ach balon! balon!

— Dziwna rzecz — rozmyślał Bogdan — i łódka ciężka i wozy i ławki i kotwica i ludzie i wszystko co balon ze sobą bierze — a jednak lżejszy on od powietrza, bo idzie do góry. W balonie jest mieszanina lekkiego i ciężkiego, lekkie jednak przeważa i tak unosi balon wszelkie ciężary.

Chłopcy znali dokładnie opis balonu — uczyli się o tem w szkole. A jednak balon a ptak — co za różnica! O ile latawiec bardziej podobnym jest do ptaka. Balon w powietrzu — to jak okręt na wodzie. Pcha prosto do góry, bo lżejszy.

Mały balon gazowy — gdy jeszcze jest nowy, leci w górę, w pokoju zawsze toczy się przy suficie. Skoro się nieco psuć poczyną, nie dochodzi już do sufitu, lecz w powietrzu zawisa. Za ciężki już jest by móż unieść się w górę, za ciężki, by pływać po wyższych warstwach powietrza, tak jak okręt, po wodzie — za lekki by spaść na ziemię, więc zawisł w powietrzu!

To samo dzieje się z prawdziwym, dużym balonem. Ziemia otoczona jest grubą warstwą powietrza, ale żaden balon nie dotarł jeszcze do górnej powierzchni tej warstwy, żaden nie pływał jeszcze po niej jak okręt po wodzie, bo tak lekkiego balonu nikt jeszcze zrobić nie potrafił. Choćby najlepiej zrobiony balon musi gdzieś zawisnąć w powietrzu, wyżej lub niżej tak jak nadpsuty balon gazowy w pokoju.

Nawet najlepszy balon to nie okręt, który mknie po falach — ale raczej łódź torpedowa, kryjąca się pod powierzchnią wody.

Jakże inaczej wzbije się latawiec pod górę! Latawiec to tak jak ptak — nie dlatego lata, że lżejszy od powietrza — ale dlatego, że się rusza. Ptak ciężki jest — gdyby spoczął na chwilę zawisnąwszy w powietrzu, zaraz upadł by na ziemię. Ale

ptak się rusza, bije skrzydłami w powietrze, robi wiatr — i wiatr ten go unosi.

Ptak w powietrzu — to jak ryba we wodzie. Płetwami bije we wodę i tworzy prąd który ją porywa. Tak samo czyni ptak. Ponieważ tylko bardzo silny prąd powietrza zdoła go porwać za sobą, przeto skrzydła ptaka są sztywne i muszą być silne i większe znacznie od ptasiego ciała.

Latawiec podobny jest do ptaka, tylko że sam przez się ruszać się nie umie. Chłopcy biegając z latawcem, nadają mu ruch — i ten ruch, który tworzy zarazem powiew wiatru — unosi go w górę. To jednak na długo nie wystarczy. Jeżeli by latawiec natrafił na zupełnie spokojne warstwy powietrza, nie utrzymałby się, lecz przeciwnie upadłby na ziemię. Jeżeli natrafi zaś na lekki wiaterek — a najczęściej wysoko w powietrzu zawsze krzyżują się wiatry, wtedy leci najlepiej.

Chłopcy ze swej strony nigdy nie trzymają sznura spokojnie ale targają nim miarowo i tem samem ruszają latawcem pomagając mu do lotu.

Bogdan i Józio puścili swego latawca, który wzbił się wysoko.

— Wolę latawca od balonu! — zawołał Bogdan z zachwytem. Chciałbym uczepić się latawca i ulecieć w powietrze.

— Wiesz co?! Zbudujmy ogromnego latawca — tak wielkiego, żeby nas mógł unieść!

— Czy to możliwe?

— Owszem. Słyszałem, że budują maszyny latające.

— Balony?

— Nie balony, ale latawce.

Widziałem u tatusia rozmaite obrazki takich maszyn do latania. Lot takiej maszyny jest naśladownictwem lotu ptaka. Idzie o to, aby maszyna miała możliwie wielkie skrzydła, albo inny przyrząd do robienia wiatru i aby wiatr ten był tak silny, żeby mógł porwać z łatwością ze sobą cały ciężar maszyny i podróżnika.

O takich maszynach do latania marzą ludzie od dawna. Już słynny malarz włoski, Leonardo da Vinci snuł projekt pierwszej takiej maszyny. Ale jakież olbrzymie piętrzą się trudności w wykonaniu tego planu! Jakąż olbrzymią siłę potrzeba, by ruch skrzydeł potężnej maszyny spowodował taki przewiew powietrza, który mógłby zrównoważyć i przeważać ciężar aparatu.

Zrobiono mnóstwo modeli. Jeden z tych latawców miał olbrzymie skrzydła płócienne, rozpięte na bambusowej ramie. Skrzydła te osadzone były na długich tykach, skupionych u dołu w łodzi, w której siedzieć miał podróżny. Podróżny miał ruchem ręki skrzydła poruszać. Rzecz oczywista, że siły człowieka nie wystarczają do skutecznego wprawienia w ruch tak ogromnej maszyny.

Inny latawiec miał zupełnie kształt ptaka. Ciało ptaka — to olbrzymia łódź, w której znajduje się wygodne siedzenie dla 2

podróżnych i motor parowy. Motor wprawia w ruch olbrzymie skrzydła. Zamiast głowy widnieje żagiel, zamiast ogona — ster ogoniastego kształtu. Nawet o nogach nie zapomniał pomysłowy wynalazca, zamiast nóg umieścił 2 koła. Łatwo wyobrazić sobie jak niezwykle trudno taka olbrzymia i ciężka maszyna wzbić się musi w powietrze. Wszak i u ptaka wzlot, pierwszy ruch jest najtrudniejszym, bo wtedy sile ciężkości i przyciągania ziemi nie przeciwstawia się jeszcze porywający w górę prąd powietrza. Większe i cięższe ptaki w pierwszej chwili podskakują w górę. Maszyna także musi wziąć pewien rozpęd. Więc też szybko, za pomocą kół toczy się po ziemi i dopiero gdy rozpędzona, wytworzy już pewien prąd powietrza — poczyną ruszać skrzydłami i unosić się w górę.

Trudno opisywać li tylko słowami wszystkie maszyny do latania, jest ich ogromnie wiele, najrozmaitszego kształtu. Żadna jednak nie jest tak dobrze zbudowaną, by móżdż śmiało szybować przez powietrzne przestworza. Dużo jeszcze czasu upłynie zanim będziemy mogli odbywać bezpiecznie napowietrzne wędrówki.

Wynalazcy maszyn do latania muszą pracować głównie w tym kierunku, by latawce były stosunkowo jak najlżejsze i by móżdż nimi śmiało kierować. Latawiec powinien iść nawet i przeciw wiatrowi, jak łódź przeciw prądom wody idzie, jeżeli sternik tego chce.

Punkt ciężkości latawca musi być położony jak najniżej — tak jak i w łodzi. Żadno kołysanie wiatru — podobnie jak i kołysanie fali nie powinno wychylić go z najniższego położenia. W przeciwnym razie łódź obruci się dnem do góry — i latawiec też się przechyli — więc wędrowcy wylecieliby zeń niechybnie.

E. B. L.



Odpowiedzi od Redakcyi.

Guści i Salci G. z Krakowa. Listy Czytelników naszych nigdy nas nie „nudzą“, przeciwnie, Promyk cieszy się bardzo, gdy do niego piszecie. Nie możemy wszystkich zagadek drukować, chyba w takim wypadku, gdybyście zgodzili się na to, by w Promyku nic prócz zagadek nie było.

Szkoda, żeście słowa „pyton“ nie odgadły! Promyk z pewnością poszle Wam nagrodę, tylko odgadnijcie wszystkie zagadki. Naturalnie, że choćby jedno słowo było zmienionem, ale dobrze dobraćem do zagadki i określenia, to uważamy rozwiązanie za dobre.

Jaś R. w Drohobyczu. Bardzo nas cieszy miły liścik Jasia. Promyk prosi, by Jaś przy wolnym czasie częściej do niego pisywał. Pismo Jasia, jak na ucznia II klasy, wcale nie brzydkie, a rozwiązanie zagadek wyborne. Czy Jaś umie sam tak ładnie zagadki odgadywać?

Polecamy Jasiowi do czytania piękną książeczkę Selmerowej p. t. Nad dalekim cichym Fjordem. Czyby siostrzyczka Jasia nie chciała jedno z tych prześlicznych opowiadań, o których Jaś pisze, Promykowi posłać? Promyk

by to wydrukował, a wszystkie dzieci by czytały. Jaki adres tej siostrzyczki? poszlemy jej „Promyk“.

Różowa Różyczka w Krakowie. List spóźnił się, tak, że w nrze 9-tym nie mogliśmy dać odpowiedzi. Cieszył nas bardzo. Do urodzin, choć spóźnione, ale nie mniej serdeczne, zaszliśmy życzenia, jak również do egzaminu. Promyk wyczekuje niecierpliwie odwiedzin Różyczki i cieszy się na nie bardzo.

Ocenę książeczek, które w ostatnim czasie do redakcji „Promyka“ nadeszły — podamy w następnym numerze.



Rozwiązanie zagadek z Nr. 9:

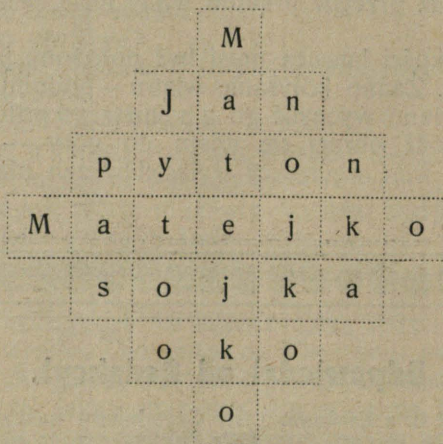
FIGIELEK

Zając siedzi podczas deszczu pod mokrem drzewem.

REBUS

Lwią głowę zdobi grzywa.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSTAŁOWA:



Rozwiązanie zagadek nadesłali:

Guścia i Salcia G. z Krakowa, Jaś R. z Drohobycza, Jadzia B. z Krakowa, Janina S. z Tarnowa, Aleksandra G. ze Lwowa, Biała Lilijka ze Lwowa, Adaś M. z Przemyśla, Wańdzia M. S. z Wiednia, Helena G. z Borka szlacheckiego, Lorcja i Brońcia N. z Tarnopola, Marya S. z Niżborga, Stanisław G. ze Złoczowa i Adaś B. z Bolechowa.

Niektórzy z czytelników nie mogli odgadnąć nazwy węża, myśląc zapewne, że to jest nazwa zoologiczna. Pyton, to potworny wąż z mitologii greckiej, podobnie jak u nas smok wawelski. Wedle greckiego podania żył on w skalnych rozpadlinach Parnasu, a pokonał go bóg grecki, Apollo.

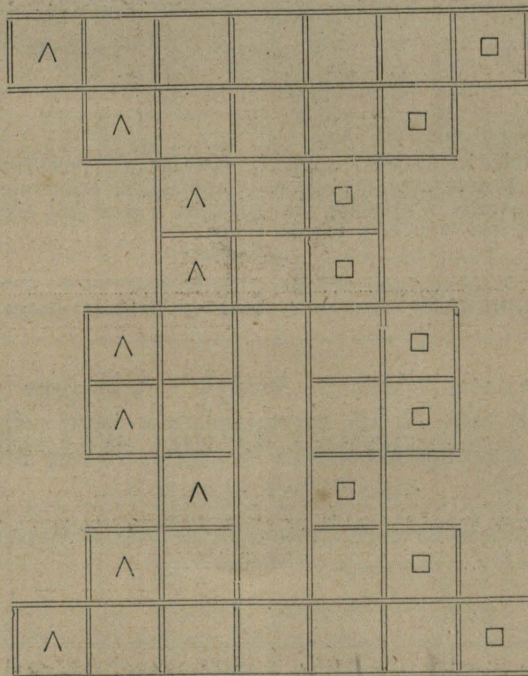
Jeden z czytelników naszych zamiast „pyton“ napisał w rozwiązaniu „żmija“ skutkiem czego całe rozwiązanie stało się mylnem. Nagrodę posyłaamy Jadzi Bujwidównej z Krakowa, - która ładnie i starannie zagadki rozwiązała.



Z a g a d k i.

ŁAMIGŁÓWKA

ułożona przez Guścię i Salcię G. z Krakowa



Litery w miejscu kątów dadzą imię — w miejscu kwadracików nazwisko znanego nam przyrodnika polskiego.

Znaczenie wyrazów:

1. Uczący się bez obcej pomocy.
2. Członek narodu koczowniczego.
3. Tytuł turecki.
4. Zaimek.
5. Ptak.

6. Kanał.
7. Dwie spółgłoski.
8. Góry w Ameryce.
9. Młyn.

SZARADA

nadesłana przez Huga L. z Meranu.

Drugie z pierwszym to jest trzecie
Trzecie z pierwszym wy to wiecie
Całość łatwo odgadnięcie
Żyje w lesie, w zimie, w lecie.

ZAGADKA

nadesłana przez Leona M. ze Stanisławowa.

Które zwierzęta sprawiają turkot gdy się je stawia obok siebie?

ZAGADKA SYLABOWA

ułożyła Lilijka M. ze Lwowa.

Z poniżej podanych sylab ułożyć urywek znanego poematu.

Sło — znał — wa — nie — dzież — na — go — lo — się — cu — o — nia — stu — wie
— zmu — ła — mło — nie — go — zda — my — po — raz — je — znał — ga — po — bo — śli
— woj — je — dzia — nia — nie — piej — ski — mło — strym — wszy — o — nikt — koń —
się — wa — wśród — wych — nia — dział — go — chał — ży — o — nie — choć — nie — za
— zda — bo — le — od — nie — po — nie.

W nagrodę za trafne i staranne rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy pudełeczko zabaweczek japońskich, misternie zrobionych z rdzenia drzewnego. Wyglądają jak guziczki, a rozwijają się w rozmaite figurki i kwiatki po wrzuceniu ich do wody.

Pozostały nam zapas kalendarzy „Promyka” sprzedajemy po znacznie
*** niższej cenie 20 hal. za egzemplarz w naszej redakcyi. ***
*** Wraz z przesyłką pocztową kosztuje egzemplarz 30 hal. ***

PRENUMERATA WRAZ Z PRZESYŁKĄ WYNOŚI:

W Austrii rocznie 2 K, półrocznie 1 K, kwartalnie 50 hal. — W Królestwie
w kopertach 4 ruble. — W Niemczech 2 marki. — W Francyi i w Szwaj-
caryi 5 franków. — W Ameryce 1 dolar.

———— Numer pojedynczy 10 halerzy. ————

Wydawczyni i odpowiedzialna redaktorka: **Jadwiga Czajkowska.**
Drukarnia Udziałowa we Lwowie, ul. Kopernika 20.

PROMYK



PISMO ILUSTROWANE DLA MŁODZIEŻY I DZIECI
WYCHODZI 1. i 15. KAŻDEGO MIESIĄCA.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, Miłkowskiego 11.

FILIA ADMINISTRACYI: KRAKÓW, GRODZKA 50.

EDWARD de PERRODIL.

Z Papyża do Wiednia na kole.

(ZDARZENIE PRAWDZIWE).

(Z francuskiego).

(Ciąg dalszy).

Scieżka moja wąska i niemiła prowadziła mię między skały. Od miejsca do miejsca przerywaną była schodkami z drewna lub z kamienia. O jeździe nie było mowy; wziąłem koło na barki i rad nie rad musiałem gramolić się na górę. Przedemną z prawej strony rozciągała się straszna przepaść. Kurczowo chwytałem się lewą ręką skały i szedłem tak ostrożnie, bojąc się spojrzeć w otwartą czeluść. Ogarniał mię lęk straszny: „byle nie spaść! nie spaść!”

Wszedłem tak wreszcie na szczyt. Wspaniała zieleń woniącej łączki ukazała mi się przed zdumionym wzrokiem. Łączka

wydała mi się ogrodem czarodziejskim, zamkniętym wśród srogich skalnych ścian.

Z łączki tej z sześciu stron prowadziło sześć dróg.

Pewien drwał z żoną wyszedł właśnie z jedyne go na miejscu szałas.

— K...? — pytam go pokazując na drogi.

Drwał spojrział na mnie, wzruszył ramionami, pokazał obojętnym gestem jakąś drogę i poszedł dalej.

Byłem całkowicie zbłąkany! Droga wskazana mi przez drwała szła po przeciwnym stoku góry. Wskoczyłem na koło i pędziłem co tchu. Czy jednak jestem na dobrej drodze? Czy drwał nie zwiódł mnie? Czy zrozumiał o co go pytałem?

Maszyna moja pędziła jak strzała po pochyłej ścieżce. Pędziła bezwładnie sama przez się. Musiałem ją niekiedy wstrzymywać, bo kamienie staczały się z pod kół. Nastąpiło południe, głód począł mocno dawać mi się we znaki.

— K...! K...! — wołałem zrozpaczonego głosem i gestem, pytając błagalnie pierwszego spotkanego człowieka.

— K...! ależ pan się oddałeś, to tam, — wskazał na drugi stok góry którą przejechałem był właśnie.

Pojechałem we wskazanym kierunku. Mnóstwo dróg, dróżyn i ścieżek krzyżowało się wszędzie. Od czasu do czasu przechodzień jakiś wskazywał mi właściwy kierunek.

A jednak byłem zbłąkany — kompletnie zbłąkany! zgubiony może? Spojrzałem na zegarek. Od czterech i pół godzin błąkałem się już po lesie! Głód, pragnienie i trwoga męczyły mnie okrutnie. Biegłem to tu to tam w czarnej rozpacz.

Wtem nagle, straszny widok roztoczył się przed moim wzrokiem: droga moja kończyła się, dalej płynął strumyk, a za nim stała olbrzymia skała, w którą uderzało młotem kilku rosnących, silnych, barczystych robotników... Powróciłem raz jeszcze na to samo miejsce!...

Nie namyślając się długo, zwróciłem się w kierunku drogi, którą zrana w miasteczka O... przebyłem...

Wstąpiłem do pierwszej lepszej gospody. Rozmówiwszy się na migi, kazałem sobie podać posiłek, a widząc że służąca poszła do kuchni, udałem się za nią i tam zaglądawszy do garnków, wskazywałem palcem, z którego ma mi podać strawę. O dziesiątej z rana mieliśmy być w Stuttgarcie, — teraz już czwarta wieczorem. Pytam o drogę do owego tajemniczego K..., do którego od rana dotrzeć nie mogę. Mały chłopak wybiegł za mną i pokazał mi właściwą drogę.

Pożegnawszy malca, puściłem się strzałą. Szosa była wspinała, szeroka, przecudna. Prowadziła przez las, ale tym razem nie rozgałęziała się nigdzie, więc nie obawiałem się wcale świeżych niespodzianek! W niektórych miejscach szła droga tak pod górę, że musiałem chodzić pieszo.

Od czasu do czasu spotykałem ludzi. Tu robotnik, tam drwal, tam wieśniak. Pytam wszystkich, czy dobrze jadę i dostawałem zawsze odpowiedź potakującą.

W krótkie wszedłem na szczyt góry. Droga poczęła schodzić po stoku góry, więc co tchu popędziłem na żelaznym rumaku moim.

Minąłem K..., minąłem kilka innych wsi i miasteczek — towarzyszy moich ani śladu!

Późnym wieczorem przerwałem jazdę. Z wielkim trudem i rozpaczliwym wysiłkiem znalazłem gospodę i rozmówiwszy się jako tako na migi z gospodarzem, udałem się na spoczynek.

Następnego ranka o wpół do 4-tej rozpocząłem dalszą wędrowkę. Powietrze przesiąknięte było mroźną wilgocią. Drzewa, krzaki, ziemię, trawę powlekała gęsta rosa. Biała mgła zwiśla nad ziemią.

Zwolna zaróżowiło się niebo pogodnym świtem. Niebo, zrazu ciemno-błękitne, poczęło się stroić w szarawe blaski. Blask księżyca i gwiazd gasł, przyćmiewał się zwolna.

Na wschodzie ukazał się olbrzymi łuk białawego światła a wkrótce później poczęły w nim igrać opalowe błyski, coraz jaśniejsze, różowsze zwiastowanie słońca!

Zbudzone ptactwo napełniało powietrze radosnym szczeniowaniem.

Zwolna zbliżałem się do Stuttgartu. Oglądałem się — nie widać nikogo z moich. Wjeżdżam w sam środek miasta — nikogo!

Spotykam pewnego cyklistę. Na ukłon mój odpowiada bardzo uprzejmie, ale nie rozumie ani słowa z tego co mówię do niego.

Nowy mój towarzysz zaprowadza mnie do restauracji. Znalazłszy tłumacza, wyjaśniłem moją sytuację. Pokazało się, że towarzysze moi opuścili już Stuttgart. Nieznajomy cyklista obiecał telefonować i telegrafować do następnych stacyj naszej podróży.

Około pierwszej w południe spotkałem Blanquies'a?

Co za szczęście, co za radość!

— Gdzie tamci? — zapytałem.

— Ach, jakie dziwne mieliśmy przygody! Błądziliśmy trochę i nie umieliśmy się rozmówić...

— Mieliście przecież Chałupę — przerwałem.

— Ba! Chałupa! Jemu złamało się coś u koła i musiał pozostać w drodze. Dogoni nas zapewne koleją przy najbliższej stacji. Jechaliśmy czas jakiś z Wiliamem, potem wreszcie umówiliśmy się, że on pojedzie przodem szukać pana, o ile nas wyprzedziłeś, a ja zostanę w tyle i złączę się z Chałupą.

Gdy tak rozumowaliśmy, zajechało koło nas dwóch cyklistów.

— Perrodil? — zapytał jeden z nich, patrząc na nas badawczo.

— Tak! tak!

Byli to dwaj niemieccy cykliści, którzy wyjechali na nasze spotkanie. Zaprowadzili nas do najbliższego miasteczka, gdzie spotkaliśmy się z Chałupą.

Wyliczyliśmy, że Wiliam nie przybył jeszcze do granicy austriackiej, to też zatelegrafowaliśmy do miasta granicznego, aby zaczekał tam na mnie.

* * *

Po krótkim odpoczynku puściliśmy się wieczorem w dalszą podróż, wtem — na jednej z głównych ulic miasta natrafiło mi koło na kawałek stłuczonego szkła i guma się przedziurawiła. Blanquies zaofiarował mi swoje koło, a wziąwszy moje do naprawy, obiecał dogonić nas koleją w Monachium.

Noc zapadła czarna, droga była ohydna — same wyboje i kamienie.

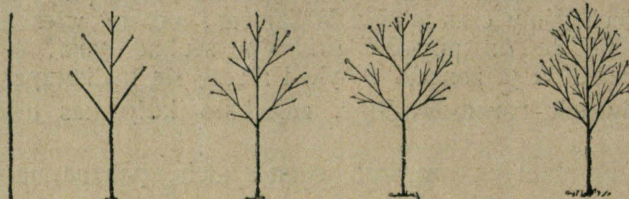
Przenocowaliśmy w małej, prymitywnie urządzonej gospodzie. Zbudziłem się zziębnięty, zmęczony. Nie miałem prawie odwagi ubrać się i wsiąść na koło. Po raz pierwszy jazda bicyklem wprawiła mnie w rozpacz. Droga była ohydna a przytem nie miałem swego koła, do którego byłem już przywykł. Bicykl trząsł się po wybojach i podrzucał mną jak piłką. Na dobitek złego skaleczyłem się w prawą nogę. Jakże chętnie dokończyłbym podróży w przedziale kolei żelaznej — ale dobry, poczciwy Chałupa podtrzymywał mnie na duchu.

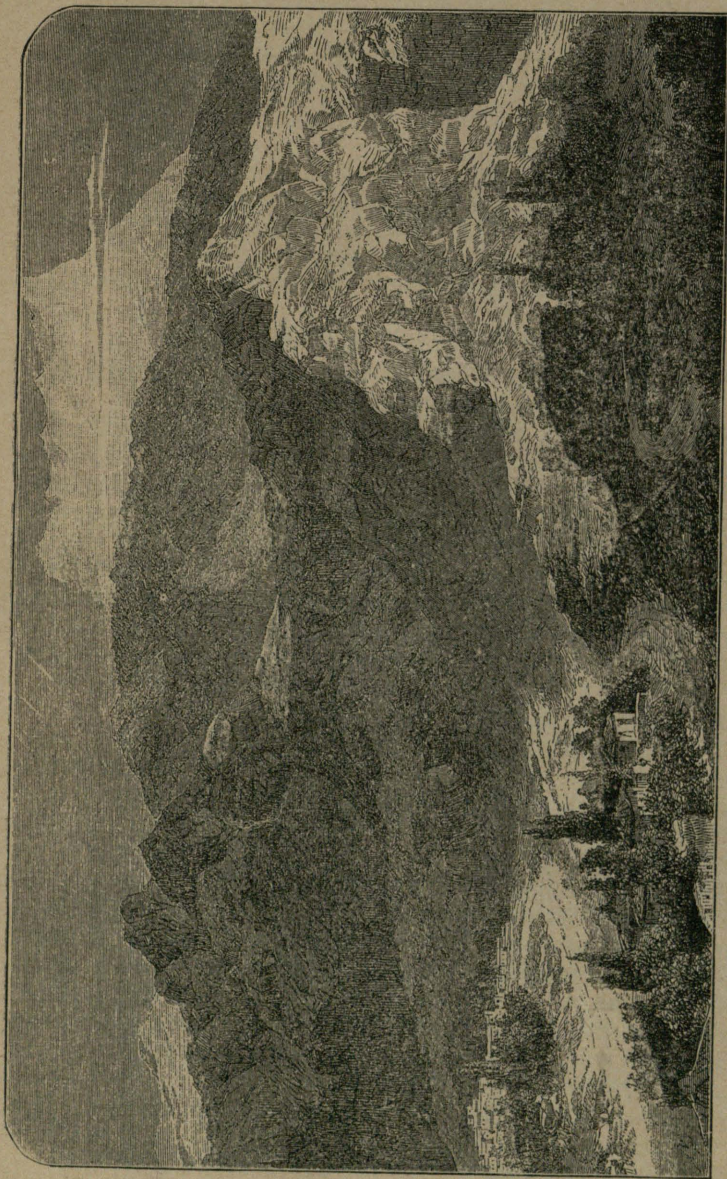
Przybyliśmy wreszcie do Augsburga. Przypadkiem zajechaliśmy do tego samego hotelu, w którym wczoraj Wiliam odpoczął. Dwaj niemieccy cykliści oczekiwali już naszego przyjazdu. Nowa odwaga wstąpiła mi w duszę. Ze świeżą ochotą zabrałem się do dalszej podróży tem raźniej, że tym razem jeden z kolegów niemieckich miał nas odprowadzić aż do Monachium.

(Dok. nast.)



Ładne a łatwe rysunki.





CZATYRDAK

wspaniały szczyt górski na Krymie o którym Mickiewicz w przepięknych Sonetach krymskich mówi:
„Maszcie krymskiego statku, wielki Czatyrdahu! — O minarecie świata! O gór Padyszahu!”

NOWY NAUCZYCIEL.

KOMEDYJKA W 2 AKTACH.

Rzecz dzieje się na przedmieściu w domu państwa Liwskich.

OSOBY:

PANI LIWSKA

PAN TERLECKI — szewc.

ADAŚ

ZOSIA

STAŚ

} dzieci pani Liwskiej

AKT I.

Scena przedstawia ładny ogród przed domem.

ZOSIA (z polewaczką w rękach uważnie ogląda grządki, czasem wrywa chwast, czasem dotyka ziemi palcami).

ZOSIA (do siebie). Ślicznie rośnie. Ostatni deszcz dużo pomógł, a swoją drogą odkał mi wuj dał podręcznik do ogrodnictwa i ów proszek do użyźniania ziemi — ogród inaczej wygląda. Dobry ogród. Dziś, gdy na imieniny dla kogo potrzeba podarku, idzie się do ogrodu i zrywa kwiaty. Potrzeba warzyw do gospodarstwa — są w ogrodzie; ziemniaki — w ogrodzie. Jakaż różnica między tym a zeszłym rokiem, gdyśmy mieszkali w mieście. Wszystkiego kup. Nawet po takie rzeczy jak cebulę, pietruszkę lub szczypiorek, trzeba było iść na targ i płacić za nie po parę halerzy.

ADAŚ (wpada zadyszany, zły, zaperzony...) Zośka!

ZOSIA (prerażona). Co się stało?

ADAŚ. Ach! fe! złość człowieka porywa! To rzeczywiście oburzające!

ZOSIA. Co takiego? co?

ADAŚ. (Bierze ją pod rękę chodzą tam i napowrót po scenie, żywo gestykulując wolną ręką). Nauczyciela nam sprowadzają na wakacje! Dobra mi parada! Jeszcze lichy wie co to będzie za gderliwe stworzenie, stary pedant, a z naszych pięknych planów będzie figa z makiem. Mieliśmy zbudować teatr wedle wskazówek Józia Gajka w „Promyku“, pisać komedyjki, bajki, Stach już pisze dramat pt. „Sobieski pod Wiedniem“. Może go od razu spalić. Zjawi się wnet suchy nudziarz w okularach, gotów nawet z przechadzki zrobić nagrodę pilności!

ZOSIA. Ach! co za bieda! Ogród gotów zmarnieć gdy mię zasadzą na cały dzień do książki, a ja się już tak cieszyłam, że się dzięki mojej pracy ładnie rozwija! Czy Stach wie o tem?

ADAŚ. Od niego właśnie dowiedziałem się. On to słyszał jak mama mówiła do cioci o kimś, który nas „poduczy“ przez wakacje.

STACH (wchodzi rozczochrany, zły, przystępuje do Adasia i Zosi i pyta w przesadnej rozpaczy:) No?

ADAS (innym tonem). No?

ZOSIA (wzdychając spuszczać głowę): No?

ZOSIA. Albo oświadczamy rodzicom, że jesteśmy za dorośli, żeby bez nas o nas stanowić...

ADAS. Albo gdy ten nudziarz zjawi się, tak mu dobitnie pokażemy, że nie godzi się ludziom młodym życie zatruwać, że mu się odechce.

STACH. Albo przeczekamy pierwsze czasy, poprostu dlatego, żeby się nie nazywało, że przesadzamy rzecz z góry, że sądzymy na ślepo, że chcemy belfera wygryźć nim się jeszcze zjawił, ale po paru dniach oświadczamy rodzicom, że tak żyć nie sposób. Uczymy się chętnie, ale nie byle u kogo i nie podczas wakacji.

(Wszyscy naradzając się, nachylając co raz głowy ku sobie, szepcząc i gestykulując, odchodzą ze sceny).

AKT II.

(Z przeciwnej strony, którą dzieci wyszły, wchodzi Terlecki, mały, suchy, w okularach, wyciera kolorową chusteczką pot z czoła, w rękę ma małą torebkę podręczną, chodzi wolnym zmęczonym krokiem).

TERLECKI (do siebie). Pf! Upał co nie miara! Człowiek ledwo się wlecze! Oj! ciężkie czasy! ciężkie! Zamiast żeby ludzie potrzebujący butów do szewca przyszli, zamawiają go do siebie, a ty człeczce wleczyć się po skwarze, męcz się, Uf!

(Siada na kanapie z łozy, która stoi w ogrodzie).

— Spocznę zanim do nich wejdę! (Po chwili usypia).

(Na scenę wchodzi dzieci, spostrzegają Terleckiego, załamują ręce i z przesadnym przerażeniem jedno po drugim w rozmaite intonacji, przyciszonym głosem mówią):

Nauczyciel!

ZOSIA (przyciszonym głosem). Zmiłujcie się! Umyślmy prędko, co tu zrobić zanim się obudzi. Spadł jak grom, trzeba go się koniecznie pozbyć!

TERLECKI (porusza się, przeciera oczy, a na widok dzieci wstaje przerażony i kłania się).

(Ogromne przerażenie maluje się na twarzach dzieci).

TERLECKI (nad wyraz zmieszany tem, że go przyłapano śpiącego). Czy to tu mieszkanie państwa Liwskich?

ADAS (półgłosem do Zosi). Może by mu powiedzieć, żeśmy się wyprowadzili?

ZOSIA (tak samo do Adasia). Będzie kłamstwo — lepiej nie.

STAS (do dzieci). Trzeba z nim pogadać (poważnie do Terleckiego). Szanowny panie Profesorze!

ZOSIA (podpowiadając). Mów o lecie.

ADAŚ (tak samo). Żeśmy się przez rok cały cieszyli na wakacje.

STAŚ. Szanowny panie Profesorze! Skwar ogromny. Drzewa zielone. Zioła kwitną. Ptaki śpiewają. W pokoju wytrzymać nie można od duszności i much, nauka teraz jest męką tak samo dla Profesora jak i dla uczniów.

TERLECKI (który przez ten czas okazywał wzrastającą niecierpliwość — mówi do siebie). Kpią smarkacze!

STAŚ. Przez całą zimę czekało się tylko na to, by teraz swobody używać.

TERLECKI. Nauczę ja was naśmiewać się ze starszego człowieka!

STAŚ. Chodzi nam tylko o to, żeby pan Profesor zechciał zrozumieć...

TERLECKI (w złości). Dość już tego! I z biednego człowieka naśmiewać się nie wolno! Choć wy pańskie dzieci, a ja biedny sobie, to cóż z tego? Żem zmęczony, z tego drwicie smarkacze!? Żem pracujący ciężko?! Dość już tego powiadam (unosi się coraz bardziej). Dość, dość! Słyszycie?!

ADAŚ (zmartwiony, zdziwiony i zły do dzieci). Dobra będzie sztuka z niego! Pyszne wakacje! Winszuję!

TERLECKI. Gdzie pani Liwska? Do pani przyszedłem w interesie — poprowadźcie mnie.

(Dzieci zmieszane i przerażone nie ruszają się z miejsca, Terlecki wchodzi do domu p. Liwskiej).

(W chwili, kiedy Terlecki wchodzi do domu na poszukiwanie p. Liwskiej, ona tylnymi drzwiami wyszła do ogrodu, zbliża się do dzieci, trzyma list w ręku, zmieszania dzieci nie spostrzega).

PANI LIWSKA. Chodźcie prędko! Jest dobra i radosna dla was nowina!

(Dzieci podchodzą ze spuszczonei głowami).

Nie chcieliśmy mówić wam o tem z ojcem przedwcześnie, póki nie byliśmy pewni, że się plan nasz uda. Nie chcieliśmy narażać was na rozczarowanie. Wiecie jak bardzo martwi nas, gdy widzimy, że w ciągu roku szkolnego źle wyglądacie, wysiadujecie późno w noc nad książką, „kujecie” długo to, czegoby się prędzej wyuczyć można itd. Myśleliśmy długo nad tem, jakby temu zaradzić.

Wreszcie przyszedł ojciec na myśl, żeby udać się do pana Tadeusza, autora tylu książeczek dla dzieci, tylu teatrzyków, (znacie je prawie wszystkie) i prosić go o radę. Pan Tadeusz pragnie, żeby naukę szkolną uczynić łatwiejszą i mniej mozolną, żeby wyrugować „kucie” i jak najmniej posługiwać się podręcznikami, żeby dzieci w domu wcale zadań nie miały, żeby wogóle nauka była czemś przyjemnem a nie srogiem.

Ojciec będąc teraz w stolicy poszedł sam do pana Tadeusza i oto posłuchajcie co pisze: (czyta z listu) „Ucieszył się mną tak, jakby najlepszym jakimś znajomym, wypytywał o dzieci,

o ich wiek, inteligencyę, o to, czego i jak się uczyły. — Panie łaskawy — powiada do mnie — przyjadę sam do państwa, tak mię nęci wprowadzenie w czyn swoich marzeń. Zobaczy pan, że dzieci pańskie nie będą nawet wiedziały o tem, że się uczą, będzie to tylko szereg wycieczek i przyjemnych zajęć, a w zimie ze zdziwieniem spostrzegą podczas szkolnej nauki, że oni o tem wszystkiem już wiedzą“.

ADAS (ze zdumieniem). Pan Tadeusz!

ZOSIA (skacze i klaszcze w ręce).

STAŚ (całuje panią Liwską). Mamusiu kochana!

ZOSIA (poważniejąc nagle). Ale...

(Chłopcy też spoważnieli i stoją niepewni).

(Z domu wychodzi Terlecki, spostrzegłszy panią Liwską kłania się nisko). Całuję rączki pani dobrodziejce! (Za plecami pani Liwskiej pokazuje dzieciom kułaki).

(Dzieci rozzłoszczone).

PANI LIWSKA. Ach! to pan, panie Terlecki! Dobrze żeś pan przyszedł, czekam pana dawno, i mimo, że trudno mi dom opuścić, byłabym się do pana dziś już z konieczności wybrała.

(Pani Liwska siada na ławeczce i wyciąga nogę, Terlecki przykłęka, wyciąga z kieszeni wąski pasek papieru i bierze jej miarę na buciki).

(Na twarzach dzieci maluje się zdumienie, Zosia otwiera usta i staje osłupiała, Staś rozkłada ręce i mówi przeciągle):

— Taak?...

ADAS (skacze i na nutę mazura śpiewa:). Brawo! brawo! brawo! brawo! brawo! brawo! brawo!

KONIEC.

Widłak.



BOBRY.

Szanowna Redakcyo!



ostatnim numerze Promyka zamieszczony artykuł pt. „Dziwne spotkanie“ sprawił na mnie nader miłe wrażenie. Należę do ludzi wychowanych jak to powiadają wśród pól i lasów. I ilekroć widzę usiłowanie zapoznania młodzieży naszej z cudownymi przejawami przyrody, odczuwam prawdziwą radość. Człowiek żyje w przyrodzie, jest jej częścią, jej wytworem, cóż może być dla

niego ciekawszego i ważniejszego, niż zjawiska tejże matki-przyrody!

Artykuł mówił o bobrach. Dużo miałem w życiu sposobności do zajmowania się nimi, niech więc Czytelnicy Promyka pozwolą, że opowiem im, bądź to dostrzeżone przez siebie, bądź zasłyszane o nich szczegóły. Bobry zresztą dawniej, w czasach mojego dzieciństwa były u nas znacznie powszechniejsze niż obecnie. Wypiera je większy ruch statków na rzekach i szersze zaludnienie. Stworzenie to tak cudownie mądre i przemyślne, że żal prawdziwie, iż je ręka ludzka coraz dalej wypiera.

W jednym miejscu, w czasach mojego dzieciństwa, widziałem nad brzegiem rzeki całą, formalną osadę bobrów. Niby bobrową wieś. Chałupki łapami bobrów wzniesione, stały opodal jedna od drugiej, jedna większa, druga mniejsza. Jedna była nawet dwupiętrową. Nie zapomnę jak ogromnie dziwiło mię to, gdy mi tłómaczono, że domki te nie stanowią mieszkania bobrów, ale tylko spiżarnie i schroniska, a właściwem mieszkaniem jest podziemny chodnik, który od chałupki do rzeki prowadzi.

W dzieciństwie swoim odnosiłem się do bobrów, jakby do jakichś co najmniej pół-ludzi. Raz wpadłem do rzeki, woda nalała mi się porządnie w usta, nos i uszy. Gdy mię szczęśliwie wyciągnęli, płakałem w niebogłose trochę ze strachu, trochę ze żalu, że nie umię jak bobry zamykać we wodzie szczelnie nosa i uszów.

W naszej wsi był obrany przez gromadę stróż nocny, który nocą wieś obchodził, nad bezpieczeństwem mieszkańców czuwał i głośnem trąbieniem budził ich w razie potrzeby.

W maluchnej, lilipuciej wiosce, tuż tuż pod naszą, działa się jota w jotę to samo. Bóbr-stróż obrany przez gromadę, przez całą noc czuwał, obchodził osadę, oka nie zmrużył. Gdy najlżejszy szelest zwiastował zbliżenie się jakiego zwierza, lub człowieka, budził natychmiast towarzyszy dziwnem, szczególnem klaskaniem i bobry w mgnieniu oka chroniły się do rzeki.

Marzeniem mojem, jako małego chłopaka było przy-swoić sobie bobra. Czego też nie wyprawiałem w tym celu! Wszystko nadaremnie! Płochliwy bóbr nigdy się do mnie nie zbliżył. Dziwiło mię to bardzo, że mając tak znakomitą broń, jak jego silne, wielkie, trójsieczne zęby, któremi grube pnie przegryza — boi się mnie, bezbronnego chłopca! Taka to już widać natura wszystkich gryzoniów, że zmykają za łada szelestem!

Opowiadano mi podówczas, że w Bawarii istnieje chodowla bobrów. Ale cóż stąd? oswojonemi całkiem one nie są. Stworzono dla nich sztucznie odpowiednie warunki w jakimś olbrzymim, odludnym, prywatnym parku i żyją sobie tam, jeden z nich dożył nawet lat 50-ciu. To by mi było jednak nie wystarczało.

Nie wiedziałem podówczas jeszcze, że co nie udało się żadną miarą Europejczykom, to w zupełności udało się Indianom. Za nimi tak jak marzyłem podówczas, oswojone bobry chodzą jak psy, smucą się gdy Indianin z domu wychodzi i cieszą

się, gdy wraca, a na zawołanie pana przybiegają do niego! Indyjanie też omal że nie z szacunkiem odnoszą się do bobrów. Podobnie jak ja w dzieciństwie swoim, uważają je prawie za ludzi.

Nie dziw, że takie się w nich myśli budzą, gdy patrzą, jak zwierzę to powala na ziemię pnie drzew, obiera je z gałęzi i kory, odmierza równą długość i ścina wedle niej zębami. Tworzy pale, wbija je w ziemię, zanosí glinę, muł i piasek i buduje roztropnie i przemyślnie.

Na swoje nieszczęście posiada bóbr nader cenione i piękne futro. To powoduje że głównie w Ameryce, gdzie bóbr w większych ilościach się znajduje, odbywają się formalne obławy na niego. Z samej Kanady wysyłają rocznie 4000 futerek bobrowych. Z futerek tych wyskubuje się grubsze włosy, których jest na każdej skórcie około $1\frac{1}{2}$ funta i używa je do wyrabiania filcu, dodaje do grubszych tkanin i t. d. Na skórcie pozostaje gęsty, międziuchny, wełnisty, piękny, brązowy włos, takie futerka kupuje się jako ozdobę do drogich szub futrzanych.

Nie chcę nużyć Czytelników zbyt długim opowiadaniem, myślę jednak, że tych kilka szczegółów przeczytają z zajęciem.

Z szacunkiem

Antoni Żarski.



Co czytać?



choć pogoda sprzyja, choć pora zabaw i wycieczek nastąpiła, jednak poznawszy polecone przez nas w poprzednich numerach „Promyka“ książeczki, radziabyscie, byśmy znowu odpowiedzieli Wam, mili Czytelnicy, na pytanie, które od czasu do czasu wam się nasuwa: Co czytać?

Staraniem księgarni Jana Fiszera w Warszawie, wychodzi rok rocznie szereg wyborowych książeczek dla dzieci; obecnie wzbogaciła ona literaturę dla młodzieży świeżym zbiorkiem.

Na pierwszym miejscu opowiemy wam o nowej, pięknej książce, p. t. „Testament Dziwaka“. Autorem jej jest zmarły w ostatnich czasach sławny pisarz francuski Juliusz Verne.

Verne poświęcił niemal całe życie pisaniu dla dorastającej młodzieży. Utwory które wyszły z pod jego genialnego pióra, wzbogaciły literaturę wszystkich narodowości i wszystkich krajów. Piśmiennictwu dla dzieci wskazał Verne nowe, nieznane przed nim tory. W dziełach swoich puszcza wodze olbrzymiej swojej fantazyi i marzy, a marzenia te rozwijają się na tle przyrodniczo-znawstwa, przyszłościowego rozwoju komunikacyi, odkryć z dziedziny fizyki i t. d. Bohaterzy jego wznoszą się w nadpowietrzne szlaki, spuszczają w sposób dziś jeszcze nieznany w głębiny mórz, okrążają glob ziemski i t. p. W „Testamencie Dziwaka“ pewien bogacz amerykański umierając, zapisuje majątek tym, którzy zechcą grać w grę przez niego ułożoną, a gra ta polega na rzeczywistem objeżdżaniu stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Książeczkę tę polecamy Czytelnikom gorąco. Pewni jesteście, że przeczytanie jej sprawi wam wiele przyjemności.

Staraniem tejże samej księgarni Fiszera w Warszawie, wyszła prześliczna książeczka Władysława Umińskiego p. t. „Biały Mandaryn“. Opisanem jest w niej, jak rodzina warszawska jedzie do Chin, gdzie ojciec, inżynier, w czasie wojny zajęty jest przy budowie dróg. Jestto dziełko nader zajmujące i ładnie napisane, mnóstwo w niem ciekawych i nieznanych szczegółów, zajmujących przejść i nowych wiadomości. Polecamy je czytelnikom usilnie.

Równie piękną jest druga książeczka Umińskiego, wydana w tejże samej księgarni, p. t. „Podróż naokoło Warszawy“. Przeczytanie jej stanowić będzie dla czytelników prawdziwą przyjemność i przyniesie im niemało korzyści.

Jeszcze o jednej książeczce wspomnieć chcemy koniecznie. Będzie wam ona miłą, przeczytacie ją z napięciem, opowie wam o dawnych czasach. Jest to „Opowiadanie o wojnie Chocimskiej“ przez Jerzego Laskarysa, autora znanego wam może z „Pamiętników Paska“. Książeczka wyszła również staraniem Fiszera w Warszawie.

Pani Marya Dzierżanowska wydała w księgarni Fiszera cztery malutkie książeczki z dziedziny gramatyki polskiej. Są to zwięzłe i treściwe podręczniki, zasługujące ze wszech miar na uznanie szerszego koła Rodziców i Nauczycieli. Znajdą w nich wskazówki, wedle których można w sposób łatwy i przystępny zaznajamiać dzieci z prawidłami polskiej gramatyki. Tytuły tych książeczek są: „Pisownia Polska w ćwiczeniach“ dwa tomiki, „Krótka składnia polska“ i „Krótka gramatyka polska“.

Wrzos.



Odpowiedzi od Redakcyi.

10-ty numer Promyka spóźnił się z przyczyn zupełnie od nas niezależnych. Jest nam również przykro jak wam, mili Czytelnicy, że się tak stać musiało. Ponieważ spóźnienia tego nie ogłaszaliśmy, każdy z Czytelników myślał, że to tylko do niego Promyk późno przyszedł, że już nie warto zagadek rozwiązywać itd. Natomiast Redakcja Promyka zasypana została zażaleniami i reklamacyami czytelników swoich. Rozwiązań zagadek nadeszło zaledwie kilka i to nie wszystkich zagadek zamieszczonych w nrze 10.

W tym numerze więc nie zamieszczamy nowych zagadek, nadsyłajcie dalej rozwiązania zagadek z Nr. 10-go.

Przy tej sposobności zapytujemy, dlaczego uczniowie i uczennice, szkół ludowych i zakładów pobierających Promyk, nigdy rozwiązania nie nadsyłają.

Tosi S. we Lwowie. List Tosi ucieszył nas niezmiernie, ale nie zdołaliśmy odpisać nań w zeszłym numerze Promyka. Bardzo mile poruszyła nas wiadomość, że Tosia z koleżankami założyła „Kółko Czytelników“. Ucieszyło nas prawdziwie, że macie już w bibliotece 100 dzieł. Życzymy powodzenia młodemu Kółku samouków i bibliotece i radzibyśmy szczerze dowiedzieć się co więcej o Waszem gronie i poznać treść Waszych pogadańek naukowych.

Irence F. z Machowy. „Promyk“ miał już zamiar zapytać pierwszy dlaczego Irenka zagadek nie rozwiązuje. Tymczasem z listu dowiadujemy się, że Irenka raz rozwiązanie zagadek posłała — myśmy go jednak nie otrzymali. Zeszłoroczne roczniki zbroszurowane mamy jeszcze na składzie, okładek na Promyk nie ma gotowych. Pomimo, że numer się spóźni można posyłać rozwiązanie zagadek, bylebyśmy je otrzymali, najpóźniej do 10-go i 25 każdego miesiąca.

Czytelników, którzy zamawiają kalendarz Promyka, prosimy by podpisywali całe swoje nazwisko, a nie pierwszą literę jak to czynią dotąd i podali dokładnie swój adres.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 10. „Promyka“ nadesłali :

Guścia G. z Krakowa; Augusta F. z Jarosławia; Mietek O. z Jezierny; zagadkę sylabową nader starannie rozwiązał Herbert S. ze Lwowa.

KĄCIK DLA MAŁYCH DZIECI.

JAŚ I MARYLKA.



Deszcz chłapie, chłapie w najlepsze. Marylka mazać się zaczyna, bo jej się nudzi w pokoju, napiera się do ogrodu. A jakże można puścić do ogrodu dziecko na taki deszcz? Nie sposób przecież. Janek chętnie byłby siostrzyczkę zabawił, ale nie wiedział czem. Próbował opowiadać bajeczki, ale mu nie szło, oglądanie obrazków wnet się Marylce sprzykrzyło.

Wtem przypomniał sobie Janek, że widział raz na obrazku mebelki dla lalek, zrobione z patyczków i groszku. Tem siostrzyczkę zabawi!

— Zrobimy sami mieszkanie dla twojej najmłodszej laleczki!

— Dobrze! dobrze! — cieszyła się Marylka, zapomniawszy w jednej chwili o nudach i mazaniu się.

Mamusia dopomogła w ten sposób, że ofiarowała pudełko zapalek. Poodłamywała sama główki od zapalek, a obydwie końce wszystkich patyczków zacięła szczyrykiem w ostry koniec. Tak dobrze się składało, że mamusia namoczyła wczoraj wieczorem stary groch, który potrzebowała do kuchni. Chciała, żeby zmiękł i napęczniał przed gotowaniem.

Mamusia dała dzieciom dużą garść tego grochu na talerzyk.

Dzieci na zacięte końce patyczków wkładały ziarenka grochu. Do tego groszku już nasadzonego na patyczek, wsadzały z drugiej strony drugi patyczek itd., jeżeli chciały mieć długi drążek np. na zrobienie łóżeczka. Aby krzesółko zrobić, wsadzały drugi patyczek z boku, a trzeci z dołu, to była noga krzesła. Cztery patyczki ułożone w kwadracik, a spojone groszkami, stanowiły siedzenie krzesła. Cztery patyczki wetknięte z dołu, tworzyły nogi. Nawet poręcz udało się dzieciom zrobić, wetknawszy z jednej strony w górę dwa patyczki. Na drugi koniec patyczków wsadzili znowu po groszku i spojili trzecim patyczkiem.

Dzieci bawiły się tą robotą przez całe popołudnie. Zrobiły w tym czasie stolik, cztery krzesła, kanapkę i łóżeczko.

Jankowi to się tylko niepodobało, że lalka nie mogła siedzieć na krzesłkach, bo siedzenie w nich było właściwie próżne. Ulepszył więc zabaweczki znakomicie wedle własnego pomysłu. Ponawlekał na dwa przeciwległe patyczki gęsto ziarenka groszku. Ziarenka te przytrzymały wiele patyczków, które utworzyły niby szczebelkowe siedzenie na krzesłkach.

Tak samo poprawił stolik, kanapkę i łóżeczko. Do wieczora miała lalka wspinałył pokoi.

Ciekawa Zosia.

Pewnego ranka wstała Zosia bardzo wczesnie z łóżeczka. Ranek był pogodny. Słońce świeciło jasno i wesoło, ptaszki świergotały w zawody, więc nie dziw, że Zosia spokojnie leżeć nie mogła. Ubrała się przedziutko, Magdusia chętnie jej pomogła.

Gdy Mamusia weszła do pokoju, Zosia bawiła się już w najlepsze.

— Tak wcześnie? — zdziwiła się Mamusia.

— Bo dzień już! — zawowała Zosia z powagą.

— Mamusia usiadła przy swoim biurku, które stało w pokoiku Zosi i zajęła się jakąś robotą, a Zosia wróciła do swojej zabawy.

Po chwili przerwała Zosia Mamusi takim pytaniem...

— Dlaczego teraz jest dzień?

Czy ktoś słońce zaświeca rano i gasi na noc?

Mamusia pomyślała trochę potem rzekła.

— Zaraz ci wytłumaczę, tylko podaj mi przedtem swoją największą piłkę.

Zosia dostała przed paru dniami ogromną piłkę od cici, przyniosła ją więc Mamusi.

Mamusia położyła piłkę na ręce i tak zaczęła tłumaczyć:

— Przedstaw sobie, że po tej piłce chodzi sobie najmniejsza muszka jaką kiedykolwiek widziałas, taka mała jak kropczka.

— Widziałam taką muszkę zeszłego lata!

— Otoż ta muszka łązi sobie po piłce, albo po jeszcze większej, takiej jaką widziałyśmy wczoraj za wystawą sklepową.

— Strach! — Zawołała Zosia rozbawiona tym pomysłem — taka maciupeneńka muszka, po takiej olbrzymiej piłce! (w zapale Zosia powiedziała „pile“). Toż to ona nawet nie może wiedzieć po czym łązi, nawet nie może zobaczyć całej piłeczki odrazu, tylko taki mały kawałeczek jej dookoła siebie!! — dziwiła się dziewczynka.

— Masz słuszność Zosiu, muszka widzi zawsze tylko maleńki kawałeczek piłki dookoła siebie i nie wie, że piłka jest okrągłą.

— Wyobraź sobie, że teraz jest noc, lampa świeci się w pokoju, muszka siedzi sobie na piłeczce, którą trzymam ot tak wprost naprzeciw lampy — jak jej jest, jasno — czy ciemno?

— Jasno! jasno! — zawołała Zosia.

— A jeżeli muszka przejdzie na drugą stronę piłki, która odwróconą jest od lampy, czy teraz będzie jej też jasno?

Zosia zamyśliła się.

— Nie, teraz będzie jej ciemno, bo jej lampa nie oświeca.

— Tak jest — rzekła Mamusia. — Teraz przedstaw sobie, że taka malutka muszka nie może przechadzać się po całej olbrzymiej piłce, tylko chodzi sobie po malutkiej przestrzeni tak, jakby stała tylko na jednym miejscu.

— Gdybym przez piłeczkę z góry na dół przepchała patyczek, mogłabym tę piłeczkę obracać na patyczku, kręciłaby się na nim ot tak.

— Trzymaj jeden paluszek na piłeczce, tu niby stoi muszka, a ja piłeczkę obracam. Twój paluszek obraca się wraz z piłeczką. Teraz jest na miejscu oświetlonem, muszce jest jasno, jest u niej

dzień. A teraz obracam powoli, powoli, paluszek oddala się od lampy, oddala, ot już jest po drugiej stronie. Muszka kładzie się spać, jest jej ciemno, zdaje się jej, że ktoś lampę zgasił. Piłeczka obraca się ciągle dalej w tę samą stronę, paluszek podchodzi do takiego miejsca gdzie już widać trochę światła. U muszki robi się ranek. Ot i już jest dzień, muszce się zdaje, że ktoś znowu zaświecił lampę, która wcale nie gaśła. I tak dzieje się ciągle w kółko.

— Teraz Zosieńko pomyśl, że ta piłeczka jest ogromna, większa od pokoju, od kamienicy, od miasta i od kraju, taka ogromna, że na niej stoją wszystkie domy, że na niej leżą wszystkie kraje i wszystkie miasta i wszystkie morza i rzeki i góry, że piłeczka, to jest cała nasza ziemia. Muszką my jesteśmy na tej wielkiej ziemi, a lampą jest słońce. Zupełnie tak, jak ci tłómaczyłam na muszce i piłeczce, powstaje raz dzień, raz noc dla nas. Słońca nikt nie gasi i nikt nie zapala. Pali się ono ciągle, a jednak my nie zawsze go widzimy.

Wrzos.



Pozostaly nam zapas kalendarzy „Promyka” sprzedajemy po znacznie
 *** zniżonej cenie 20 hal. za egzemplarz w naszej redakcyi. ***
 *** Wraz z przesyłką pocztową kosztuje egzemplarz 30 hal. ***

PRENUMERATA WRAZ Z PRZESYŁKĄ WYNOŚI:

W Austryi rocznie 2 K, półrocznie 1 K, kwartalnie 50 hal. — W Królestwie
 w kopertach 4 ruble. — W Niemczech 2 marki. — We Francyi i w Szwaj-
 caryi 5 franków. — W Ameryce 1 dolar.

———— Numer pojedynczy 10 halerzy. —————

Wydawczyni i odpowiedzialna redaktorka: Jadwiga Czajkowska.

Drukarnia Udziałowa we Lwowie, ul. Kopernika 20.

PROMYK



PISMO ILUSTROWANE DLA MŁODZIEŻY I DZIECI
WYCHODZI 1. i 15. KAŻDEGO MIESIĄCA.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, Miłkowskiego 11.

FILIA ADMINISTRACYI: KRAKÓW, GRODZKA 50.

Do Rodziców i Czytelników.

Pprzed półtora rokiem rozpoczęliśmy wydawnictwo „Promyka“. Rozpoczęliśmy tę robotę pełni szczerzej i serdecznej chęci, aby stworzyć dla Was kochani Czytelnicy lekturę przyjemną, dobrą i zdrową. Pragnęliśmy dać pisemko dobre nie tylko tym dzieciom, które oprócz Promyka kupować sobie mogą i inne książki i pisemka, ale także i tym, które mają ubogich rodziców i nie mogą wydawać pieniędzy na drogie książki. Dlatego postanowiliśmy cenę 50 h. na kwartał. Początkowo wychodził

„Promyk“ raz na miesiąc. Wtedy, ze wszystkich stron, każdą pocztą niemal, przychodziły listy od Was: „Promyku przychodź częściej, bo za długo nam czekać na ciebie przez cały miesiąc!“

Postanowiliśmy wówczas zastosować się do Waszego życzenia. Zdwoiliśmy pracę, w dwójnasób podniosły się nasze koszta, dwa razy tyle wychodzi pieniędzy na papier, druk i klisze. Mimo to nie zwiększyliśmy prenumeraty, żywiąc tę serdeczną chęć, by praca nasza szła na pożytek jaknajszerszego koła dzieci.

Z początkiem bieżącego roku zmieniliśmy format Promyka, gdyż ten format o jednej kolumnie druku uważamy za odpowiedniejszy i zdrowszy dla dzieci. Ten format jednak znowuż drożej nas kosztuje i więcej zawiera tekstu. Jeszcze próbowaliśmy mimo to nie podwyższać prenumeraty. I oto pół roku ubiega od tego czasu, ale niestety przekonaliśmy się, że „Promyk“ w tej cenie istnieć nie może. Niska prenumerata nie może pokryć nawet w części kosztów wydawnictwa. Promyk musiałby przestać wychodzić, przestałby przynosić Wam zagadki i figielki kolegów, oraz liczne opowiadania.

Żeby utrzymać go, postanowiliśmy podnieść cenę prenumeraty. Odtąd prenumerata roczna wynosić będzie 4 korony, półroczna 2 korony, kwartalna 1 koronę. Wiemy z listów Waszych, jak bardzo „Promyk“ lubicie, jak bardzo go wyczekujecie i jak miłym jest on dla Was gościem. Mamy więc nadzieję, że Rodzice Wasi, rozumiejący dobrze nasze koszta i trudności, zgodzą się chętnie na zapłacenie od półroczna tej podwyższonej prenumeraty, aby zatrzymać dla Was dobre pisemko. „Promyk“ choć będzie teraz kosztował 4 kor. rocznie, pozostanie jednak nadal najtańszem polskiem pismem dla dzieci.

Redakcja „Promyka“.

EDWARD de PERRODIL.

Z Papyża do Wiednia na kole.

(ZDARZENIE PRAWDZIWE).

(Z francuskiego).

(Dokończenie).

Pan Wilaume przybył sam nad wieczorem, ale nie mógł nam dać żadnych wyjaśnień, co też właściwie z panem się dzieje.

Owacyjnego przyjęcia doznaliśmy w redakcyi pisma sportowego „Radfahr Humor“.

Po huczmem przyjęciu, niemieccy koledzy wskazali nam dalszą drogę.

Była to bawarska szosa najgorszego gatunku. Dziury, wyboje napełnione były grubym szutrem i kamieniami, których żaden walec nie ugniótł. Miały się poprostu z czasem same uleżeć, skoro przygniotą je liczne wozy, jadące tą stroną. Możecie sobie wyobrazić co za rozpacz dla cyklisty! Tańczyliśmy formalnie na siodle, dokonywaliśmy wszelkich sztuk akrobatycznych mimowoli. Siodło podrzucało nami, koło huśtało się, skakało, trzęsło jak na urząd! Nawet wzburzone morze nie podrzucało nigdy z taką zapalczywością łupiny orzecha!

— Czy nastanie już wreszcie lepsza droga? — pytałem towarzyszy miejscowych.

— Wnet! wnet! — uspokajali nas.

Ale droga harce wyprawiała z nami niepojęte. Straciłem już wszelką nadzieję, że się to kiedyś zmieni.

Skakaliśmy, tańczyli coraz lepiej. Wreszcie jeden z towarzyszy przechylił się zbyttnio w moją stronę i legliśmy obaj jak dłudzy na ziemię.

Szczęściem nic się nie stało. Powstaliśmy i ruszyli w dalszą drogę.

Wreszcie — wjechaliśmy na dobrą, ubitą szosę. Przejeżdżaliśmy przez las. Jazda szła rażniej.

Gęste chmury zbierały się na niebie. Obawiano się, że deszcz lada chwila nas zaskoczy. Wobec tego, postanowiliśmy przerwać podróż i poczekać do następnego ranka.

* * *

Obudziwszy się nazajutrz, spostrzegliśmy że deszcz padał w nocy. Powietrze było niepewne. Ołowiane chmury szybowały po niebie. Droga była rozmiękła ale miejscami, mimo to, wcale nie zła. Jechaliśmy znowu we dwójkę z Chałupą i spieszyliśmy bardzo, by jak najspieszniej dotrzeć do granicy.

— Nie podobna opisać w jakim byłem strachu! — zawołał Willaume gdy złączyliśmy się z nim nareszcie. Nie wiedziałem poprostu co myśleć o tem pańskim zniknięciu i w przystępie

rozpaczy jechałem wciąż przodem, prawie bez wytchnienia. Już może dotarłbym był do Wiednia, gdyby nie depesza pańska, dzięki której przespałem się wreszcie rzetelnie!

Szóstego dnia naszej podróży dotarliśmy do Lincu*), ale w jakim stanie! Po drodze z nienacka zerwała się szalona burza i ulewa sprząła nas do nitki. Nie było gdzie schronić się, nie było gdzie wypocząć. Deszcz lał jak z cebra wielkimi strugami. Po drodze zdarzył nam się ciekawy epizod:

Pędziliśmy co sił, by jak najprędzej dostać się do Lincu. W szalonym biegu mijamy małe wioski i miasteczka. W jednym miasteczku stał po środku rynku jakiś człowiek z gazetą w ręku. Deszcz lał bezlitośnie, on jakby nie zważał na to wcale.

To mię uderzyło. Podjeżdżamy, patrzę — mój człowiek podnosi oczy z nad gazety i przypatruje nam się pilnie. Wreszcie dostrzegł mię — powiewa radośnie gazetą niby flagą i woła:

— To on! to on!

Przystanąłem na chwilę. Człowiek ów trzymał ilustrowaną gazetę niemiecką z moim portretem i dokładnym prawdopodobnie programem podróży.

Burza szalała coraz bardziej. Droga rozmokła przedstawiała coraz więcej wyboi i kałuż. Szalony deszcz nie pozostawił na nas suchej nitki, a błoto z pod kół okryło nas grubą, gęstą powłoką. A jednak odwaga nie opuszczała nas wcale i z coraz większym uporem dążyliśmy prosto do Lincu, nie zatrzymując się wcale po drodze.

Nazajutrz z rana, w chwili gdy mieliśmy wskakiwać na koła, ukazała nam się grupa cyklistów, zdarzająca ku nam pospiesznie z dworca kolejowego. Byli to koledzy wiedeńscy, z których nie-jeden mówił wybornie po francusku. Tem samem kończyły się kłopoty naszej tułaczki. Rażno skoczyliśmy na koła. Nowa burza, nowa powódź zaskoczyła nas w drodze — ale tym razem powitaliśmy ją ze śmiechem i wesoło, swobodnie wjechaliśmy w tryumfie do Wiednia!

KONIEC.



Pieśń wojenna.

Kochany Promyku!

Coraz częściej idziemy teraz z panem Tadeuszem za miastem i Staś i jego siostry i koledzy nasi różni, wszyscy razem we, soło wyruszamy na wyprawę. Kiedyindziej będę musiał napisać,

*) Stolica górnej Austrii.

jakie to cudne i jak się bawimy i o jakich różnych rzeczach rozmawiamy. Dzisiaj napiszę tylko pieśń, jaką często śpiewamy, a której nas pan Tadeusz niedawno nauczył. Nie wiem nawet czemu, nazwaliśmy ją naszą pieśnią wojenną:

Do lasu w zarośla i gąszcze
Na wielką idziemy wyprawę!
Na wielkie idziemy odkrycia!
Roślinki najmniejsze i chrząszcze
Z tajemnic swych zdać muszą sprawę,
Odsłonić nam część swego życia!

Co krok to cuda nowe,
A mówią tajemnice,
Ledwo pochylisz głowę!

Więc dalej naprzód odkrywcy
W nieznany ruszajmy świat!

Co to za kwiat tu się chyli,
Lśni rosą i drży od wietrzyka,
Z brzęczącym owadem gada?
O jakież tam ptak znów kwili?
O poznać go! Niech nie umyka!
Niech życie nam swe opowiada!

Co krok to cuda nowe, i t. d., i t. d.

Ciemny szumiący borze!
Co się tam w tobie dzieje
Dla ludzkich oczu zakryte?
Dzisiaj ci nic nie pomoże,
Nim zwierzę się leśne spodzieje,
Już wszystko nam będzie odkryte!

Co krok to cuda nowe i t. d., i t. d.

O zioła pachnące, kwiatuszki!
O cudna, leśna polanko!
Tyś wielki kraj, gdzie mieszkają
Robaczki, mrówki, muszki!
Powiedźże ty nam kochanko,
Jak państwa się tve rozwijają?

Co krok to cuda nowe,
A mówią tajemnice,
Ledwo pochylisz głowę!

Więc dalej naprzód odkrywcy
W nieznany ruszajmy świat!

Z serdecznem pozdrowieniem

Józef Gajek.



Miasto na morzu.



okomotywa pędziła co siłą, ciągnąc za sobą szereg długi wagonów. Pędziła wśród łąk i pól, wśród rozkwitających winnic i brzoskwiniowych gajów.

Gdziekolwiek ukazywały się długim szeregiem drzewa morwowe *). Szeroka, nieprzejrzana równina ciągnęła się w koło. Ani jeden pagórek nie ukazał się na widnokręgu.

— But! but! — powtarzał półgłosem Karolek, przyciskając czoło do szyby u okna. — Włochy to but, który kopie wyspę Sycylię. Jaki to dziwny kształt! Tak go łatwo sobie zapamiętać można. O! Włochy poznam na mapie chyba z oddali!

Rzeczywiście przed podróżą przyglądał się Karolek dokładnie mapie Włoch. Żał mu było, że po drodze do Wenecyi nie napotka na Apeniny, których był ciekaw co nie miara. Wiedział, że w północnej części rozpościera się szeroka równina.

Kiedy tak patrzył Karolek przez okno wagonu, zobaczył nagle, że łąki zamieniają się w moczary. Co raz więcej kałuż, coraz więcej stawków, coraz więcej rowów, napełnionych wodą, wciska się między błonia. Zdawało się, że łąka rozłazi się we wodzie. Rzeczywiście znikała ona stopniowo, stopniowo rozbiła się na małe zielone wysepki, naokoło których igrały fale morskie. Powoli znikały i te wysepki, a pociąg pędził po szerokim morzu.

Karolek miał złudzenie, że znajduje się na okręcie. Z lewej i z prawej strony, jak daleko okiem sięgnąć można, rozpościera się morze bez końca, a kolej pędzi ponad falami po olbrzymim moście. Most ten opiera się na palach wbitych do morza lub na wysepkach.

Karolek patrzył rozpromienionym wzrokiem na ten precudny widok! Nie wyobrażał sobie nigdy, że coś równie pięknego istnieć może na świecie! Myślał, że dojedzie do Wenecyi lądem i dopiero po wyjściu z wagonu ujrzy brzeg morza. A tymczasem jedzie koleją przez morze! Most, po którym kolej pędzi, ma 3.600 metrów długości! Ileż to pracy kosztowało wzniesienie go!

Dziwił się teraz Karolek, jak mógł dawniej przypuszczać, że do Wenecyi dotrze lądem, przecież ona cała leży na malutkich wysepkach, czyli lagunach!

Pociąg zatrzymał się na stacyi.

— Fachino! fachino! *) dało się zewsząd słyszeć.

*) Drzewa morwowe sadzą we Włoszech, bo liście ich służą za pokarm jedwabnikom.

*) Czytaj fakino, t. zn. pakier po włosku.

Zabrano rzeczy i Karolek wyszedł za rodzicami z peronu. Aż tu... co za dziwny widok!... Wychodzą niby na ulicę — Prosto z dworca prowadzą stopnie do wody. Woda ta tak szeroka jest jak rzeka, a po niej uwijają się wązkie a długie, czarne gondole **). Cała ulica jakby zalana wodą — nie ma właściwie ulicy, tylko coś jakby rzeka — jest to kanał morski. Z przeciwnego brzegu stoi cały szereg domów — wszystkie bramy wychodzą na kanał. Piechotą nie można zejść nigdzie. Tak, jak dorożka podjeżdża zwyczajnie pod bramę domu, tak tu podpływa gondola.

Takich kanałów jest w mieście bardzo wiele. Są szersze i wązkie. Gęstą siecią oplatają one całą Wenecję. I nie dziw: miasto całe zbudowane jest na 122 wyspach najrozmaitszej wielkości. Niektóre z nich są tak niewielkie, że stoi na nich zaledwie kilka domów.

— 122 wysp! — zawołał Karolek z podziwem. — Ale cóż robią biedni ludzie, którzy nie mogą opłacić gondoli — przecież i u nas nie wszyscy jadą powozami.

Zaledwie to wymówił, gdy gondola skreśliła w wązki, boczny kanał i podpłynęła pod most kamienny, łukowato u dołu wygięty.

Karolek popatrzył ciekawie na most i zobaczył, że prowadzi on po obu stronach do wąziutkich uliczek, szerokości zwykłej sieni, które znajdują się po tylnej stronie.

Uliczki te są niekiedy tak wązkie, że sąsiedzi mogą sobie przez okno rękę podać.

Całe miasto jest budowane w ten sposób, że każda kamienica ma z jednej strony wejście na ulicę, z drugiej na kanał.

— Mamy 157 kanałów i 350 mostów — objaśnił gondolier po włosku. — Całe miasto rozciąga się na przestrzeni 16 kilometrów kwadratowych. Gdzieindziej miasta wzrastają — dodał ze śmiechem — my musimy wciąż pozostawać na tym samym terenie — na morzu przecież budować nie można! Przecież żadna nowa wyspa z morza się nie wyłoni.

Przy jednej kamienicy pracowano gorliwie. Pompa wytłaczała wodę — chciano widocznie osuszyć fundamenta.

— Cóż to? — zapytał ojciec Karolka gondoliera.

— A nic! — odparł Włoch obojętnie, jak gdyby mówiono o całkiem zwyczajnej i nie ciekawej rzeczy. — Restaurują fundamenta, pewnie gniją.

— Jakto zgniły fundamenta? Czy kamień gnije?

— Kamień? — zapytał zdziwiony Wenecjanin — od kiedyż to robią kamienne fundamenta? Jak świat światem spoczywają domy na olbrzymich palach z pni dębowych, inaczej ugrzęzłyby przecież.

**) Łódki weneckie.

— Ciekawy człowiek — rzekł ojciec Karolka po polsku. — Dziwi się, że zapytujemy o rzecz tak dla niego naturalną. Nasze miasta lądowe i nasze ulice uważałyby pewnie za cud świata.

— Swoją drogą, jakże to dziwnie, że ludzie tu zbudowali miasto na wodzie! — zauważył Karolek.

— Potrzeba zniewoliła ich do tego. Podczas wędrówki ludów posunął się Attyla, król Hunów, do Włoch, szerząc w koło mordy i grabieże. Wtedy schronił się lud Wenetów na najbliższe wyspy, moczarowate bagna, na których wybudował Wenecję. Dobrze wiodło się tej Wenecji podczas wieków średnich. Była „perłą morza“ i jednym z najbogatszych i największych miast handlowych. To jedno miasto było osobnem księstwem i miało własnych książąt, zwanych dożami. Dużo bogactw, skupionych na małej stosunkowo przestrzeni, dozwoliło upiększyć miasto i budować wspaniałe gmachy. Patrz! Nie ma tu prawie zwykłych kamienic miejskich — każdy dom — to prawdziwe dzieło sztuki. Każdy pałac ma u okien i balkonów strzeliste łuki, które stanowią główną charakterystykę stylu gotyckiego.

Karolek patrzył i podziwiał. Miasto nie robiło na nim wrażenia miasta — ale jakiegoś olbrzymiego muzeum — jakiejś świątyni sztuki.

W przejażdżce gondolą podpłynęli pod olbrzymi most.

— Ponte *) di Rialto — objaśnił gondolier.

Karolek aż wykrzyknął z podziwu. Ojciec kazał stanąć gondoli i poprowadził chłopaka na most.

Samym środkiem mostu ciągnęła się szeroka i wygodna ulica. — Po obu jej stronach znajdowały się najrozmaitsze kramiki. Za każdym szeregiem kramików ciągnęły się ścieżki. Ścieżki te, ulice i oba szeregi kramików znajdowały się na całej długości mostu.

Karolek wprost mówić nie mógł z podziwu.

— Inne cuda zobaczysz jeszcze, gdy zaczniemy oglądać muzea i kościoły. Ale chodź prędko do gondoli, pokażę ci jeszcze coś ślicznego.

Chłopak podążył co żywo. Gondola płynęła cicho i łagodnie, stanęła wreszcie u wejścia wąskiej uliczki.

Minęli uliczkę, minęli i drugą i weszli wreszcie na obszerny, wspaniały plac.

— To plac św. Marka — objaśnił ojciec.

Z dała, w głębi widniała wspaniała katedra ze złotemi kopułami i cudnie piękną mozaiką **) — z 3 innych stron okalały plac 3 przepyszne gmachy.

Środkiem placu przechadzało się mnóstwo ludzi — a nad nimi rojem całym latały szare gołębie. Siadały ludziom na głowy,

*) Ponte — to znaczy most.

**) Obrazy układane z kolorowych kamieni.

na barki, skakały po kapeluszach, wyjadały kukurydzę z ręki, chodziły po ramionach i wglądały w kieszenie.

Po placu przechadzał się Włoch sprzedający kukurydzę dla gołębi. Ojciec Karolka kupił paczkę i podał ją uszczęśliwionemu chłopcu. Widząc to gołębie, zleciały się chmarą i nie czekając, aż Karolek ziarna im posypie, siadły mu na rękę i zaczęły wydziobywać je z papieru.



Dzieci szwajcarskie do dzieci polskich.

Koło wychowawców w Warszawie otrzymało z Szwajcaryi, od dzieci jednej ze szkół ludowych w Bernie, z ofiar centymowych 20 rubli i list serdeczny, który w dosłownym przekładzie z niemieckiego podajemy:

Berno, d. 12. maja 1905 r.

Oto przysyłamy pieniądze dla dzieci polskich. Zbieraliśmy je z wielką radością. Martwi nas bardzo, że dzieci tak cierpiały, ale cieszymy się, że teraz mogą uczyć się po polsku, tak, jakby miały prawo. Podziwiamy ich dzielność. Przypuszczamy, że postąpiłybyśmy tak samo, ale panna Schmid w to nie wierzy. Mamy nadzieję, że rodzice wkrótce wrócą z więzienia do dzieci i że w jesieni będzie szkoła polska.

Przyjacielskie pozdrowienia łączymy

Dzieci z „Schmid-Schule“.

Na powyższy list dzieci szwajcarskich, dzieci polskie wysłały uastępującą odpowiedź:

Kochani przyjaciele!

Bardzo nas rozczulił Wasz list. Serdecznie Wam dziękujemy za to, że rozumiecie, co to jest mowa ojczysta, której nam rząd rosyjski nie chce dać. Mamy nadzieję, że w jesieni będzie już szkoła polska. Teraz w szkole nie wolno jeszcze uczyć po polsku. Uczymy się po polsku pokryjomu i musimy chodzić na lekcję codzień w inne miejsce, ażeby nas nie złapano, chowamy książki pod bluzki. Ale wytrzymamy do końca i pokażemy, co to jest Polak.

Dziękujemy Wam także z całego serca za pieniądze.

Niech żyją Polska i Szwajcarya.

Warszawa, w maju 1905.



Sztuczki z bańkami mydlanymi.



Deszcz padał strumieniami — szare, ołowiane chmury ciężły nad ziemią.

— A toż ci lato! A toż ci wakacye! — narzekał Franio.

— Ani do ogrodu, ani do lasu!

— Siedź tylko w pokoju; siedź i nudź się! — narzekały inne dzieci.

Marylka tymczasem wysunęła się cicho z pokoju i powróciła wkrótce z miseczką mydliny i pękiem słomy.

— Czemuż to koniecznie nudzić się kiedy deszcz pada? Możemy puszczać bańki mydlane.

— Brawo! Brawo! — wykrzyknęły uradowane dzieci. — Brawo, bańki mydlane. a latajcie w górę! Tem lepiej, że dzisiaj zimno na dworze, tem cieplejsze wyda się powietrze, które w bańkę wdmuchamy!

— To prawda! To prawda! A bańka wysoko w górę uleci!...

Dzieci zabrały się rażno do roboty, a po chwili pełno baniek unosiło się w powietrzu.

— Tak dobrze latacie, mogłybyście naprawdę unieść co ze sobą! — wołał mały Kazio i chciał położyć koniecznie na bańkę zeszycik z obrazkami.

— Co za koncept! — rzekł Franek. — Przecież widzisz, że jedna bańka pryska za drugą! Ale spróbujmy co innego. Może dałoby się przyczepić do bańki małą laskę, wykrojoną z cienkiej bibułki?

Przystąpiono zaraz do roboty. Po długiej naradzie wykroiła Marylka z różowej bibułki maluśkiego człowieka. Przyczepiła do niego leciuchną niteczkę i umieściła u drugiego końca tej niteczki mały, kwadratowy kawałek papieru.

Zwilżono ten papierek zlekką wodą mydlaną i przy dmuchaniu bańki zbliżono go do niej ostrożnie. Papierek przyczepił się do bańki, a gdy ta dostatecznie wzrosła, strzepnięto ją ze słomki i puszczono do góry.

Uleciała bańka w powietrze, a pod nią latał człowieczek.

Dzieci wykroiły potem drugiego człowieka, który kłaniał się kapeluszem.

— Żegnaj nam! Żegnaj! Do widzenia! — wołały za nim dzieci, gdy uniósł się w powietrzu.

Mała Jadzia stała przy tej zabawie i ogromnie podobały jej się latające figurki. Trzymała właśnie malutką porcelanową laleczkę w ręczce.

— Patrzcie, jaką malutką mam laleczkę, niech ona także pojedzie!

Rzeczywiście laleczka Jadzi miała 4—5 cm długości.

— To niepodobna! — rzekła Marylka. — Bańka mydlana lalusi nie uniesie. Ale my lalkę wsadzimy do bańki.

To mówiąc, wzięła Marylka szklany talerzyk, zwilżyła go wodą mydlaną, postawiła na nim lalkę Jadzi, także porządnie w mydlanej wydzie ukąpaną i spuściła ostrożnie bańkę mydlaną przez główkę lalusi. Bańka ześliznęła się powoli i spadła na talerzyk. Lalusia była w bańce — tylko wierzch główki górą wystawał.

Franek umaczał koniec słomki we wodzie mydlanej i wepchnął go w środek bańki — potem delikatnie wydymuchał bańkę, by urosła i całą lalkę objęła.



Wśród zwierząt.



asłuzony pisarz norweski Knut Hamsun opowiada co następuje o swoim dzieciństwie.

Nie znam okolicy, w którejby było tyle zwierząt i ptactwa, co u nas na północy. Nie mówię już o ptactwie morskiem i rybach, ale o orłach, łabędziach, łasicach i niedźwiedziach. To wszystko widziałem już w swoim dzieciństwie.

Ojczyście moje lasy były podówczas przepełnione najrozmaitszymi gniazdami ptasiemi. Wiosną i latem odzywał się głuszc na hali, a zimą dziwny gatunek kury tak krzyczał wśród śniegu, że ludzie własnego słowa usłyszeć nie mogli.

Tak było podówczas.

Przed paru laty byłem znowu w domu po dwudziestopięcioletniej nieobecności i pytałem o cietrzewie i głuszce. Nie ma ich już w lesie, wyniosły się, odkąd dzieci powyrastały i nie napępniały lasu nawoływaniem i okrzykami.

Rozbijaliśmy się całymi dniami po folwarku, pełno nas było w stajniach i oborach. Kilka krów było naszymi rówieśniczkami, barany i kozy przyszły już po nas na świat. Zналиśmy je od maleńkości, w naszych oczach podrosły, w końcu były już tak duże, że dostały dzwoneczki na szyję. Niejeden grosz przez nas oszczędzony poszedł na zakupno dzwoneczka dla kozy lub owcy. A wszystkie te dzwoneczki o rozmaitym dźwięku odzywały się przepięknie latem po lesie i wyróżniały od dźwięku dzwoneczków większych, które miały krowy zawieszane u szyi.

Psa przy domu naszym nie było, tak, że zając mógł zimą podchodzić niemal do drzwi naszego mieszkania. Wtedy staliśmy cichusieńko, przypatrywali mu się i mlaskali z cicha językiem dla uspokojenia go. Nie mogliśmy się jednakowoż nigdy tak dalece zbliżyć do niego, by mu podać jedzenie.

Podczas zimy nie jeden pies przeleciał drogą koło naszego dworku. Zналиśmy wszystkie psy okoliczne. Czasem zjawiał się jednak pies, którego nikt z nas nie znał, przychodził z oddali, za sobą miał długą podróż, był też wyczerpany i zmęczony do ostateczności. Takim psem zajmowaliśmy się gorliwie. Przywoływaliśmy go do siebie i odkarmiali. Prócz chleba i śledzia nie było niczego w naszej spiżarni, ale i z tego nie można było brać dużo. Chlebem i śledziem poratowaliśmy niejednego psa. Psy wyjadały to chciwie, a potem jadły śnieg, aby ugasić pragnienie.

Pewnego zimowego dnia, gdy wyjechaliśmy z Jasiem we dwójkę do lasu po drzewo, znaleźliśmy rena. Coś go widocznie wypłoszyło z trzody i błąkał się po lesie, nie mogąc znaleźć drogi. Jaś mówił, że mu źle będzie tak samemu bez trzody w lesie. Nawróciliśmy więc konie i przywieźli z domu chleba i śledzia, ren zjadł to i wcale się nas nie bał. Szedł nawet za nami, gdy wjechaliśmy głębiej w las, stał przy nas podczas nakładania drzewa na furę, a gdy wracaliśmy do domu, szedł z nami.

W domu nie pozwolił się ren nikomu pogłaskać, kopał każdego, kto się zbliżył do niego. Gdy noc zapadła, ścisnął mróz okropny.

Po długich prośbach pozwolił nam ojciec zaprowadzić rena do stajni i nakarmić go. Następnego ranka ren oddalić się nie chciał. Powiadomo wójta, poszukiwano właściciela przez pewien czas daremnie, w końcu sprzedano go na licytacji.

Nas, dzieci, używano do płoszenia z pola szkodników. Uganiaaliśmy więc kury, dzikie kaczki i płoszyli wróble co się zowie. Kury traktowaliśmy kamieniami tak gorliwie, że nas starsi aż poskramiać musieli w zapale. Pewnego lata wypożyczył sobie Jaś gdzieś strzelbę. Dziwnym trafem nie udało mu się nigdy trafić coś w lesie, natomiast kury strzelał z talentem. Z tego powodu dnie strzelby były policzone.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Redakcja „Promyka” wyjechała już na wieś na wakacje i stąd „Promyk” do Lwowa do druku posyła. Dlatego „Promyk” teraz nieco opóźniać się musi, choć o parę dni później będziemy listy wasze tu nadal otrzymywali i będziemy na nie odpowiadali. Nadsyłajcie nam zatem pilnie nowe zagadki i rozwiązania.

Z a g a d k i.

I.

Zagadka nadesłana przez Leona M. ze Stanisławowa:

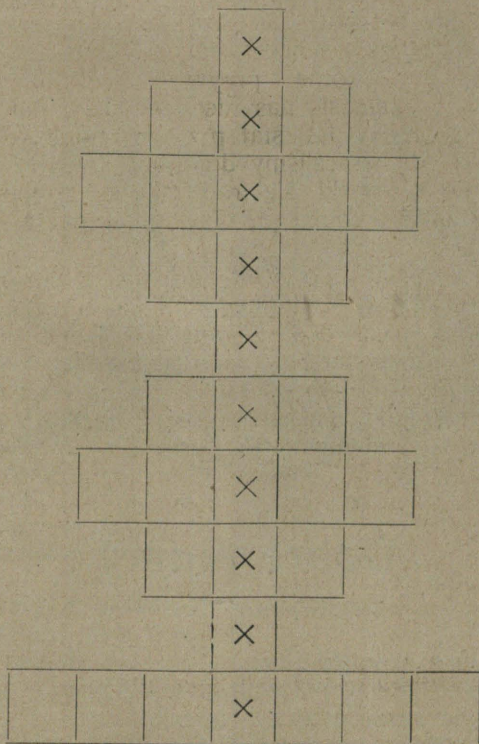
Ja Kaina jestem przodkiem,
U Mikada idę środkiem,
Często gęsto jem w Kamczatce,
A kończę się na zagadce.

II.

Z „a“ jest borem
Z „i“ jest w lesie
Z „o“ ci szczęście
Lub żal niesie.

ŁAMIGŁÓWKA

ułożona przez Guścię i Salcię G. z Krakowa



W tych kwadracikach wypisać słowa, tak, aby litery w miejscu krzyżyków dały nazwisko sławnej poetki.

Znaczenie wyrazów:

1. Spółgłoska.
2. Przeciąg czasu.
3. Naczynie.

4. Ptak.
5. Spółgłoska.
6. Część naczynia,
7. Zwierzę domowe.
8. Wykrzyknik.
9. Spółgłoska.
10. Roślina.

Za trafne rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy piłeczkę japońską, którą można nadmuchiwać i składać.

KĄCIK DLA MAŁYCH DZIECI.



Dobre Mamy.

Napisła Halina.

Przyniesiono ze sklepiu
 Śliczną lalę w pakieczku,
 Aż się mamom oczka mienia
 I buziaki się rumienia.

Zaraz Zosia znosi szmatki,
 Pół chusteczki, ćwierć krawatki,
 Starej lali stare stroje,
 I zużyte suknie swoje.

Mania je na stół rozkłada,
Ręką gładzi, towar bada.
Kram ogromny z krzesół wznosi
I na kupno siostrę prosi.

— A, dzień dobry miła pani!
Proszę kupić, towar tani.
Z za granicy rzeczy świeże,
Może pani coś wybierze?!

— Owszem, owszem moja pani!
Jest potrzebne mi ubranie.
Niespodzianka mię spotkała,
Bom ja córkę dziś dostała!

— Ach! winszuję, ach winszuję!
Jakże z panią się raduję!
Za pięć centów dam kram cały,
Gdyby rzeczy się przydały.

— Za pięć centów? Ależ pani,
Tyle nie dam za ubranie,
Niech kupcowa nie zacenia,
Bo nie kupię tu odzienia.

— To za centa wyjątkowo
I niech dziecię zniesie zdrowo.
Mania Zosi pakiet składa
Z zysku swego bardzo rada.

Zosia wraca, córkę wita,
O coś ją na uszko pyta,
Wdziewa dziecku nowe stroje
I zawodzi żale swoje:

— Stanik duży, kapka mała,
Pocom tyle za nie dała?
Prędko szwaczkę zgodzę sobie,
Poprawimy rzeczy obie.

Szwaczka właśnie do drzwi puka
I roboty jakiejś szuka.
— Jak się dobrze to nam składa!
Wita Manię Zosia rada.

Tną więc resztki ze sukienki,
I krawcowe są panienki.
Jedna kraje, druga zszywa,
Trrrr... — maszyna się odzywa,
Trzask... — nożyczki sukno prują,
Szrrr... — żelazka tak prasują.

W mig córeczka jest ubrana,
 W mig umyta, uczesana,
 W mig w najlepszej są zabawie
 W swym ogródku, w świeżej trawie.

Hops! przez rowek, hops! po górcę,
 Każda daje rękę córce,
 Każda coś jej pokazuje,
 Niby łąje, a żartuje.

Wtem, gdy miło czas im leci,
 Tatuś z domu woła dzieci,
 Lecz ni Zosia, ani Mania
 Nie są skore do słuchania.

— Tak nam dobrze w tym ogrodzie,
 Chwilkę jeszcze, cóż to szkodzi?
 Mija chwilka, mija druga,
 Mija w końcu chwila długa.

Słonko zaszło na zachodzie,
 A dziewczynki wciąż w ogrodzie!
 Tatuś prosi, tatuś błaga,
 Ale nic to nie pomaga.

Więc na taki pomysł wpada,
 Że w swą kieszeń lalkę wkłada
 I co siły przez klomb świeży
 Tatuś z nią do domu bieży.

Z tej kieszeni wpół schowana
 Sterczy lala po kolana,
 Coraz bardziej się podnosi.

— Stań tatusiu — Zosia prosi.
 — Stań tatusiu! — mówi Mania
 — Bo wyleci biedna Frania —
 Zosia aż przez rowy skacze,
 — Biedna córka! — Mania płacze.

Tak dobiegli aż do domu
 Tatuś śmiał się pokryjomu,
 A mamusia chwali dziatki,
 Że są obie czułe matki,
 Bo im troską jest jedyną
 Dążyć biegiem za dzieciną.



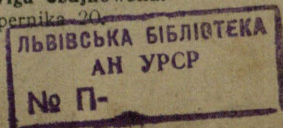
PRENUMERATA WRAZ Z PRZESYŁKĄ WYNOŚI:

W Austrii rocznie 4 K, półrocznie 2 K, kwartalnie 1 K. — W Królestwie
 w kopertach 4 ruble. — W Niemczech 4 marki. — We Francji i w Szwaj-
 caryi 6 franków. — W Ameryce 1 dolar.

— Numer pojedynczy 10 halerzy. —

Wydawczyni i odpowiedzialna redaktorka: Jadwiga Czajkowska.

Drukarnia Udziałowa we Lwowie, ul. Kopernika 20.



88

